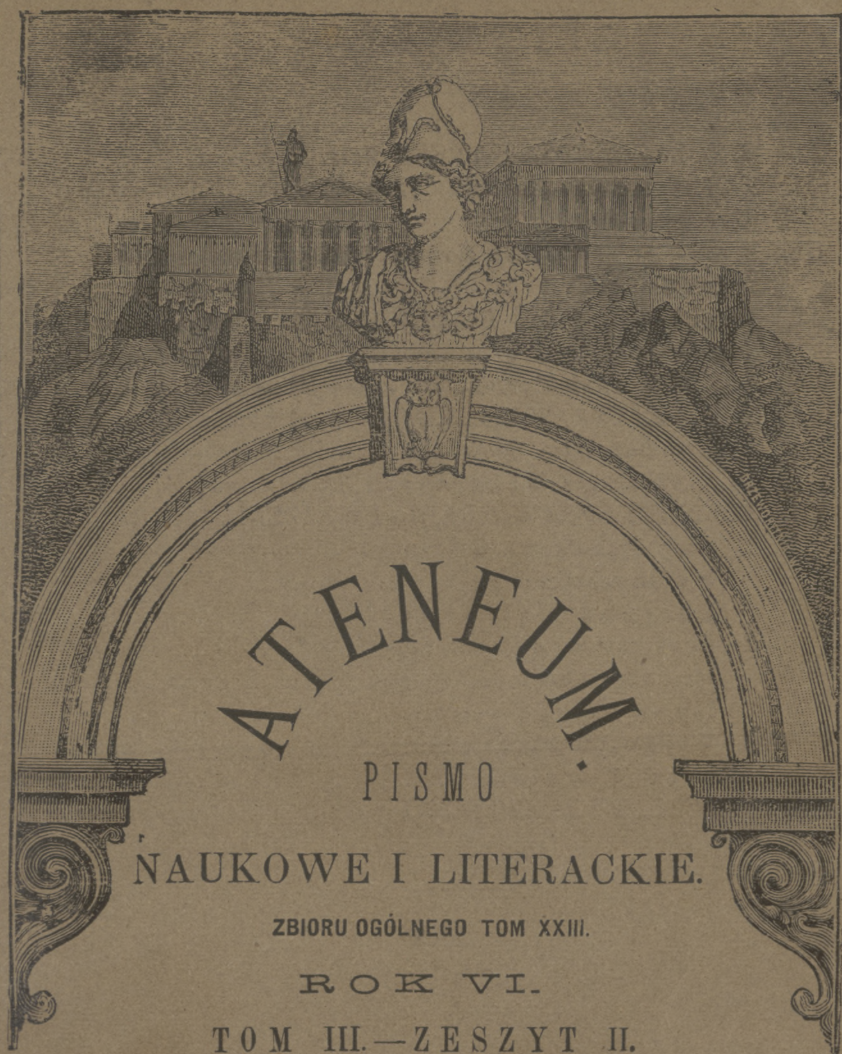


ATENEUM.

PISMO
NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXIII.

ROK VI.

TOM III.—ZESZYT II.

Sierpień.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

—

1881.

SPIS RZECZY.

I. MIKOŁAJ SĘP SZARZYŃSKI. Przez *Felicyana* 197
II. TATRY I PODHALANIE. (Dokończenie). Przez *Augusta Wrześniowskiego* 222
III. W GRUDNIOWE DNI. Nowella. (Dokończenie). P. *Autora Prawd i Plotek* 254
IV. PO BITWIE PRZY BIAŁEJ GÓRZE. Przez *Kazimierza Jarochowskiego* 286
V. KOMETA. Powieść przez *Jana Zacharjasiewicza*. (Ciąg dalszy) 303
VI. DYPLOMACYA SOBIESKIEGO. Archiwum spraw zagranicznych francuzkie do dziejów Jana Trzeciego — opracował Dr. Kazimierz Waliszewski. Przez *Stanisława Lukasa*. 337
VII. ROZBIORY, SPRAWOZDANIA I WRAŻENIA LITERACKIE:
1. Ślady dyalektyczne w oznaczaniu samogłosek nosowych w kilku zabytkach języka polskiego wieku XV i XVI przez Lucyana Malinowskiego 376
2. Głoski nosowe w gwarze ludowej we wsi Kasinie oraz niektóre inne właściwości tej gwary, przez Lucyana Malinowskiego — ocenił *Jan Hanusz* 378
3. Wychowanie dziecka włącznie do lat 6-ciu przez Henryka Wernica 380
VIII. PRZEGLĄD DRAMATYCZNY przez *Piotra Chmielowskiego* . 382

Druk ukończono 30 Lipca 1881 r.

MIKOŁAJ SĘP SZARZYŃSKI.

1. Słowo wstępne.—Pierwotnie skąpe o życiu Sępa szczegóły.—Pierwsze „Rytmów“ jego wydanie.—Różne z jego przyczyny domniemania.

Okrągłe trzysta lat ubiega od chwili, w której złożono, nie wiadomo dokładnie gdzie nawet, szczątki śmiertelne może i wielkiego w przyszłości poety; od chwili—łatwo to powiedzieć—a jednakże nawet chwila ta ściśle znaną nie jest; zdarzenia tego bowiem, za świeżéj jeszcze u współczesnych pamięci, rok zaledwie zapisano (1).

Rzecz to smutna. O innych, mniéj nieraz pamięci godnych, mówi się z całą pewnością: dnia tego a tego na świat przyszedł, o tém wiemy tylko: że w tym a w tym roku już go nie było; — i oto, nie mogąc święta kolebki jego uczcić, jeśli przynajmniéj majestatowi cichemu jego mogiły pokłonić się zechcemy, to i tak próżnobyśmy szukali kędy się zwrócić; bo stało się z nią jak niegdyś z rodzinną ziemią Wajdeloty, która mogła być „tu, lub owdzie, albo z tamtéj strony.“ Rzecz smutniejsza jeszcze pomyśléć, że ten człowiek, tak samo, jak za życia wieńca się od narodu swego nie doczekał, tak i kiedy żyć przestał, zaledwie w lat dwadzieścia, chwale jego dość skąpe wydano świadectwo. Co prawda, świadectwo to jest mu oraz i pomnikiem, i to nie żadnym chudopacholskim, ale z pańska marmurowym, tylko, że ten marmur lat niby tyle na pomieszczenie godne siebie czekając, tymczasem bez osłony na wichrach przebywał i na słocie, i stąd ucierpiał znacznie, a nawet wiele go ubyło. Ale najsmutniejsza podobno, że jeszcze i ten pomnik skromny, razem nawet z pamięcią o nim, przepadł bez śladu na całe lat dwieście; tak, że na początku naszego stulecia w wątpliwość nawet podano, czy go kiedy istotnie świat współczesnych oglądał?

---

(1) Ostatniemi czasy, dzięki odkryciu dokumentów, o których z kolei rzeczy rozpowiem, udało się bliżéj nieco datę tę oznaczyć, a mianowicie: na miesiąc sierpień—chociaż dzień zgonu poety, jak i wprzódy, pozostał tajemnicą.

Cóż robić—bywają takie dole człowiecze, a jak lud prosty powiada, takie „Przejrzenia Zgóry.“ To mówi mądrość uboga w duchu—owa przeczuciowa mądrość, podobno jak świat stara; a człek zwyczajny, temci bardziéj nadzwyczajny, będzie próbował rzecz tę namacalniéj wyłożyć — ale, Bogiem a prawdą, nie wiadomo, czy potrafi...

Tak więc, wszystko o tym Sępie naszym smutne jest—ale téż i on sam nie był wesoły. Ustawicznie czegoś tęsknił i w tém go nic a nic nie rozumiano— bo już-to, w czasie owym, nie mieliśmy powodów do tęsknoty. W sobie się zagłębiał, co również nie bardzo kogo obchodziło; bo ludzie owocześni w nadmiar życia byli bogaci, a o zagadnieniach bytu ziemskiego tylko z obywatelskiéj radzi dobadywali się strony. Na szczęście, jak wszyscy drudzy, w Bogu tylko upatrywał swéj pociechy, i to jedno pewnie spowodowało, że tych jego niesmaków a wyrzekań wzruszeniem ramion nie pozbyto i nie ukarano milczeniem; bo naród prostacze miał uczucia, i choć rozmaicie już wierzyć poczynał, niemniéj gorąco był pobożny, i łagodne duszy uniesienia chętnie sobie przyswajał a głęboko odczuwał. Wyczerpujący na to dowód przytoczyć można w Psałterzu, z takiem upodobaniem od lat najdawniejszych to rymem to prozą przyswajanym, aż póki go Kochanowski z misterstwem wielkiém w całości wreszcie narodowi nie dał. Wtedy téż, w ciągu lat kilkudziesięciu, wydań różnych dzieła tego zrobiono aż dwadzieścia.

Więc, jak się rzekło, dzięki téj pobożnéj właściwości natchnień Sępa, miał on pewne u współczesnych uznanie, choć może nie w powszechności, bo ta, jak wiemy, „Treny“ nawet wiekopomne „lekkiemi (małoważnemi)“ osądziła — ale w bliższém siebie otoczeniu—skromném otoczeniu, jak to wprędce ujrzymy—złożoném jednak z ludzi wykształconych, uczuciowych i zasługą osobistą hojnie zdobnych. Choć mogło być także, iż on i narodowi całemu nie zupełnie pozostał obcy, a to mianowicie ze strony kilku, dość miernych, przyznać trzeba, prób poezyi bohaterskiéj. Tak je przynajmniéj dziś sądzić się godzi. Ale w czasach owych rycerskich, ogół nie tyle na formę był wrażliwy, a za to dużo cenił rozgłośne uznanie czynu, zagrzewać zdolne do szlachetnéj ofiary. Więc o Herburcie, więc o Strusie, więc o królu Stefanie, a nawet o Bolesławie Śmiałym kiedy Sęp nasz śpiewał, niezawodnie dość to głośno brzmiało.

Zanim jednak szczegółowiéj działalność tego poety pod rozbiór weźmiemy, zbierzmy jeszcze w jedną wiązkę szczupłe wiadomości, mogące rzucić jakie takie światło na tę postać, któréj cechy (wyznajemy to w prostocie ducha), im jasności na nich więcéj, tém coraz dziwniéj zagadkowemi nam się wydają.

Więc najprzód, u współczesnych spotykamy o nim trzy wzmianki. Jędrzej Wargocki, wychwalając jego przekład wiersza Witalisa o Rzymie, zowie go „przednim poetą.“ „Ów Mikołaj—powiada znowu Joachim Bielski—by był doszedł lat swych, byłby z niego poeta znamienity polski.“ O wiele zaś dosadniéj wyrażając się Paprocki, widzi w nim „człowieka uczonego i poetę po Janie Kochanowskim przedniejszego w polskim wierszu.“ Wreszcie dwaj ostatni zgodnie podają rok jego zejścia (1581), ale pierwszy twierdzi, że go pochowano w Przeworsku, drugi zaś — że w Przemyślu. I oto wszystko— na całe lat z okładem dwieście.

W pierwszych latach bieżącego stulecia, Juszyński wątpił już, ażeby kiedykolwiek rymy Sępa odszukać się dały; przypuszczał bowiem, że chyba ich nigdy drukiem nie ogłoszono. Zgodnie téż z tém jego przekonaniem, nieznany bliżéj autor zamieszczonéj w „Pamiętniku Lwowskim“ z r. 1817 o Sępie wiadomości, przytaczając dołączoną do „Epitaphium Rzymowi“ wzmiankę Wargockiego (jako ten wiersz znaleść można in opusculo Authoris postremo, A. 1601), tłumaczenie jéj naciąga w ten sposób, że nie należy tu rozumiéć, aby rzecz wyszła z druku po śmierci poety, ale raczéj, że ją zaliczać trzeba do ostatnich życia jego utworów.

Tymczasem traf zrządził, że w dziesięć lat potém, w księgozbiorze Kórnickim, znaleziono owo „opusculum,“ które nawet, jak się pokazało, poprzednio miał już w ręku Lelewel; ten jednak więcéj badaczem niż literatem będąc, troskliwie je tylko jako białego kruka z wierzchu opisał. Tę tedy rzadkość niezmierną, a oraz jedyną po Sępie naszym spuściznę, Muczkowski niezwłocznie drukiem powtórzył, a to z tak ścisłém pierwotnego wydania poszanowaniem, że bez wahania ten przedruk niejako za jego podobiznę uważać należy (1).

Od téj téż pory, przybywa nam znowu nieco o Sępie, a raczéj o smutnéj doli jego, szczegółów.

Przedewszystkiém, Zbiór jego Rymów, poprzedza przedmowa pierwotnego ich wydawcy—był nim zaś rodzony (młodszy) brat poety Jakób, Lwowski podstoli. Ten tedy oto jak się w niéj usprawiedliwia. „Częstokroć wiele ludzi zacnych... którzy nieboszczyka pana Mikołaja Sępa Szarzyńskiego brata mego rodzonego abo zaznali, abo téż pisma jego czytali, rozmawiali ze mną i z narzekaniem, żem

(1) Stanowi to pierwszy tomik „Zbioru najcelniejszych i najrzadszych Rymotwórców polskich z wieku XVI-go.“ Ponieważ zaś i to wydanie w prędce rzadkością się stało, pomieścił je więc (acz mniej starannie) Turowski w wydawnictwie swojéj „Biblioteki polskiéj.“

się o to nie starał, aby prace i pisma jego do kupy były za mojém staraniem zebrane i światłu pokazane. Ja zaiste będąc w téj mierze i sam na się frasowity żem do tego przyjść nie mógł, i narzekaniem ludzkiém poruszony, starałem się: jakobym i żądności onéj prawie pospolitéj (prawdziwie powszechnéj) od wszystkich, którzy się w dowcipie brata mego zakochali, i powinności mojéj braterskiej, a przytém sławy brata mego, nie odbiegał. Lecz mi to na wielkiéj przeszkodzie było: że po ześciu z tego świata brata mego, nieboszczyk zacnéj pamięci Jego Mość Pan Starzechowski Podkomorzy Ziemi Lwowskiéj pisma i księgi jego na swój dozór i opiekę wziął, który téż potém w rychle umarł, tak, że téż ja z pilnością się o onych pismach pytając, mianowicie u nieboszczyka Pana Pobidzińskiego, nie mogłem się dopytać. Mając tedy trochę pism takowych brata mego, oczekiwałem z niemi: azaby się ich więcéj kędy między ludźmi uczonemi naleść mogło. Lecz gdy się nic takowego nie pojawiło, jam się, patrząc na złe zdrowie moje, aby i ta troszka co przy mnie była jako inszych wiele nie zginęła, obawiając, użyłem jednéj zacnéj osoby duchownéj do przejrzenia i sporządzenia pism ręki brata mego-własnéj, które przy mnie były, które ja, aby świat widziały... za upominek po bracie mym oddaję..." Dotąd podstoli Jakób.

Wydanie nosi datę roku 1601, więc nie prędzéj nastąpiło, aż w lat dwadzieścia po zgonie poety. Starzechowski zaś umarł w rok po nim (1). Dziewiętnaście lat tedy, w ciągu których miał czas umrzeć jeszcze i on Pobidziński, narzekało napróżno „wielu zacnych ludzi, którzy się byli w geniuszu zgasłego wieszcza zakochali," że się pan brat jego „z pilnością" o jego pisma tu i owdzie pyta. Tymczasem zaś wiadomo znów zkądinąd (mianowicie z powołanego wyżéj Wargockiego), że u Jakóba Pretficza wojewody Podolskiego (2) znajdowały się rękopisma Mikołaja i to te prawdopodobnie, które Podstoli w przedmowie swojéj nazywa „inszych wiele." Jednak cóż z tego, skoro w ciągu téj jego dziewiętnastoletniéj pilności, zgorzał dom pomienionego Pretficza, a z nim i rękopisma bodaj ostatnie już jakie na świecie istniały.—Otóż i dola, o któréj słusznie powiedziećby można: wiele złego na jednego.—Jeśli jeszcze zważymy przytem, że pomienione wydanie mocno jest niedbałe, że zamieszanie w znakach pisarskich w wielu tam miejscach do wysokiego stopnia tekst zaciemnia, że tu i owdzie znajdziesz wiersze z błędnemi rymami (3) lub

---

(1) Paprocki pod klejnotem Nieczuja.

(2) Syn sławnego Bernata. Paprocki, pod klejnotem Wczele.

(3) Jak w parafrazie psalmu 126 (który także właściwie jest 130), strofa czwarta.

wcale bez nich (1), bez średniówek (2) lub całkiem wadliwego rytmu (3), czego przecięż na karb tak wytrawnego rymotwórcy, jakim był Szarzyński, żadną miarą składać się można; to zarazem nabędziemy przekonania, że téż i „osoba duchowna,“ do tego użyta, mogła być istotnie „zacną,“ ale bynajmniéj „do przejrzenia i sporządzenia pism“ podobnych nie zdolną.

Bądź-co-bądź, z tych kilkunastu kartek, będących dziś jedynym zabytkiem jego działalności, oto jakim się nam poeta mniéj więcéj jasno na razie przedstawia. Cichy, skromny, słodkiego a zarazem rzewnego usposobienia, jak bywa u tych, którym nie znaczono dłuższego na ziemi pobytu, zdaje się być tylko pątnikiem zadumanym, idącym z modlitwą na ustach gdzieś ku miejscom, wsławionym z cudów uzdrowienia duszy. Jakoż, istotnie umarł on w młodym wieku—wiemy to już z Bielskiego. Więc zapewne wątłego był zdrowia, podobnie jak Janicki—a jednak, ani na to jak tamten ustawicznie się nie skarży, ani opowiadaniem cierpień swoich o współczucie nie żebrze, ani nawet osobą swoją uwagi niczyjéj nie zaprząta. Owszem, z poddaniem się przyjmując za rodzaj kary swoje przemijające na padole ziemskim istnienie, zdaje się raczéj przykrzyć sobie na świecie, a oraz tęsknić serdecznie do zagrobowych szczęśliwości. I jakbądź z pewnością nie dosięgnął trzydziestéj wieku swego wiosny, wygląda jednak wykształcony wielostronnie, z literaturą starożytną obyty, w łacinie bardzo biegły, ale osobliwie na wskróś włoskiemi, jak nikt drugi u nas, przepojony wpływami.

Więc obszerne tu pole do domysłów. Tylu drugich w czasie owym na obczyźnie się kształcąc, a osobliwie w Padwie nabywając wiedzy, mniéj lub więcéj włoszeli. Za powrotem ich do kraju, wpływy dworskiego otoczenia, włoszczyznę również za ostateczny wyraz towarzyskiéj ogłady im zalecały. Zresztą, sami już poniekąd zużyciem się form klasycznych zniechęceni, radzi ku świeższym, więcéj swojskim, zwracali się powiewom. Ztąd tacy włoskich wzorów na naszéj ziemi krzewiciele, jak Górnicki, jak Piotr a po części i Jan Kochanowski, jak nawet może Piotr Zbylitowski, ale zwłaszcza Serafin Jagodyński. Więc pewnie i nasz Sęp roztęskniony, z téj promienistéj krainy, nic nie klasyczne natchnienia swoje wraz z formą ich wyrażeń, z powrotem z sobą przyniósł. Mogło to być. Przed-

---

(1) Początek pieśni IV, O Cnocie Szlacheckiéj.

(2) W sonecie III. *Miłosierdzia, gdy na nas grzech straszliwy. — Pokaż twego słońca światłość żądaną.*

(3) W sonecie III. *Ale zarzą już nam nastań raną.*

wcześnie z życiem słabem się biedząc, mógł być zmuszony, jak Janicki, nie tylko wiedzy, ale i zdrowia na południu szukać. Bo inaczéj, zkądżeby mu jak nie na miejscu tak żywo sobie te właściwości poezyi włoskiéj przyswoić, że się niemi wyróżnia, jakby wprost u żywego źródła pomysły owe i formy na potrzebę swoją duchową poczerpnął?... Tymczasem, jak to zaraz ujrzymy, przypuszczenia podobne, z rzeczywistością dowodami popartą, nie łatwo pogodzić przyjdzie.

2. Wykrycie bliższych o rodzinie Sępa i o nim samym szczegółów. — Z téj miary, jak również i z zestawienia różnych okoliczności, całkiem nowe prawdopodobieństwa i domysły.

Z kolei tedy miejsce tu i pora bliżéj się rozpatrzyć w tych dowodach, na mocy których znów nam nieco bliższych szczegółów o osobie Sępa przybyło. Są to dokumenta urzędowe, świeżo właśnie, w tak zwaném Bernardyńskiem Archiwum we Lwowie, przez Ludwika Finkla nader pracowicie wyszperane (1). Z nich to przekonywamy się, jak złudnemi w wielu razach bywają pozory skutkiem braku wyraźnych danych biograficznych z postępem czasu naleciałe, a oraz, jak dalece śliską jest rzeczą, w przedmiocie ruchu umysłowego owéj epoki, domyślnością się tylko powodować.

Przedewszystkiém, wyrzec się nadal wypadnie utartych dotąd Mickiewicza śladem pogadanek o tem „ciepłém i miękkiém gniazdku Sępiem,“ w którem nasz Mikołaj do tęschnoty nieuleczonéj duszę swą kołysał. Gniazdo, jak zwyczajnie gniazdo sępie, z badylów było twardych sklecone, mocno téż przewiewne, i na wszelakie wpływy niedobre na ścieżaj otwarte. Ród był drapieżny, całkowicie nazwy swojéj godny (2). Wiecznie w procesach, zajazdach, gwałtach rozlicznych, porywaniu ludzi lub ich mienia, życie niespokojne wiedli. Siedzieli na cząstce posiadłości zwanéj Zimną-Wodą (3) i byli nieustannem udręczeniem bliższych i dalszych sąsiadów. Dziad poety, tak się był Bartłomiejowi niejakiemu dał we znaki, że tenże, dla świętéj spokojności *(ob spem concordiae)*, odczepnego sumę jakąś synom jego dobrowolnie w pomienionych aktach przekazuje. Nie lepszy od dziada ojciec naszego Mikołaja, wciąż się, to z krewnemi prawuje,

---

(1) Przewodnika naukowego i literackiego, stanowiącego dodatek do „Gazety Lwowskiéj,“ zeszyt za kwiecień, 1880.

(2) Powołany wyżéj autor twierdzi dowodnie: że Szarzyńskiemi nazywali się tylko od posiadłości z któréj pierwlastkowo wyszli, podobnie jak byli drudzy Sępowie, nazywający się Olborskiemi.

(3) Sądzić się godzi, że ta Zimnowoda w całości kiedyś do nich należała; tak przynajmniéj wnosić można z tego, co Paprocki o tem prawi, nazywając „wielką majętnością“ to, co Zimnowodzka w dom ich wniosła.

to z sąsiadami, to z mieszczanami lwowskiemi, to wreszcie z konwentem księży dominikanów. Swéj macosze napadem grozi, za co nawet grzywnami jest obłożony. Niemniéj, w dwa lata późniéj, kiedy już w powtórne śluby weszła, porywa ją od męża, nie bez obłowienia się jéj mieniem, które snadź uważa za swoje. Aż z kolei przychodzi na stół jedna z najbrudniejszych mojem zdaniem sprawek tego warchoła, którego przecież Paprocki nader dobrodusznie „człowiekiem cnotliwym i bogobojnym“ zowie. Rzecz się tak miała: że on kiedyś część swojéj części niejakiemu Worytce za tysiąc złotych w zastaw oddawszy, skoro ten umarł i tylko sieroty po nim zostały, umyślił, w téj sposobnéj chwili, razem i prawnie zaciągniętego długu nie zapłacić i do posiadania własności swojéj powrócić. Że jednak widocznie u nikogo już zaufania nie obudzał—cóż tedy czyni? Oto korzystając z powszechnego szacunku, jakim się syn jego, nasz Mikołaj, nader słusznie cieszył, podstawia go jako niby życzącego sobie wziąść cząstkę ową w jednoroczną dzierżawę, na co gdy się zgodzono, już on tam Mikołaja, ani nikogo więcéj nie dopuścił. Tylko w dalszym ciągu téj szacherki zbójeckiéj, spotykamy go jeszcze w ziemstwie zeznającego, pewnie dla tém dokładniejszego zamącenia rzeczy: jako wcale nie spadkobiercom Worytki, ale właśnie synowi Mikołajowi winien jest pomienioną sumę zastawną tysiąca złotych. Potem jeszcze nie raz jeden z ludźmi za łby się wodzi, lub się kondemnatom opędza—a zawsze już odtąd wypycha przed sobą tego biednego Mikołaja, sam się po za jego potulność skrzętnie chowając. Téż kiedy ten ostatni do jakiegoś mienia (choć pewnie tylko symulacyjnie, z naprawy ojca) przyszedł, ten je zaraz w dzierżawę od niego bierze. Słowem, o Mikołaju chcąc się tu czego dowiedziéć, nie podobna ani na chwilę onego miłego ojcaszka jego się pozbyć; bo ten go nie tylko przeżył, ale jeszcze spadek nawet po nim (1), wyraźnie ostatnią wolą młodszemu bratu przekazany, imieniem tegoż Jakóba (acz już naonczas pełnoletniego), do rąk własnych zagarnął.

Nie wiemy bliżéj, jakim był brat jego Jakób. Ale pewnie, jak życie swoje całe Mikołaj, tak i ten aż do śmierci ojca, pozostał w twardéj rodzicielskiéj kurateli, niesławném tylko popychadłem w ręku jego bywając. Późniéj, pewnie się i otrząsł z rodzinnego drapiestwa, któremu może tylko jak Mikołaj, z przymusu, pod grozą ojca, pierwotnie służył. Mówi o nim Paprocki: iż był „Mąż godny

---

(1) Spadek ten nie przenosił ośmiuset złotych, co na dzisiejszą monetę zaledwieby dziesięć razy tyle wynioslo.

i do posług Rzeczypospolitéj *habilis,*“—ale czyż mu wierzyć można, skoro nas już poprzednio gorącą ojca pochwałą w błąd wprowadził? Bądź co bądź, w przedmowie do wydania Rymów swego brata, przedstawia się nam ten Jakób jako człowiek szczerego serca, w prostocie przyznający się do winy, głośno sam na siebie frasobliwy. Bóg go tam wie—może on istotnie z pilnością o pisma brata swego się starał,—wprawdzie lat dwadzieścia to trwało—mógł być niezaradny, jak w ogóle ludzie w domu zahukani. Również i on na niezdrowie się swoje uskarża; więc snadź, jak Mikołaj, nie miał w sobie tradycyjnego Sępów animuszu. Wygląda też niezbyt wykształcony, skoro do wydania tak szczupłego Zbiorku poezyi kogoś drugiego zmuszony był użyć; ale naprawdę zkądby mu nawet uczoności jakiéj było nabyć?—toć pewnie, w karnéj u ojca szkole, chyba tylko w przebiegłą prawnych kruczków znajomość mógł się był zapomódz. Także zdaje się nie mieć tych samych, co brat jego stosunków. Owszem, z największemi tamtego przyjaciołmi bardzo nieśmiały, tém samém odszukanie rękopismów jego wielce sobie utrudnia. Nic tu nie przeszkadzała śmierć Starzechowskiego, boć on przecię liczną zostawił po sobie rodzinę. Podobnież Pobidziński wygląda, jakby go tylko byle czém pozbył. O Pretficzu zaś nic Jakób nie wie; a przecież, za świadectwem Wargockiego, był to jeden z najżarliwszych Mikołaja zwolenników. Nawet powiedzieć można: wcale on nie miał z własnym bratem téj, co pomiędzy rodzonemi, zażyłości. W poezyach Mikołaja tyluż obcych ludzi wspomnienie się przewija, a o Jakóbie najmniejszéj nigdzie nie napotykamy wzmianki. Jednak dwóch ich tylko było braci...

Więc oto jakie w miejscu tém koniecznie nastręcza się przypuszczenie. Mikołaj snadź chyba z lat wczesnych indziéj niźli doma się chował. To jedno tylko zdolne jest wytłumaczyć: i jego nad bratem przewagę umysłową, i wykształcenie nad miarę zwyczajnego w zaścianku szlacheckim wychowania,—ale szczególnie ten smak u niego wytworny i to wykwintne poczucie formy, jakie bywa tylko bardzo dobranego towarzystwa udziałem. Zaraz obszerniéj o tém pomówimy. Ludwik Finkel, na mocy znanych sobie dowodów, nie waha się twierdzić, że Sęp nasz, wcześnie do gospodarki przez ojca powołany, czasu nawet nie miał szkołę jakąkolwiek systematyczną odbyć; widocznie bowiem brakło mu stopnia naukowego, który inaczéj, w aktach urzędowych byłby mu przydawany, skoro godności żadnéj w ziemstwie swojem nigdy nie piastował. Nie przesądzając słuszności tego ostatniego wniosku, myślę jednak, że jeśli istotnie Sęp do uczelni żadnéj nigdy nie uczęszczał, tedy nie pozostałoby

jak tylko przypuścić, że był samoukiem, co przecięż, w zbliżeniu z niepospolitą miarą jego wiedzy, nie wygląda prawdopodobne.

Z tego powodu sądzę, że dokładniéj nieco stosunki towarzyskie Mikołaja naszego rozpatrując, tą drogą do niejednego nierównie trafniejszego przyjść zdołamy wniosku. Więc naprzód Kostkowie. Dla téj rodziny zdaje się on żywić w sercu obowiązki najtkliwszéj wdzięczności. Być może równy mu był wiekiem Jana wojewody Sędomirskiego syn starszy, podobnież jak Mikołaj wcześnie zmarły, o którym Paprocki powiada, iż to był „mąż uczony, w postronnych krainach naukami się bawiący,“—podczas gdy młodszy „sprawami rycerskiemi“ tylko bywał zaprzątnięty. W tym tedy domu przemożnym, z lat wczesnych, mógł Sęp nasz, jako wielce obiecujące a łagodnego usposobienia pacholę, pożądanym być małego pana towarzyszem; z nim zabawy, upodobania i naukę podzielać; z nim nawet późniéj może i na obczyźnie czas jaki przebył (1). Daléj, widzimy go w zażyłości z pokrewną tamtym rodziną Starzechowskich. U tych, zdaje się że do ostatniéj chwili życia był rzec można domownikiem, skoro tam nawet pozostały wszystkie jego „i pisma i księgi.“ Wspomniany w przedmowie Joachima, Stanisław podkomorzy snadź szczególnie do serca mu przypadał. „Człek to był, zdaniem Paprockiego, uczony, ludzie uczone miłował, i przy sobie je bawił.“ W jego to domu, jak się Finkel domyśla, mógł Mikołaj spotykać krewnę podkomorzynéj, słynną swego czasu piękność, Jadwigę Tarłównę, którą też prawdopodobnie po dwakroć rymem uwielbia. Dodawszy jeszcze do tego poufały jego z Mikołajem Tomickim (zapewne synowcem podkanclerzego Piotra) stosunek, ostatecznie nabyć musimy przekonania, że Sęp nasz w najwybrańszém jak być może nawykły był żyć otoczeniu. O osobach tu wspomnianych, tymczasem napomknąłem tylko szkicowo; wrócę jednak do nich we właściwéj porze, a wtedy, domysły moje, większego jeszcze, mam nadzieję, nabiorą znaczenia. Wprawdzie, jedynie śladem współczesnego im wszystkim Paprockiego iść mi tu wypadnie; ale, jak sądzę, w tym razie całkiem spuścić się na niego można—rzeczy były narodowi całemu znane. Tacy Starzechowscy—toćżeto ród senatorski, tacy Kostkowie—a toćże króle-

---

(1) Przypuszczenie to moje, nie sądzę, aby było nazbyt śmiałem. W ogóle istotnych dowodów na to, jakoby Sęp nigdy kraju nie opuszczał, jak dotąd przynajmniéj, nie ma. Ogłoszone dokumenta sięgają dopiéro jego pełnoletności; o poprzednim zaś czasie nic z nich wnioskować nie można. Nie przesądzam jednak téj sprawy. Badacz Bernadyńskiego Archiwum posiada w ręku dowody, z których, jak mówi, nie wszystkie przytoczył—ja zaś idę za nim według jego wskazówek—rzecz jednak analogicznie wydaje mi się do domysłów sposobną.

więta, i nawet, jak to ujrzymy, o wiele coś większego jeszcze. Więc, jak się patrzy, dwór też ich całkiem książęcy być musiał, ogłada pańska, nawyknienia bardzo wytworne, wykształcenie pierwszorzędne; ztąd nie trudno przyjść do pewności, że ktoś w domu podobnym chowany, bez szkolnéj nawet nauki, mógł sobie umysł i serce bardzo wysoko usposobić. Później zaś, kiedy przyszło Mikołajowi koniecznie do ojca wracać, w téj niedoli jego, Starzechowscy znowu, dobrze sobie znanego nader miłych przymiotów młodzieńca, przynajmniéj w swoje strony zwabić się postarali. Tak nawet Finkel usprawiedliwia przeniesienie się jego z pode Lwowa w przemyskie. Tam tedy, własność niewielką nabywszy, tam oraz, jak się zdaje, i reszty dni swych dokonał; ztąd raczéj za Paprockim niż za Bielskim przyjąć wypadnie, że on też i pochowany został w Przemyślu.

W tém miejscu, doszedłszy do kresu jego ziemskiéj pielgrzymki, sprobujmy raz jeszcze zebrać w snop jeden wiązkę promieni, zdolnych jakie takie rzucić światło na tę postać, któréj bliższe opatrzenie, nawet poniekąd do dziejów ruchu umysłowego owéj epoki, nie obojętnym może być przyczynkiem. Słabowite, bardzo bystrych zdolności, być może w latach wczesnych z matki osierocone, chłopiątko, prawdopodobnie wzięto na wychowanie w dom pański. Tamto, z małego Sępa, niebawem orlik wybujał, górnych lotów chciwy, nie lękający się patrzéć w słońce, do nieogarnionych okiem zwyczajném widnokręgów namiętnie nawykły,—jedném słowem, nad stan swój niemal w dary ducha zasobny. Gdyż jedynie na karb skromności jego składać wypada to, co on mówi o sobie (w Sonecie do Tomickiego): „iż uczonéj mało pił wody.“ Bez wątpienia, radby był więcéj się nią upajać—jednak i to, co z tego źródła na potrzebę umysłu swego poczerpnął, już i tak nie jedno mniéj wymagające pragnienie całkowicie zaspokoić mogło. Radby był dłużéj się nią upajać—cóż z tego? pełnoletności już dosięgał, więc ojcu do jego mętnych sprawek sądowych stawał się przydatny. I oto, tyle wyższym ponad małostki odebrany wpływom, przeszczepiony z nagła w tę niespokojną wrzawę zabiegów o poziome zyski, w których nieraz i po cudze sięgano, odrodny drapieżnych Sępów potomek, cóż dziwnego, że sobie przykrzyć począł byt swój ziemski, że coraz głębiéj w siebie zstępując tęsknotę cierpiał i ciekawość rzeczy zagrobowych, że uspokojenia w rozmyślaniach szukał i w ascetycznych uniesieniach, że wreszcie z lubością opłakując zmarłych, zdaje się uśmiechnięty w pośród mogił się przechadzać?...

3. Pobieżne Zbioru „Rytmów“ streszczenie. Włoskie wpływy. Zbliżenie w téj mierze Sępa z Kochanowskim.

W istocie, ten szczupły całokształt pozostałéj po nim dumań jego puścizny, robi wrażenie gotyckiéj, w każdym swoim szczególe ku niebu biegnącéj, świątynnéj budowy. Więc u wstępu obraz śmierci spotykasz. Więc daléj, w pokorze ducha krzyżem się u chrzcielnicy namaściwszy, wkraczasz w Przybytek przyćmiony temi pustelniczemi postaciami świętych, co to na szybach podłużnych rzędami dwoma stojąc, i dniem i nocą w skupieniu ducha się modlą. Groza cię ogarnia i rzeczy ziemskich lekceważenie i niebiańskich szczęśliwości zachwyt. A tu, w głębi, wśród Chóru, w dymach kadzideł, psalmy brzmią i hymny dźwiękami organu potężne. Modlisz się—potém w duchu po świecie się rozglądasz, i rozważasz sobie: Opatrzność Bożą, Rządy Boskie na ziemi, Wszechmoc twego Stwórcy.“ Daléj, w siebie wstępując: na czem polega Cnota obywatelska? pytasz. I oto pamięci twojéj nastręcza się Fridrusz, zaszczytnie „pod Sokalem zabit,“ Struś „poległy na Rastawicy,“—wreszcie duszę ci słodko rozradowywa myśl o onym wielkim Władcy Stefanie, i dzięki składasz Bogu, że ci dano być współczesnym Chwale tego króla. Ale tu, uniesienie modlitewne znów cię od ziemi odrywa, i uznajesz w skrusze: „jako próżne jest człowiecze staranie bez Bożéj pomocy.“ Wyszedłszy ztamtąd, w zewnętrznem świątyni owéj obejściu, mogilnik oglądasz grobowcami usiany; ale niby nie całkiem nasz, jéno takie włoskie *Campo Santo*—wirydarzyk uśmiechnięty, szumiący ciepłym powiewem, strojny w barwy żywe, tchnący kwiatowemi zapachy;—więc się tam chętnie po słońcu przechadzasz. A kiedy to czynisz, jeszcze kilka zwrotów rzewniejszych w zadumaniu umysł twój podtrzymuje, ale powoli myśl świecka cię owiewa, aż i miłosne zalatuje gruchanie (snadź dawniejszych czasów jakieś wspominki) i w tém, znowu do powagi wracasz—boć to zawsze cmentarzysko, tylko że takie sobie myślą pogodne, niemal wesołe.

Otóż taki to on jest średniowieczny, nieledwie rzekłbym gotycki, w snycerszczyźnie misternéj rozmiłowany, ale zwłaszcza w tém budownictwie ostrołukowém, przypominającém starodrzewu borowego majestat cichy, gdzieś bardzo wysoko w górze dopiéro zasklepiony. Tam koniecznie człowiek maleje; bo przymierzając do siebie ten ogrom taki spokojny, dziwić się musi, że on, przy ziemi się trzymając, tyle wichrami rozlicznemi pomiatany bywa;—a tu właśnie dopiéro w oderwaniu od rzeczy doczesnych duszę namiętnościami skołataną ukołysać można. Tak nas uczy ten Sęp nasz tęskny, pilny badacz znikomości tego świata, głęboko w sobie nurtujący, zwątpiały, ale oraz i pocieszony.

Już razy parę mimochodem potrąciwszy włoską liry jego strunę, powiedzmy też i o tém coś bliższego. Gdzie to on téj włoszczyzny swojéj mógł nabyć, w któréj stokroć wygląda bieglejszym od tych, co się jéj na miejscu uczyć mogli—pozostałoby na zawsze zagadką, gdyby nie przypuszczalne wychowanie jego w domu Kostków, kędy prawdopodobnie, śladem dworu królewskiego, modnym włoskim naonczas hołdowano upodobaniom. Bądź co bądź, zaprzeczyć się nie da, że on wpływami temi wskróś wygląda przesiąkły. Jakoż, przedewszystkiém, styl jego weźmy na uwagę. Takiego, ze współczesnych jemu, nie ma nikt drugi. Jednak właściwie, skoro tu o włoskie wpływy chodzi, z Kochanowskim jednym zestawiać go tylko można (1). Otóż, uderza w Sępie, tym pozornie domorosłym samouku, pilna wstrzemięźliwość we względzie obrazowania, z wielką, rzekłbym, ujmą klasycznego przyboru. Chcę tu mówić o tém trafném poczuciu piękna, które sprawia, że człowiek chętnie się być wyznaje i sobie i drugim współczesny; a właśnie tę odwagę cywilną Sęp w wysokim stopniu posiada. U niego nie spotyka się nawet tego, co w owym czasie nie raziło nikogo, a mianowicie: owéj mieszaniny pojęć chrześciańskich z pogańskiemi—owych w Niebie Jowiszów, na Helikonie Świętych Pańskich, a w otchłaniach Cerberów i Charonów pospołu z Czartami. Bo nawet i w dwóch poezyach miłosnych, kędy wyjątkowo stare bogi napotykamy, nie plącze on bynajmniéj *sacra profanis*; i zresztą, w téj nieswojéj szacie, wygląda dość zakłopotany. Więc, jak widzimy, bardzo się on tu od Kochanowskiego odróżnia, i rzecz tę wyrozumiéć nie trudno. Kochanowski, swój zawód od łaciny rozpocząwszy, i w niéj od razu wsławiony, nigdy się z téj swojéj europejskości dokładnie otrząsnąć nie umiał czy nie chciał. Nie tu jest miejsce obszerniéj o tém rozprawiać; niemniéj względną słuszność przyznać należy Dmochowskiemu, skoro on powiada, że Kochanowski jako liryk:

> ...na słowiańskiéj lutni nawiązawszy strony,
> Wdzięcznie powtórzył greckie i łacińskie tony.

Więc też niemało dziwną jest rzeczą, że w epoce, w któréj wszyscy wpływowi tego księcia poezyi mniéj lub więcéj podlegali, znalazł się ktoś, który z nim tak stanowczo w kierunku pojęć o sztuce się rozchodzi. W tym względzie bliższy jest Sęp naszego, mniéj może ściśle mianém romantyzmu oznaczonego Odrodzenia poezyi,

---

(1) O tych wpływach, ze względu na Kochanowskiego, pisałem już nieraz poprzednio.

niż ów potężny przywódca nowego pochodu, jakbądź ten ostatni sprawy codziennego życia, a nawet żywioły ludowe, miał odwagę w poezyi zużytkować. Daleki jestem od tego, abym miał zbliżać z sobą ich zasługi, Kochanowski zawsze tu pójdzie przodem. Umysł to trzeźwy, wszechstronnie bystrego poglądu, wielkiéj wzruszeń swoich powściągliwości,—umysł jedném słowem jasny, spokojny, na wskróś każdemu przystępny, całkiem po klasycznemu, nawet rzec można, po Olimpijsku, pogodny. Sęp za to gorący jest, zcicha namiętny, myśli nawałem przyćmiony. Niezaprzeczenie téż Kochanowski większym jest artystą,—ten zaś mniéj ma rozmysłu, ale więcéj głębokiego przeczucia. Kochanowski, pomiarkowaniem swojem istotnym jest chłodnéj strefy naszéj synem,—Sęp zaś ma coś w sobie południowéj niesforności. Cóż, takiemu to, niewątpliwie, świeżością powabne wzory włoskie, daleko więcéj od Muz podżyłych, iść musiały do serca. Więc téż i język jego, dosadny, barwny, w obrazy obfity, trybem włoskim, w antytezach, w asonansach się lubuje, myślowemi rymami igra; wyszukanemi koncettami dźwięczy. Weźmy na to kilka przykładów.

To miasto, świat zwalczywszy, i siebie zwalczyło—
By nic niezwalczonego od niego nie było.
Dziś, w Rzymie zwyciężonym, Rzym niezwyciężony... (1)

......Obłokom poczyniłeś tory,
W których błądzic nie mogą, *zgodne* wiodąc *spory* (2).

Wspólnie się *żywić* muszą *żywioły* podniebne (3).

Gdy nam możność niewdzięczna *część* i *cześć* odbiera (4).

Ale osobliwie, kiedy czytamy:

....Wojny pustego
Spokojne dziecka....
Abo płacz śmieszny nieważnéj ciężkości... (5)

to czyż się nam nie wydaje, żeśmy doprawdy w szkole Mariniego, tego dziś na śmierć zapomnianego, a w swoim czasie tak nadzwy-

---

(1) Jestto wyjątek z powołanego już poprzednio przekładu wiersza Witalisa o Rzymie. Poezya ta, w owym czasie, tak wielkiéj używała wziętości: że nie tylko żywcem ją sobie przywłaszczył Dubellay, jeden z siedmiu wybrańców Ronsardowskiéj Plejady; ale nawet, nieco późniéj, we Włoszech, nie wahał się sięgnąć po nią sam wielki Marini.

(2) Pieśń II. O Bożym Rządzie na świecie.

(3) Tamże.

(4) Pieśń VI nakształt psalmu CXX (właściwie zaś 123).

(5) Pannie Jadwidze Tarłównie kwoli.

czajnie sławionego geniusza, o którym z politowaniem powiada Cantu, że mogąc zdobyć sławę, wolał się cieszyć rozgłosem? Jednak Mariniego wtedy jeszcze nie było—ale były już upodobania, którym on niebacznie hołdując, do nadużycia miał je wyzyskać. W epoce owéj, liryczna poezya włoska potężnie zarażona była złym smakiem. Sprawili to naśladowcy Petrarki, zwykłą koleją przesadzając to, co właśnie w mistrzu było do zganienia. Na szczęście, w porze w któréj Sęp sztuki włoskiéj się uczył, trafił się był chwilowy zwrot ku lepszemu. Stało się to pewnie wpływem Ariosta, po części może i Tassa, choć ten ostatni, po za obrębem swego arcydzieła, ku pasterstwu ckliwemu lirykę za sobą pociągać zaczynał. Otóż, świetnieje tu kilka imion ze szkoły Petrarki, a na ich czele bez zaprzeczenia stoi della Casa, oraz Wiktorya Colonna. Tych tedy niewątpliwie, a zwłaszcza pierwszego, Sęp nasz puścił się śladem. I wybór ten wykazuje całe niepospolite zdrowie jego smaku. Zresztą, della Casa dziwnie się z nim schodzi. Duch to również, przy prostaczéj wierze swojéj, nie tyle po platońsku co owiana już odrodzeniem Wiktorya Colonna, jak raczéj po średniowiecznemu mistycznie dumający—podobnie jak Sęp łagodny a namiętny, w sobie zamknięty a wymowny. Do tego mistrz skończony w sonecie, któremu umiał przywrócić nie tylko dawną myśli powagę, ale i siłę języka, i rytmu poprawność zaniedbaną. Z bliższego tych dwóch poetów porównania, wychodzi na jaw nie jedna pobratymcza między niemi cecha—nie ma jednak takiéj, w którejby z czystem sumieniem stosunek ucznia do mistrza upatrzyć można. Śmiało to mówię: Sęp, mimo szkoły, do któréj się wpisał, naśladowcą niewolniczym nie był. Podobnie jak Kochanowski, który, choć za klasykami poszedł, choć ich nieraz żywcem sobie przyswaja, pozostał jednak sobą; tak i Sęp, uczeń włoskiéj sztuki, całkowicie nasz jest—tembardziéj, że on nawet żywcem nic od drugich nie brał. Nawet i nie bardzoby potrafił, obaczymy to przy rozbiorze jego psalmów. Z tych jeden tylko zdobył się on dosłownie przełożyć, inne zaś, parafrazując na swój sposób, bezwiednie nawet może poprzemieniał w hymny,—bo ten duch letny długo przy ziemi trzymać się nie umiał. Powiem rzecz dziwniejszą. Psalm *de profundis* odtworzony jest w formie canzony, w strofie średniowierszowéj, z przemianami rymów, nie znanemi ani przed nim ani po nim aż po nasze czasy. Tak to on, zewnętrznie nawet, włoszczyźnie swojéj był zjednany.

O Sonetach jego pisano nieraz, kłopocząc się, kto kogo w tym razie ubiegł: czy on Kochanowskiego, czy Kochanowski jego? Mojem zdaniem, rzecz to niepodobna do roztrzygnięcia, a naprawdę nawet obojętna. Myślę tylko, że, bądź co bądź, Sęp tu nad Kochanow-

skim bezwarunkowo górę trzyma. Nie mówię już o tém, że Kochanowski, z téj swojéj włoszczyzny niezbyt szukający chluby, poprostu do Fraszek ją wyprawia, i nawet sonetu żadnego głośno sonetem nie wyznaje; ale o téj różnicy pomiędzy niemi w sposobie użycia danéj formy. Otóż, Kochanowski, po mistrzowsku swoim zwyczajem, z łatwością niezrównaną, swobodnie, lekko rzecz tę zbywa—ale Sęp nie równie głębsze objawia tu poczucie zadania. Gdyż sonet, jeśli nie ma być miłosny, to, jak wiemy, w tonie poważnym koniecznie winien być trzymany. Tak nas przynajmniéj pouczają Petrarka i Dante, dwaj najpierwsi w tym pieśni rodzaju mistrze i prawodawcy.

Czy zaś i o ile Sęp Kochanowskiego w innych razach przodem po przed sobą puszcza? to wprędce obaczymy; obecnie jednak wypadnie przyjąć za rzecz pewną, że on od niego nic a nic nie wziął; choć to, jak wiemy, naonczas niemal nieuniknionėm było. Rozdzielały ich usposobienia stanu duszy, upodobania artystyczne—nawet, rzekłbym, temperamenta. Kochanowski bezsprzecznie należy już do epoki Odrodzenia, geniusz to rzecby można jutrzejszy; Sęp zaś, wśród epigonów średniowiecznéj zastałości za przeszłością jeszcze podąża. Kochanowski wolnomyślny jest, wielce już po nowemu na sprawy świata patrzący; Sęp zaś, w sobie jedynie zatopiony, przy mistycyzmie starym się trzyma. Kochanowski tworzy epokę, naprzód idzie, na wszystkie strony nie znane przed nim wydeptując szlaki-- działalnością swoją gorączkową wypracowywa: myśl, styl, język, wieloraki form zewnętrznych mechanizm, poglądy, i zresztą wszelkie sztuki rodzaje; tamten zaś, zdaje się odchodzić w cienie gdzieś milczące, zabierając z sobą nierozwikłane swoje zagadki, samotny, zadumany, jakiś niby wczorajszy--ztąd więcéj może dziś zrozumiały, niźli w swoim czasie. Wykazałem też poprzednio, że każdy z nich w innéj szkole smak swój kształcił; tak więc, wszystkie te względy zgromadziwszy w jedno, koniecznie przyjdziemy do przekonania, że nigdy pomiędzy temi dwoma poetami zbliżenia być nie może, lub przynajmniéj z wielką je ostrożnością, zwłaszcza bez powziętych z góry uprzedzeń, upatrywać się godzi.

4. Szczegółowy przegląd utworów Sępa. Sonety. Psalmy. Pieśni.

Weźmy wreszcie pod bliższe rozpatrzenie tę wiązkę nieśmiertelników, która nam na pamiątkę po tym biednym Sępie naszym została. Ma ona woń sobie właściwą. Być może taką tchnęło owo kadzidło, niegdyś przez Magów, z dalekiego wschodu, za przewodem Gwiazdy Betleemskiéj, niesione. I barwy też tych kwiatów, nie ty-

le żywe co w Niedzielę kwietnią, przypominają raczéj owe wianki jesienne, które lud prostaczy, w dzień Matki Boskiéj Zielnéj, na zamknięcie żniwa święci. Pęczek tych kwiatów szczupły jest, więc żadnego pominąć się nie godzi—zresztą naprawdę nie ma tam takiego bez któregoby się obeszło; bo każdy zdaje się być w pewnéj okoliczności życia wykwitły, w pewném usposobieniu duszy pielęgnowany, w pewnéj myśli uszczknięty, i w pewnym porządku pomieszczony, tak, że wszystkie razem, tworzą niby pamiętnik wrażeń osobistych, wymowny tylko zestawieniem odpowiednich sobie barw, jak to bywa w tak zwanym kwiatowym języku.

Pierwotne wydanie poezyi Sępa nosi napis: Mikołaja Sępa Szarzyńskiego Rytmy abo wiersze polskie (1) po jego śmierci zebrane i wydane, Roku Pańskiego 1601.

Jakoż, niby smutnem przedwczesnego zgonu przeczuciem, zbiór ten rozpoczyna rodzaj Prologu, będącego dumaniem u *posągu śmierci.*—Z grzechu się ona urodziła—tak powiada poeta—ztąd jest nieubłagana i w tajemnicy działająca. Któż wie: czy i wam, którzy mniemacie, że jest skamieniałą, w téjże chwili, ta nieprzemożona bojownica, nie przykłada kosy do szyi?...

Daléj, Sonety idą. Jest ich sześć. Pierwszy: *o krótkości i niepewności na świecie żywota człowieczego.*—Im daléj drogą życia stąpam, rozważa poeta, tém wyraźniéj oglądam cień mych błędów, za mną się wlokący. O! jakież na świecie pożądanie na zawód człowiekowi nie wychodzi? Wszelkie tu dobro niestałem jest, a ten jedynie spokojny w sobie, który się w czas przekonał, że tylko ułudą świat powabnym się przedstawia.—Sonet drugi, Jobowe, goryczy pełne słowa chrześciańskim zwrotem, na modlitwę namaszcza:

Z wstydem poczęty człowiek, urodzony,
Z boleścią, krótko tu na świecie żywie.
I to odmiennie, nędznie, bojaźliwie,
Ginie, od słońca jak cień opuszczony...

I od takiego, Boże nieskończony!
(W sobie chwalebnie, i w sobie szczęśliwie
Sam przez się żyjąc), żądasz jakmiarz chciwie
Być miłowany i chcesz być chwalony?

Dziwne są Twego Miłosierdza sprawy!...

Zdumiewają się nad niemi Cherubinowie w swym rozumie przepaścistym—Serafinowie zaś płoną od nich miłością.

---

(1) Że pomieszczono tam jednak i kilka łacińskich, z tego wnosić się godzi, że tych ostatnich mógł być zbiór osobny, także może dość znaczny.

O święty panie! daj: niech i my mamy
To, co mieć każesz, i Tobie oddamy.

Sonet trzeci: *Do Najświętszéj Panny*. Nazywa ją w nim nie mającą sobie równéj, oraz drugą ozdobą ludzkiego rodu, którego pierwszą Ewa była.

Panno bezrówna, stanu człowieczego
Wtóra ozdobo! nie psowała w któréj
Pokora serca, ni godność pokory!
Przedziwna Matko Stworzyciela swego!

Ty, głowę starwszy smoka okrutnego,
Którego jadem świat był wszystek chory,
Wziętaś jest w Niebo nad wysokie chóry
Chwalebna, szczęścia używasz szczerego.

Tyś jest dusz naszych jak księżyc prawdziwy,
W którym wiecznego baczymy promienie
Miłosierdzia...

Jest bardzo pięknym ten zwrot końcowy, który w téj Matce Zbawcy, widzi odblask słonecznéj jego światłości.

W sonecie czwartym, rzecz jest: *O wojnie naszéj, którą wiedziemy z szatanem, światem i ciałem*. W spokoju—powiada poeta—należy widzieć jedyną szczęśliwość. Ale cóż z tego—kiedy bojowaniem stoi nasz byt podniebny; bowiem on srogi Hetman ciemności, w zmowie z chciwemi potępienia marnościami tego świata, pilno na naszę zgubę działa! I nie dość na tém, ale i ciało domem naszym będące, dla rozkoszy przemijających, duchowi niebacznie zwierzchności zazdroszcząc, wiecznie nie przestaje żądać swego upadku.—

Cóż będę czynił w tak straszliwym boju,
Wątły, niebaczny, rozdwojony w sobie?
Królu powszechny! prawdziwy pokoju

Zbawienia mego! jest nadzieja w Tobie!
Ty mię przy Sobie postaw, a prześpiecznie
Będę wojował—i wygram statecznie.

Sonet piąty: *O nietrwałéj miłości rzeczy świata tego*, w całości wart jest przytoczenia:

I nie miłować ciężko, i miłować
Nędzna pociecha! gdy żądzą zwiedzione
Myśli cukrują nazbyt rzeczy one,
Które i mienić i muszą się psować.

Komu tak będzie dostatkiem smakować:
Złoto, sceptr, sława, rozkosz i stworzone

Piękne oblicze, by tém nasycone
I mógł mieć serce, i trwóg się warować?

Miłość jest własny (właściwy) bieg bycia naszego—
Ale z żywiołów utworzone ciało
To chwaląc, co zna (że jest) początku równego,

Zawodzi duszę, któréj wszystko mało—
Gdy Ciebie, wiecznéj i prawéj piękności
Saméj nie widzi—celu Swéj miłości!

Sonet szósty, poświęcony jest uczczeniu Mikołaja Tomickiego. Całkiem on włoskiéj wykwintności.—Tomicki, powiada w nim poeta, jeśli nie ganią ludzie takiego, który, jak skromna lampa, świeci ku sławie téj chwalebnéj w sobie światłości, téj świętéj, téj niezmiernéj, z któréj wszelakiego światła jasność płynie,—tedy nikt mię płochym nie nazwie: że chcę sławić piękność, doświadczonéj w tobie przez każdego cnoty,—

...Jeno żem uczonéj
Mało pił wody—nie śmiem jąć się tego.
Chęć przyjmij wdzięcznie—na téj (sam) Bóg przestaje.

Daléj, idzie sześć pieśni, stanowiących naśladowanie psalmów. Zaznaczyłem to już powyżéj, że Sęp nie posiadał zdolności w prostocie Dawidowéj uniesienia swoje wypowiadać. Przekonamy się o tém dokładniéj przy rozbiorze jedynego psalmu, który się on zmusił nareszcie słowo w słowo, jak umiał, przełożyć. Jakbądź bowiem i jemu harfa raczéj niż lira przystała, bliższy on w tém Proroków namiętnych, niż tego spokojnego pieśniarza tyle ogólno-ludzkiego, że się stał niemal typem modlitewnéj poezyi. Zdawaćby się mogło, że Sęp, zabierając się do odtwarzania psalmów (a w owym czasie któż z tego chwały nie szukał?), zawsze w szczeréj chęci trzymania się pierwowzoru do rzeczy swéj przystępuje. Ale cóż z tego, skoro go zaraz gorącość jego średniowieczna unosi, i oto staje się, że on, temu królewskiemu Lewicie archanielskie skrzydła arki jego u ramion uczepiwszy, porywa go z sobą w obłoki, kędy już nie psalmy ziemskie łagodnie jasne, ale, o tyle bliżéj Nieba, błyskawiczne hymny się tworzą. Powtarzam to raz jeszcze z naciskiem: za wiele on miał twórczości, ażeby w czyjekolwiek wstępować potrafił ślady. Nieraz i usiłował, a jednak nie mógł: bo był z tych, którzy, nawet wbrew własnéj woli, pozostać muszą sobą. Warto tym jego usiłowaniom wyzucia się z siebie nieco bliżéj się przypatrzyć.

Oto pieśń pierwsza (psalm 19). Zrazu, jak zawsze, zaczyna on tu dosłownie, ale już w drugiéj strofie rozwija bogactwo obrazów, o wiele przenoszące prostotę pierwowzoru.

Poznaj, że mądrym, że jest wiekuistym
Pan, co ma pałac na Niebie ognistym,
W którym zawiesił i wietrzne próżności,
I możną wodę wzniósł z ziemnéj ciężkości.

Poczem, stopniowo, coraz górniéj szybując, zdaje się niemal z oczu tracić dobrowolnie obraną drogę.

Kto się, gdy nieba chmura nie zakrywa,
Patrząc na jasnych gwiazd blask, nie zdumiéwa?
Albo gdy światłem uderzy go w oczy
Słońce, ognistym gdy się kołem toczy?

Które, gdy z łoża powstawa swojego,
Jak oblubieniec, obleczon z szczerego
Złota ubiorem, a wieniec, z kamieni
Kosztownych sprawion, głowę mu promieni.

Do kresu swego nic nie zmordowany
Gwałtem się wali, dobrze przyrównany
Kształtem i siłą i pędem onemu
Jest olbrzymowi, sto rąk mającemu.

Daléj, miejscami, zupełnie już od tekstu odbiega, aż wreszcie, w pokorze, niby syn marnotrawny, ku końcowi, znów, ile go stać na to, dosłownie do Dawida wraca.

Słowa ust moich, myśl serca mojego
Pokorną przyjąć racz uniżonego
Proszę, o panie! Boś Ty jest zbawieniem,
Bogiem, nadzieją i mem wspomożeniem!

W pieśni trzeciéj, którą może z umysłu zamaskował nazwą *Lamentu kościoła powszechnego* (mogła téż to zrobić „osoba duchowna, do sporządzenia pism“ owych użyta), wypowiada jak sądzę własne swoje osobiste strapienia.—Panie! zmiłuj się nademną—woła z psalmistą,

Bo mię przeciwnik depce, i staranie
Ma o tém pilne, abym na odmiany
Wszelkim kłopotem był umordowany...

W żaden dzień wolnym nie jestem od niego,
I noc nie próżna strachu okrutnego...

— Wszakże, ojcze dobrotliwy! w tobie jedyna moja otucha. —

Wiem, o! wiem pewnie, Wiekuisty Panie,
Że liczysz każde moje uciekanie (się do Ciebie),
I chowasz krople łez oczu płaczliwych,
I wiesz przyczynę kłopotów straszliwych...

W końcu, dodaje jeszcze od siebie:

Twą łaską wolny, Twą pomocą nogi
Moje nie zstąpią z Twojéj świętéj drogi,
Dokąd duchowi mojemu mieszkanie
W tém wątłem ciele będzie, o mój Panie!

Pieśń czwarta, jak się to wyżéj rzekło, ułożona jest w sposobie canzony.

Będziesz li chciał nasze złości
Ważyć, ojcze dobrotliwy,
Wagą Twéj sprawiedliwości,
I któż będzie tak szczęśliwy,
Kto tak w cnotach utwierdzony,
Gdy przyjdzie na sąd straszliwy,
By nie miał być potępiony?

Ale Ty, sędzia łaskawy,
Nie według szczeréj srogości
Karzesz nasze błędne sprawy.
Zakon Twój pełen lutości,
I wierne Twe słowa panie,
Że mię wyrwiesz z téj ciężkości,
Czynią mi pewne ufanie...

Pieśń szósta, będąca parafrazą psalmu 120 (a właściwie 123), cała jest, równie jak i następna, w stylu włoskim.

Panie nasz Wszechmogący, wieczny, niepojęty!
Tobie Cheruby krzyczą: święty, święty, święty!
Tobie Seraf, miłości prawéj płomień czysty (1),
A Twéj chwały dwór znaczy firmament ognisty.

Przeto, choć wszędy Tyś jest, oczy me płaczliwe
Tam podnoszę, i serce tam wzdycha tęschliwe,
Bo ciężkościom nierówne zmysłów mych krewkości (2),
Jak słudzy od swych panów, pragną Twéj lutości.

---

(1) Już poprzednio, w sonecie II, Serafom przyznał własność pałania najczystszą miłością. Cherubów zaś nazwał „przepaścią zrozumości.“ Zdaje się z tego, że nie obcą mu być musiała Komedya Dantejska. Por. Raju pieśń 28.

(2) Bo krewkości mych zmysłów pod ciężarem win swych upadające.

I wola ma, Twéj woli sługa nie skwirkliwa,
Wzdy, by skromna od pani panna, oczekiwa
Rychło jéj rękę podasz, i sprawiedliwego
Ciężaru gwałt uskromisz z miłosierdzia Twego.

O ojcze miłosierny! którego dobroci
Zdrojów, żadnego grzechu grobla nie odwróci,
Już się zmiłuj nad nami! Zmiłuj się nad nami!
Jużeśmy nazbyt pełni szkody z despektami!

Już serce nie boleje, lecz jakmiarz umiera,
Gdy nam możność niewdzięczna część i cześć wydziera (1),
Gdy nas hardość nadęta przenosi oczami (2),
Nie bacząc, że nie gardzą oczy Twoje nami.

Wreszcie pieśń piąta, prawie nic wspólnego z psalmem 70 nie mająca. Warto ją w całości przytoczyć, bo daje miarę potęgi języka i gorącości tonu, w jakim poeta zwykł wypowiadać ascetyczne swoje zachwyty.

Ciebie, wszego stworzenia o Obrońco wieczny!
Wzywam wątły, ubogi i nigdzie bezpieczny:
Miej mię w pilnéj opiece, a we wszystkiéj trwodze
Pośpiesz przynieść ratunek duszy méj niebodze!

Uskrom choć rózgą Twoją ciało zaślepione,
I żądzą próżną, sprosną, szkodną napełnione—
Niech się wstyda, że pragnie duszy swéj panować!
Słuszniéj wiecznéj ma służyć, co się musi psować (3).

I wy, wojska zazdrosne (Pan Bóg mnie obroną),
Tył podajcie i weźmicie hańbę nieskończoną,
Co dóbr (zkąd was wygnano) stworzeniu Pańskiemu
Nie życzycie, i chwały Stwórcowi swojemu!

Szczęście me! Chwało moja! niech wskok wstyd poczują,
Którzy mi inszą chwałę, nie ciebie cukrują!
Co ma człowiek nie Twego? a który się chlubi
Z darów Twych, Wieczny Królu! dary Twoje zgubi...

To szczęśni, to weseli, którzy wyznawają,
Że Twe jest, co jest dobre i Ciebie szukają
Wiecznotrwałéj ozdoby, i czynią staranie,
By chcąc, samego Ciebie miłowali Panie!

---

(1) Gdy nam przemoc wstrętna (szatańska) dziedzictwo (niebieskie) i dobrą sławę wydziera.

(2) Gdy na nas pycha szatańska pogardliwie (z góry) patrzy.

(3) Słuszniejsza jest rzecz, ażeby wiecznéj duszy służyło ciało.

I mnie policz w tę liczbę, Ojcze Miłosierny!
A daj, bym i tu baczył, iżem proch mizerny,
I nie równy (1) tak ciężkich przygód nawałności—
Niech znam moją możnością wielkie Twe lutości (2).

Ale kto jest szczęśliwy, choć dyamentową
Wdział zbroję, wojnę cierpiąc długą i surową?
Przeto proszę, Ty, któryś jest obrońcą w boju,
Nie odwłaczaj dać się nam, Zbawienny pokoju!

Pieśń ta, jeszcze u Dawidowéj harfy szukająca nastroju, przejście stanowi do oddziału wielu innych, w tymże tonie i stylu trzymanych, ale już całkowicie własnością poety będących. Z tych pięć jest, w których on streszcza filozoficzne swoje na życie poglądy.—Nie żaden to traf przygodny rzeczom tego świata przoduje—tak on sobie duma.

O Mądrości! Wszystkiego żywocie stworzenia!

Lutość i sprawiedliwość wszystkie Twoje sprawy—
A przed Twemi oczyma i lewy i prawy (3).
Więc temu (4) i to zdrowo, co się zda, że szkodzi—
Tamtemu, i to wadzi, co mu żywot słodzi.

A my, na Twoje sprawy choć wzrok ciemny mamy,
Kiedy się poznać chcemy, dotknąć się władamy (5):
Żeś nam nie tylko być dał, ale, by szczęśliwie
Każdy żył, Sam się dawasz wszystkim lutościwie.

Ale ta Twa powszechna Łaska, Panie Wieczny!
(By cień światła Twojego tento blask słoneczny (6)
Chociaj rzeczy oświeca jednako poddane,
W same promienie czyste i polerowane,

O wszechmogący Boże! Światłości szczęśliwa!
Serce nasze osiadła rdza grzechów płaczliwa;
Zkąd, chociaj nas oświecasz, żywiemy jak w nocy,
A jadu tego pozbyć nie naszej czyn (em jest) mocy.

Ty nas oczyść, prosimy Miłosierdzia Twego!
Niech promień, bijąc w serce, odnosi od niego
Ku Tobie jasny odraz (7) Chwały i Miłości—
O Panie! nasza Chwało! nasza Szczęśliwości!

---

(1) Nie zdolny podołać.
(2) Niech uczuję, że jest moją potęgą Twe wielkie miłosierdzie.
(3) Zły i dobry.
(4) Dobremu.
(5) Władzę mamy przekonać się.
(6) Niby słońce, które jest cieniem Twego światła.
(7) Od-rażenie światłem.

I dalej: *O Rządzie Bożym na świecie:*

Wiekuista Mądrości, Boże niezmierzony!
Który wszystko poruszasz, (sam) nie będąc wzruszony!
Wściągasz (1) prawem Aniołów wojska niezliczone,
Tak, że muszą z Twą wolą chcenia mieć złączone...

Wspólnie się żywić muszą żywioły podniebne!
Nie dziw:żeś dał naturze prawo tak chwalebne,
Że nie władnie odstąpić od Twéj wiecznéj woli,
Gdyż Ty w prawie dobroci trwasz i dobréj woli.

Proch podnóżka Twojego, czemu wolność mamy
Twych ustaw ustępować (2), w których żywot znamy (3),
Do tego przystępując, co śmiertelnie szkodzi?
Dałeś rozum—przecz u nas fortuna się rodzi? (4).

Porzuć straszne pioruny, zatrać i przygody,
Któremi nam znać dawasz, że chcesz z nami zgody;
A utwierdź wolność chceniu, któréj nie zna użyć... (5)
Wolim w Świętéj Ojczyznie, Tobie wiecznie służyć!

Wreszcie, prześliczna pieśń *O Wielmożności Bożéj*, warta jest przytoczenia w całości.

Od Boga wszystko. Pan to dobrotliwy,
Któremu śpiewać, jako on szczęśliwy
Aniołów zastęp, nie mogę, choć żądam,
Aż Go oglądam

W ziemi żywiących (6), kędy niepotrzebny
Język i usta do mety chwalebnéj.
Tu niechaj głos mój, choć nie równy, idzie
W twój trop Dawidzie,

Królu szlachetny! poeto bezrówny!
Którego lutnia i głos balsamowny
Nie zginie z laty, i nie chybia celu
Sam jeden z wielu!

Bo Pana śpiewa, który niebo sprawił,
Dał światło gwiazdom, i jedne zabawił
Na miejscu, drugie Jego wdało chcenie
W rządne (7) błądzenie.

(1) Powściągasz.
(2) Odstępować.
(3) W których wiadomo nam, że jest życie (wieczne).
(4) Czemu szczęście ślepe wśród nas się wyradza.
(5) A utwierdź w nas wolność woli, któréj to wolności ona nie wie, jak użyć.
(6) Niby, w ziemi obiecanéj żyjących wiecznie (w Raju).
(7) Poddane porządkowi.

Ogniem wiatr przykrył (1), dzierżą ziemię wody—
Różnym naturom kazał użyć zgody—
Temiż źwierz, ptaki, ryby, drzewa z zioły,
Trzyma żywioły.

Przedziwny wszędzie, ale bardziéj w Sobie—
Sam Sobie dosyć w szczęściu i ozdobie—
Wzdy, ku Swéj sławie, dał w tem uwielbieniu
Miejsce stworzeniu.

Bowiem zwierciadła Swéj wiecznéj Mądrości
Na niebie stworzył—szczere rozumności (2)—
Ku sobie ciągnie nas, choć podłą ziemię,
Adama plemię.

Wieczna Dobroci! Przyczyno wszystkiego!
Życz nam być wdzięcznym (i) daru tak wielkiego!
Daleś Się poznać, daj, niech serce pali,
Co rozum chwali (3)!

Trzykroć szczęśliwy, który Ciebie, panie,
Zna spraw swych końcem, i ma zakochanie
Wszego bezżądne (4) tylko w Twéj Wieczności,
Doskonałości!

W dalszym ciągu, zastanawia się jeszcze poeta nad tem: *Iż rozum człowiekowi potrzebniejszy, niż skarby*, i zdaje się nam, jakobyśmy znowu słyszeli nieraz własnych jego strapień domowych skargę cichą— więc téż najbezpieczniéj to podobno:

...Kto pociechy swoje
W Tobie samym ma Panie, próżen inszych rzeczy,
I dla Ciebie, sam siebie wzgardził mieć na pieczy!

Niestety! *Próżne jest*, nawet i przy rozumie, *bez Bożéj pomocy staranie człowiecze*,—zaczem

Niech moja łódź, gdzie pędzi wola Boża, bieży,
I przy brzegu, który mi Bóg naznaczył, stanie...

Bo na tym świecie, w więzach ciała duch utęschniony, z imienia tylko zna spokój uszczęśliwiający, przeczuciem go raczéj odgadując

---

(1) Płomienistym eterem powietrze otoczył (stosownie do mniemań astronomicznych owczesnych).

(2) Zastępy Aniołów. W sonecie II, Cheruby niebieskie, jak to już zaznaczono, nazywa przepaścią zrozumości.

(3) Niech nam serce rozpala to, co rozum nasz za chwałę uznaje.

(4) Wszystkiego się wyrzekające.

niż wiedzą—i wszystko co ziemskie, jak: sława, rozkosz, władza, bogactwo, a nawet i stoicka, w słowach jedynie żelazna, cnota, w niczem nie stawia tamy przeciw powodzi Zaćmionéj Bogini (śmierci).

Przęto, woli méj rada...
Chętne żagle rozwiła ku Twéj Panie Chwale...
Ty mię wleź—Ty Sam steruj—tak skończę bieg w cale (ocalony).

(d. n.). *Felicyan.*

TATRY I PODHALANIE.

(*Dokończenie*).

Ciągła walka z niedostatkiem, obawa głodu i trudność zarobku uczyniły Podhalan chciwemi na grosz, oraz skłonnemi do pieniactwa czyli *prawocenia się* o najdrobniejszy skrawek jałowego gruntu, chociażby nawet nieużytku. Na obronę górali to wszakże powiedzieć należy, że *prawocenie się* często kończy się wyrokiem poważnych i wpływowych współobywateli, występujących jako sędziowie polubowni. O ile mogłem wymiarkować, polubowny ten sąd wielką cieszy się powagą, skutkiem czego opinia publiczna zmusza strony do poddania się jego wyrokowi, który często w imię sprawiedliwości każe się zrzekać prawnie nawet uzasadnionych lecz niesłusznych pretensyi.

Pomimo wszelkich zatargów pomiędzy sobą, nawet w razie niechęci lub nienawiści, Podhalanin jeden drugiego nie zdradzi, ani też wyda z jakiejbądź przeciwnéj prawu czynności. Podhalanie mogą się z sobą kłócić, ale pomimo to zawsze solidarnie przed obcym występują. Przestępstwa srodze nawet karzą, ale obcego wdania się i w tym razie starannie unikają.

Pomimo trudnych warunków bytu, Podhalanie zabiegliwością, oszczędnością i wstrzemięźliwością umieją wyrobić sobie stosunkowo wcale znośny byt: ubierają się z pewnym nawet wykwintem i w ogóle bardzo czysto, (1) posiadają ładne i dobrze utrzymane *statki*, oraz bardzo schludne domy, nic więc dziwnego, że z pewnego rodzaju pogardą i politowaniem spoglądają na *Lachów*, tj. swych współbraci z dolin, którzy pomimo dobréj ziemi, a tém samém większéj zamożności, mniéj dbają o czystość mieszkania i odzieży, oraz

(1) Szczegóły o mieszkaniach i ubraniu Podhalan znajdzie czytelnik w artykułach p. Konopki i ks. Sutora.

mniéj piękny posiadają dobytek. Wreszcie *Lachy* bez porównania częściéj aniżeli Podhalanie przebierają miarę w napoju, bo na Podhalu pijaństwo jest wadą wyjątkową i zawsze pogardzaną. Podhalanie, a przedewszystkiem Zakopianie i bezpośredni ich sąsiedzi, uważają górali beskidowych, pienińskich i innych za stanowczo od siebie niższych. Może tu być nieco chełpliwości, trudno jednak zaprzeczyć, że pomimo całego rozwoju władz umysłowych i fizycznych u sąsiednich górali, Podhalanie niewątpliwie wyżéj nad niemi stoją. Pomiędzy innemi, Podhalanie, a szczególniéj Zakopianie, mają tę wyższość nad pozostałemi góralami karpackiemi, że choroba wola rzadko się wśród nich napotyka. Według wiadomości łaskawie udzielonych mi przez profesora Chałubińskiego, wole rzadko się zdarza w Zakopanem, gdzie w każdym razie bardzo słabo bywa rozwinięte. W innych okolicach Podhala wole częściéj się zdarza, aniżeli w Zakopanem, zawsze jednak należy do mniéj pospolitych zjawisk, gdy tymczasem w pozostałych częściach polskich Karpat bardzo jest rozpowszechnione i przybiera odrażające rozmiary. Prof. Chałubiński przez wiele lat zwiedzając łańcuch Karpat polskich, przyszedł do przekonania, że w szerokich dolinach dobrze przez słońce oświetlonych i zroszonych przez potoki, zawierające czystą i mało mineralną wodę, ludność jest silna, czerstwa, wolna od kalectwa wola i dobrze pod względem umysłowym rozwinięta. Takiemi są Zakopianie, oraz w części ich bezpośredni sąsiedzi, a w mniejszym stopniu i pozostali Podhalanie. Wole w zupełności rozwija się w wązkich, ciemnych dolinach, zroszonych strumieniami płynącemi z pokładów piaskowca Karpackiego, który tworzy znaczną część tego łańcucha górskiego. Ludność w takich dolinach często bywa wolowata, oraz mniéj pod względem umysłowym i fizycznym rozwinięta. To téż w Zakopanem nie ma kretynów, pojawiających się we wsiach karpackich.

Jak to przed chwilą nadmieniłem, ludność Podhala, zwłaszcza najwyższych jego części, pomimo wszelkich braków jakie musi znosić, a zwłaszcza pomimo skąpo wydzielanego, jałowego pożywienia, odznacza się czerstwością, piękną budową i zdrowiem. Wprawdzie z powodu niewystarczającéj żywności ludzie bardzo powoli na Podhalu dojrzewają, bo szesnastoletni chłopak lub dziewczyna często wygląda zaledwie na 12, czasem tylko na jakie 10 lat, ale za to czerstwość nie prędko, zwłaszcza mężczyzn, opuszcza. Kobiety prędzéj więdną, ale téż nie może być inaczéj; gaździna trudni się całém gospodarstwem domowém i wychowaniem dzieci, oraz niszczy zdrowie wydawaniem licznego potomstwa, a nie ma czem należycie ubytku w siłach powetować. Mężczyzni w ogóle mniéj od kobiét pracują, a przynajmniéj nie mają ciągłéj, nieustającéj pracy; dla tego téż ła-

twiéj znoszą rozmaite braki. Pomimo szybszego starzenia się, kobiéty, równie jak mężczyzni do bardzo podeszłego wieku zachowują swe białe i równiutkie zęby, piękniejsze od wystawionych u nas na pokaz w szafkach panów dentystów.

Pomiędzy Podhalanami przeważa wzrost średni, chociaż często zdarzają się ludzie dobrego, nawet wysokiego wzrostu. Twarz Podhalan jest w ogóle regularna, często ściągła, pospolicie ładna, ciało proporcyonalnie i silnie zbudowane, stopy i ręce bardzo małe. Mężczyzni są w ogóle ładniejsi od kobiét, które jednak, zwłaszcza dziewczyny, są daleko ładniejsze, aniżeli goście do Zakopanego przyjeżdżający mniemają, a w niektórych wsiach, jak to słusznie Zejszner zauważył, zdarzają się prawdziwe piękności. Tak np. najładniejsze gaździny zakopiańskie po większéj części pochodzą z sąsiedniego Poronina.

Podhalanin jest namiętnie do gór swoich przywiązany i kocha je całém sercem. Opuszczając je na czas dłuższy, czuje się prawdziwie nieszczęśliwym, nigdy o nich nie zapomina i wraca, jak tylko okoliczności na to pozwalają. Ta niczem nie powstrzymana miłość do gór przeszkadza nawet pracom Podhalan, którzy nie są w stanie dosiedzićć we wsi i od czasu do czasu muszą się nacieszyć swemi wirchami, napoić powietrzem wysokich szczytów, napaść oczy rozległym widokiem, oraz sprawdzić, czy echo tak samo odzywa się w daném miejscu jak roku poprzedzającego.

Podhalanin, zwłaszcza bliżéj Tatrów zrodzony, będąc wychowany pośród niedostępnych gór, gdzie się czuje zupełnie swobodnym i zależnym tylko od własnego sumienia, namiętnie jest przywiązany do swobody i niezależności. Najmując się do pracy, Podhalanin bynajmniéj nie uważa się za niewolnika swego chlebodawcy; to poczucie niezależności przewodnicy zakopiańscy chętnie przypominają turystom śpiewając podczas wycieczek ulubiony dwuwiersz:

Panowie, panowie, będziecie panami.
Ale nie będziecie przewodzić nad nami.

Podhalanin ma nadzwyczaj silnie rozwinięte poczucie własnéj godności, a tém samém nadzwyczaj jest czuły na złe obejście, którego nie umie znieść z pokorą, a przynajmniéj pokora jest tylko do czasu. Z drugiéj znowu strony dobrém i życzliwém obejściem można go bardzo łatwo ująć, a wtedy daleko więcéj uczyni dla przyjaźni, aniżeli dla zysku.

Pomimo biedy i niedostatku Podhalanin jest dumny i trudny do kupienia, ale téż umie być prawdziwym przyjacielem. Ileż to razy można widzićć w Zakopanem przewodnika, wymawiającego się

od prowadzenia w góry pewnéj osoby, jedynie dlatego, że osoba ta ma obejście pogardliwo-grubijańskie, jakie w pewnych, mało jeszcze cywilizowanych sferach uchodzi za dowód dobrego, pańskiego wychowania.

Ludzie tego rodzaju często bywają pozbawieni dobrych furmanów i przewodników, oraz z trudnością dostają zapasy żywności. Naturalnie, w podobnych razach składa się winę nie na własną dzikość i brak wychowania, ale na chciwość tych *szkaradnych, ciemnych górali*.

Podhalanin umie być wdzięcznym i poczuwa się do obowiązku spłacenia długów wdzięczności, czego niekiedy brak nawet ludziom cywilizowanym, którzy się uważają za nieskończenie wyższych od mizernego górala.

Obejście Podhalanina, zwłaszcza z Zakopanego i sąsiednich wsi, ma w sobie coś szlachetnego i w prostym człowieku niezwykłego. Podhalanin jest grzeczny i uprzedzający, ale bez uniżoności; zawsze był wolnym, a zatém nie zna służalstwa i nie widzi żadnéj potrzeby płaszczenia się. Spotkawszy obcego, wita go uprzejmym ukłonem i wszędzie powtarzanemi u nas słowy „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“; pospolicie całuje nawet rękę spotkanego przybysza, ale wszystko to czyni z taką patryarchalną poufałością i dobrodusznością, że nie ma w tém żadnego uniżania się przed bogatszym. Podhalanin chętnie zawiązuje rozmowę, przyczém ma zwyczaj siadać obok zagadniętéj osoby, bez względu na jéj stanowisko społeczne, wyjąwszy chyba osoby duchowne. Obcowanie z przyjezdnemi gośćmi, oraz ciągłe nauki i strofowanie kanonika Stolarczyka wielki wpływ wywarły na Zakopian, którzy znaczne postępy uczynili w umiejętności zachowania się w obec osób przyjezdnych, oraz nauczyli się powściągać swą wrodzoną ciekawość. Muszą oni staczać niemałą walkę wewnętrzną, ale ostatecznie nie zarzucają już przybyszów pytaniami. Swoją wstrzemięźliwość wynagradzają sobie dopiéro po bliższém nieco zapoznaniu się. Przeciwnie, mniéj z obcemi ludźmi obyty góral z naiwnością dziecka wypytuje się o najmniejszy szczegół: A zkądże to oni przybyli? A gdzie oni stoją? A czy byli już na wirchach?“ itd. itd. Wszystko jest tak szczerze i po przyjacielsku powiedziane, że prawdziwie niepodobna się gniewać na ciekawego syna natury; bardzo wielu przyjezdnych chętnie prowadzi podobne rozmowy odpłacając piękném za nadobne, tj. bez miłosierdzia zasypując górala pytaniami. W ogóle Zakopianin zna granice swéj poufałości i nigdy ich nie przekracza, dlatego to można z nim żyć na stopie dobréj zażyłości, zapraszać go do swego stołu, itp. nie obawiając się niewłaściwego wystąpienia.

Podhalanin bardzo lubi gawędzić i dowcipkować, a mówi w ogóle dobrze, wyraża się jasno, dokładnie, często nawet dowcipnie. Posiada on wielką zdolność do improwizowania śpiewek, które bardzo często bywają okolicznościowe i opiewają wydarzenia tylko co zakończonéj wycieczki, obejmują podziękowanie dla osoby urządzającéj wyprawę itp. Improwizacyi można się nasłuchać przedewszystkiem w górach. Przytoczę parę przykładów. Młody chłopak, przedmiot westchnień ładnéj, ale starszéj od niego, dziewczyny ułożył następujący czterowiersz.

Bieda, bieda Janikowi:
Nie ma co dać konikowi.
Większa bieda staréj dziewce:
Wydać by się, nikt jéj nie chce.

Do pierwszorzędnych poetów miejscowych należy stary Jan Sabała Krzeptowski. Zaprzeszłego roku, podczas schodzenia z Rysów zatrzymaliśmy się na chwilę dla wypoczynku, którego nasze towarzyszki bardzo potrzebowały. Na boku stał stary Sabała, otoczony ciekawie słuchającemi go góralami; przybliżywszy się, usłyszałem długą dumę o dwojgu kochanków nieszczęśliwych, improwizowaną na nutę podhalskéj śpiewki. Sabała chętnie improwizuje i drobniejsze utwory. Tak pewnego razu rozochociwszy się w chacie Sobczaka, w przekonywający sposób zagrzewał tańczących górali:

Tańcujcie ludzie
W Sobczakowéj budzie;
Jak się zawali,
Pójdziemy dalej.

Gdy sam do tańca wystąpił, zalecał grajkowi:

Nie uważaj na siwiznę,
Jeno zagraj, jak ci gwiznę.

W śpiewkach swoich górale podhalscy często używają wyrażeń prawdziwie szlachetnych i poetycznych, jakich trudnoby spodziewać się po prostych ludziach; bywają bardzo dowcipni, a gdy chcą, umieją delikatnie i oględnie mówić o rzeczach drażliwych. Jakkolwiek pragnąłbym uniknąć powtarzania śpiewek, już przez Zejsznera i Goszczyńskiego ogłoszonych, jednakże jako przykład, przytoczę następujące:

Daj mnie matko, daj, kie ludzie pytają (1):
Kie lilija kwitnie, wtedy ją targają. (2)

---

(1) *Pytają*, znaczy: proszą. Ztąd: *chodzić po pytaniu* znaczy chodzić po prośbie czyli po żebraninie.

(2) Zrywają.

Miłość moja miłość, miłość ta przeklęta,
Zamknęła mi serce na żelazne pęta.

Hej tęskno mi, tęskno, sama nie wiem czego;
Bez mego Janeczka, dalekom od niego.
Boli mię główeczka, serduszka nie czuję:
Hej! nikt tego nie wie, za kim ja bonuję (1).
Bodaj ten człek nie żył, bodaj nie wiekował,
Co on to kochanie na świecie fundował.

—Nie płacz frajereczko, otrzyj sobie oczka,
Przyjdę ja do ciebie, jak się ściemni nocka.

Bodaj ty dziewczyno maliniaka zjadła,
Coś ty Janiczkowi do serduszka wpadła.
Chyba cię dziewczyno diabli malowali,
Co do twoich licek takiéj krasy dali.
—Ej! dyć mnie malował sam Pan Jezus z nieba,
Bo do moich licek takiéj krasy trzeba.

Hej! syćkoś ty mnie mój Janiczku budził,
Pókiś wianeczka u mnie nie wyłudził.
Wziąłeś wianeczek, weźże i mnie samę,
Bo bez wianeczka sierotą zostanę.

Dziewczyno, źle o tobie radzą,
Wianeczek ci wezmą, czepeczek ci dadzą.

Przyjdź Janiczku śmiało,
Kie w okienku siano.
Kie w okienku słoma,
To matusia doma.

Kto się chce zapoznać z dowcipem Zakopian, niechaj przeczyta *„Sześć dni w Tatrach“*, oraz obiedwie wycieczki opisane przez p Bronisława Rejchmana.

Podhalanin odznacza się wielką śmiałością do zuchwalstwa posuniętą, pogardą śmierci i stanowczością. Od najmłodszych lat musi on znosić wszelkiego rodzaju niedostatek, a w późniejszym wieku, pasąc krowy rodziców lub panów, ciągle niemal jest wystawiony na rozmaite niebezpieczeństwa. Tym sposobem bardzo prędko przyzwyczaja się do pogardzania niebezpieczeństwem i rozwija odwagę, która z zuchwałością graniczy. Po największéj części góral może uniknąć grożącego mu niebezpieczeństwa jedynie przez szybkie, natychmiastowe postanowienie, i to właśnie rozwija w nim ową sta-

(1) Tęsknię.

nowczość i przytomność w najbardziéj nawet krytycznych razach. Dobry przewodnik zakopiański, który uczciwość łączy z odwagą i stanowczością, posiada wszystkie przymioty doskonałego przewodnika. Jest on szczerym przyjacielem i opiekunem turysty, który mu powierza bezpieczeństwo swojéj osoby. Mając takiego towarzysza jak *Maciéj Sieczka*, *Szymek Tatar* (stryj), *Wojciech Roj*, *Szczepan Roj*, *Jędrzéj Wala* (ojciec i syn), *Jan Gronikowski* i *Wojciech Ślimak*, można być zupełnie spokojnym o swoje losy. Góral najprzód wypróbuje turystyczne zdolności swego towarzysza i odpowiednio do złożonych dowodów zręczności i odwagi zaprowadzi go w to, lub owo miejsce, a powtóre wszystko uczyni dla bezpieczeństwa turysty w niczem osoby swojéj nie oszczędzając. Temu to poświęceniu' przewodników, oraz doskonałéj znajomości gór należy przypisać okoliczność, że dotychczas w Tatrach nie było ani jednego poważnego wypadku, pomimo że ścieżki i przejścia bardzo bywają niebezpieczne. Niemieccy przewodnicy ze Sławkowa czyli Szmeksu w niczem nie są podobni do przewodników zakopiańskich; po największéj części są oni mało z górami obeznani, nie troszczą się o turystę, mało mają sumienności i bywają porządni tchórze.

Godność przewodnika bardzo jest w Zakopanem szanowana. Podczas wycieczki przewodnicy rozkazują, a *chłopy* t.j. górale, wynajęci do dźwigania pakunków, rozkazy te spełniają. Jako przykład téj subordynacyi pozwolę sobie przytoczyć następujący szczegół, który rzecz dobrze maluje, chociaż dotyczy *zabawy w przewodnictwo*. Przed dwoma laty idąc do Osawic, osady pod górą Osobitą położonéj, celem odwiedzenia p. Kocyana zasłużonego badacza fauny tatrzańskiéj, jako *przewodnika* wziąłem z sobą 16-letniego Józefa Roja, tylko co wyniesionego do téj godności, który tedy pierwszy raz w życiu miał pełnić obowiązki swego dostojeństwa, bo dotychczas chodził tylko jako chłop niosący zielnik profesora Chałubińskiego. Do niesienia pakunku wziąłem nadto 21 lat liczącego Walka Brzegę, odegrywającego rolę prostego *chłopa*. Oprôcz tego do towarzystwa naszego należał jeszcze Kaźmierz Bednarz, rówiennik młodego Roja. Pomimo, że droga ciągle idzie to gościńcem, to łąkami, a tem samem żadnéj nie przedstawia trudności lub niebezpieczeństwa, mój młody przewodnik, naśladując dzielnego ojca swego Wojciecha, ani na krok nie odstępował mnie, rozciągając ciągłą opiekę nad moją osobą, która Bogiem a prawdą ani na chwilę nie była i nie mogła być na niebezpieczeństwo narażona. Nareszcie przybyliśmy do lasu, na połowie drogi tuż przy granicy węgierskiéj położonego. Józiek zdjął torbę z pleców, siadł na ziemi i odezwał się do dwóch pozostałych towarzyszy: „No chłopy! tutaj będziemy herbę warzyli! Ty Walku

idź *ku smrekom*, a ty Kazimierzu idź *ku wodzie!*“ Bez najmniejszego ociągania się Walek poszedł *ku smrekom* t. j. poszedł obłamywać suche gałązki świerkowe, a Kazimierz pobiegł do potoku po wodę. Gdy posłani *chłopy* powrócili, Józiek wskazał im miejsce, gdzie ma być *watra*, kazał chrósty rozpalić i sam nastawił *browar*, t. j. duży, blaszany imbryk. Po *zwarzeniu* herbaty, głodne chłopaki chcieli jéj sobie nalać, ale Józiek powstrzymał ich od téj niewłaściwéj czynności: „Wy chłopy siedźcie, a browaru nie ruszajcie, ja wam sam herby naleję.“ Tak przez całą drogę tam i napowrót Józiek z całą powagą najsumienniéj pełnił obowiązki przewodnika, nie odstępując mnie ani na krok i komenderując pozostałemi dwoma chłopcami, których nigdy o radę nie pytał, lecz natomiast stanowcze rozkazy wydawał, zawsze równe znajdując posłuszeństwo.

Podhalanin, będąc w niebezpieczeństwie życia albo doznając krzywdy, staje się nieprzyjacielem i to nielada-jakim, zwłaszcza, że jest wielce mściwy. Aby dać wyobrażenie, czem jest Podhalanin w położeniu rozpaczliwém, przytoczę parę prawdziwych przykładów.

Będzie temu przeszło 50 lat, w Zakopanem mieszkał góral, Maciej X. Pewnego razu udał się on wraz ze swym przyjacielem w góry, celem zapolowania na kozice. Górale przybyli w okolice Krywania, położonego w komitacie Liptowskim. Maciej pozostał nieco pod szczytem, a jego przyjaciel znajdował się jeszcze niżéj. Maciej stał na *perci* (ścieżce), idącéj po nad przepaścią i kończącéj się szeroką i głęboką szczeliną, gdy szczęśliwym zbiegiem okoliczności dostał kozę na strzał i na miejscu ją powalił. Po strzale przekonywa się, że go leśniczy wraz z kilkoma gajowemi ściga. Ucieczka zdawała się niepodobną, bo Maciej mógł się cofnąć tylko tą samą drogą, którą przyszedł, a tutaj właśnie miał odwrót odcięty przez uzbrojonych nieprzyjaciół. Leśniczy, zbliżywszy się do górala zmierzył do niego z dubeltówki. Maciej, widząc się straconym zawołał: „Panie leśny, macie mnie w ręku, na miłość boską nie strzelajcie.“ Leśniczy, nie zważając na prośbę, wypalił, lecz chybił, i znowu powtórnie wymierzył do Macieja, który prośbę swoją powtórzył. Leśniczy równie był nieubłagany i powtórnie wypalił, ale i tym razem bezskutecznie, bo Maciej na czas się uchylił, tak, że kula tylko mu czuhę przeszyła. Teraz zrospaczony góral ze swéj strony zmierzył do leśniczego i kulą roztrzaskał mu głowę, poczem dał rozpaczliwego susa i przepaść szczęśliwie przesadził. Od tego czasu, na pamiątkę wypadku, ścieżkę nazywają *Maćkową percią*.

Podhalanie nienawidzą a jeszcze bardziéj nienawidzili służby wojskowéj, która zamyka ich w ciasnych koszarach i zmusza do karności, gdy tymczasem są oni z natury nadzwyczaj niekarni, często

niesforni. Obecnie, z powodu krótkiego terminu, lepiéj tę służbę znoszą, ale dawniéj, będąc tęsknotą doprowadzeni do ostateczności, często uciekali i dla uniknienia kary *szli na zbój.* Syn jednego z takich dezerterów opowiadał mi następujący urywek z życia swego ojca. W pewnym pułku, który stał w Pradze, było dwóch Zakopian, doprowadzonych do rozpaczy tęsknotą za górami. Nie mogąc dłużéj znieść oddalenia od ukochanych wirchów, postanowili oni za jakąbądź cenę uciekać. Szyldwach po nad Mołdawą zagradzał im drogę, nie namyślając się tedy pochwycili żołnierza i rzucili go do rzeki, a sami uciekli do Zakopanego. Wkrótce dezerterowie zostali wykryci i stosownie do ówczesnych zwyczajów w armii austryackiéj byli bez litości zbici kijami, ale ostatecznie dokazali swojego, o co właśnie chodziło.

Podhalanie rozmaite żywią uczucia dla swoich sąsiadów, ale żadnego z nich dobrze nie traktują. *Orawiec* jest według nich spokojne człeczysko, ale ślamazara; patrzą na niego z góry, z odcieniem lekceważenia i politowania. Orawiec nigdy nie był zbójnikiem, tutaj więc prawdopodobna leży przyczyna lekceważenia. *Spiżak* jest przedmiotem pogardy i nienawiści, bo go uważają za ograniczonego i złośliwego, *Liptak* zaś ma pewnego rodzaju szacunek (bo téż swojego czasu zbójował), ale jest do najwyższego stopnia nienawidzony. Jednym z ważnych powodów nienawiści są niewątpliwie zatargi o polowanie. Podhalanin był i jest namiętnym myśliwym; głównym przedmiotem jego wypraw są dzikie kozy czyli kozice, oraz niedźwiedź. Wprawdzie polowałby on chętnie i na inną zwierzynę, ale jéj w Tatrach nie ma. Polowanie na dzikie kozy zawsze było przywilejem właścicieli gór, którzy praw swoich jak najściśléj przestrzegali. Z *Orawcami* prawie nigdy starć nie bywało, bo w zachodnich Tatrach mniéj jest zwierzyny, która głównie przesiaduje w Tatrach wschodnich, zwłaszcza liptowskich; ztąd ciągłe zajścia i nienawiść z Liptakami. Swojego czasu skomponowano na nich legendę, oczywiście podhalskiego pochodzenia; legenda została z czasem zapomnianą, lecz znalazła doskonałe przyjęcie, gdy ją Zakopianom opowiedział profesor Chałubiński, który rzecz całą wyczytał w jakiéjś książce o Węgrach. Legenda brzmi jak następuje.

Onego czasu Liptacy oddawali się zbójectwu, kradzieżom i wszelkim najgorszym zbrodniom. Stali się oni najnieznośniejszemi dla swoich sąsiadów, którzy nazywali ich *źli ptacy.* Liptacy, rozgniewani i znudzeni tem przezwiskiem, postanowili prosić króla Atyllę, aby ich od niego uwolnił, nadając inne miano. Wyprawiono tedy dwóch posłów do króla Atylli, dołączając wielki kosz jaj, bo Atylla bardzo jajecznicę lubił. Jeden z posłów miał powitać króla mówiąc:

„Wielki królu Atyllo!“ a drugi miał dodać: „Niech cię Bóg błogosławi.“ Po tem powitaniu miało nastąpić ofiarowanie jaj, oraz przedstawienie saméj prośby o zmianę nazwiska. Kosz był ciężki i posłowie naprzemian nieśli go na głowie. Nareszcie przybyli oni do rezydencyi króla Atylli, który siedział w dolnéj izbie, a próg téj izby był bardzo wysoki. Posłaniec, będący bez ciężaru, wszedł pierwszy, skłonił się królowi i rzekł: „Wielki królu Atyllo!“ lecz drugi, dzwigający na głowie kosz z jajami, progu nie spostrzegł, potknął się i jaja rozsypał, a widząc je potłuczone wykrzyknął z gniewem: „Niech cię djabli porwą!“ Król Atylla, biorąc ten wykrzyk do siebie, wpadł w gniew, nie chciał prośby wysłuchać i rozkazał, żeby nazwa: *źli płacy* na wszystkie wieki pozostała. Legenda maluje głęboką niechęć Podhalan do Liptaków, a późniéj zobaczymy, że tragiczny koniec zbójnika Janosika nie małą odegrywa tu rolę.

Podhalanie, bez różnicy płci, są namiętni do nauki i największą przyjemność i szczęście znajdują w nabywaniu coraz wyższéj nauki. W rzeczy saméj, jeżeli okoliczności pozwalają, chłopcy chętnie uczęszczają do gimnazyów a nawet i do szkół wyższych. W początkach bieżącego stulecia Podhalanie odznaczali się brakiem pobożności i zabobonami, jak o tem świadczy Staszic, który w następujących słowach wyraża się o téj stronie charakteru Podhalan: (*O Ziemiorodztwie Karpatów*. 1815, str. 165) „Uważałem, iż lud we wszystkich górach Europy, powszechnie jest więcéj zabobonny i nabożny, niż po równinach. I nasz góral pospolicie od mieszkańców równin ma zabobonów więcéj, ale nabożeństwa mało. Niewiele ma wiadomości o tajemnicach wiary chrześcijańskiéj, i nawet uważałem względem téj obojętność; ale znajduje się w naszych góralach wiele wiadomości o tajemnicach jakichsiś jestestw niewidomych o rozmaitych władzach jakichsiś duchów, czyli jestestw ukrytych w obłokach, w chmurach, w górach, w jaskiniach; o wielorakich i nagłych przemianach tychże jestestw w różne zwierzęta, w ptaki, czasem w starców z długiemi brody.“

O zabobonach nic w Zakopanem dowiedzieć się nie mogłem, nic tedy powiedzieć nie mogę, o ile przechowały się owe już czarnoksięstwem zaprawione mniemania, o których Staszic wspomina (1).

---

(1) Staszic podaje następujące, bardzo ciekawe szczegóły o zabobonach górali tatrzańskich. „O téj holicy *Żabiego* i o *trzech wierzchach* (dzisiaj Kesmarski szczyt) w Tatrach znajdują się w okolicznych góralach mnogie podania, baśnie i rozmaite w języku słowackim pisane i drukowane książeczki, z tajemnością chowane rękopisma, do których udzielenia wielką robią trudność, a dziedzictwem jako największe sekreta ojciec synowi, albo góral drugiemu z góralów pobratymcowi przy śmierci przekazuje.

Niewątpliwém wszakże jest znikanie zabobonów, co głównie wpływowi księży przypisać należy. Jużby dziś żaden juhas nie uważał za czarownika osoby, wkładającéj termometr do źródeł, jak się to 1813 roku Wahlenbergowi przytrafiło.

Pod względem religijności Podhalanie od czasów Staszica wielkie uczynili postępy, albowiem są oni obecnie bardzo pobożni i żarliwi katolicy, wszakże bez fanatyzmu i przesądów. Księża są przedmiotem głębokiego szacunku, a ztąd górale, mający sposobność uczęszczania do gimnazyów, najczęściéj oddają się potém teologii. Jak dalece dążność ta przemaga, najlepiéj dowodzi tego okoliczność, że w roku 1875 w dyecezyi Tarnowskiéj było 125 księży górali. Proboszcze po wsiach góralskich sami są góralami; należąc więc do tego samego społeczeństwa, w którém występują jako pasterze, dokładnie znając zalety i wady swych parafian, oraz nie będąc ani fanatykami ani zaślepionemi ultramontanami, wywierają zbawienny wpływ, łagodząc obyczaje i siejąc prawdziwą moralność. Ksiądz kanonik Stolarczyk, proboszcz Zakopiański, jest najwznioślejszym przykładem takiego doskonałego pasterza, którego nawet różnowiercy szacunkiem swym obdarzają. Pod jego zbawiennym wpływem cywilizacya wielkie w Zakopanem czyni postępy; obyczaje poprawiły się i ciągle poprawiają a obiedwie płcie bardziéj są we wzajemnych stosunkach powściągliwe.

Podhalanie, będąc obdarzeni nadzwyczaj otwartym umysłem, bardzo łatwo przyswajają sobie wszystko, czego się uczą, lub co słyszą. Dziecko podhalskie bardzo jest rozgarnięte i przytomne; tam gdzie wyrostek naszych wsi wsadza palce do nosa i usta roztwiera, żadnéj odpowiedzi nie dając, mały góral jak najporządniéj rozmawia a nawet umie żartem na żart odpowiadać. Nic więc dziwnego, że szkoła snycerstwa, od dwóch lat istniejąca, bardzo szybko się rozwija, bo chłopcy wielkie czynią postępy. Wogóle góral nadzwyczaj

---

Zawierają one wśród różnych baśni, jakieś niespamiętałe podania, o niezmiernych skarbach w tych górach; o pewnych poznakach, znajdujących się na skale; o pewnych kształtach, które swemi cyplami skały granitowe wystawiają; o niejakich krzyżach; i rozstaniach się skały w zakrętach wądołów.

Mniemają ciż do tajemnicy przypuszczeni górale, że po takowych i tym podobnych oznakach; przez wzywanie pewnych duchów, można dojść do tego miejsca, w którem rodowite a nieprzebrane znajduje się złoto.

Zdarzyło mi się zjednać sobie u niektórych górałów tyle zaufania, że mię przypuścili do swoich sekretów i powierzyli tych książeczek i pism. Przy ich czytaniu najwięcéj mię zastanowiło, iż znalazłem w kilku, w języku Słowackim, wzywanie duchów *Amschaspands* i *Bachman*, duchów aniołów stróżów w religii Persów tylko znanych." Ziemior odztwo Karpatów, str. 164.

prędko przyjmuje cywilizacyę, należy się tylko obawiać, aby raptowne zmiany w pojęciach Podhalan, wywołane napływem turystów, nie wpłynęły na charakter górali w sposób ujemny, obecnie bowiem jest chwila przełomu, chwila szybkich zmian w pojęciach, zwłaszcza Zakopian.

Stosunki obydwóch płci za mało są powściągliwe, czemu jednak zbytecznie dziwić się nie można, zważywszy, że chłopcy i dziewczęta przez całe lato są zgromadzeni na halach i bez żadnego pozostają dozoru. Pomimo całéj lekkości młodego wieku, podhalanki dobremi są żonami i cieszą się wielkim szacunkiem swoich mężów, na co najzupełniéj zasługują pracowitością i uczciwością. Pomimo nawet powszechnego obyczaju zawierania małżeństw tylko według względów majątkowych, stadła żyją bardzo dobrze zgodnie, a nawet *gaździna* ma przewagę nad swoim *gazdą*. Na Podhalu bardzo mało noszą wąsów i głównym tego powodem jest gust kobiét, które utrzymują:

Nie żal pocałować, kie gębusia miekka,
A kiedy z wąsami, to bieda przeklęta.

Podhalanin, nie chcąc pozbawiać się całusów gaździny, goli wąsy, chociażby wolał je nosić. Obecnie, powracający z wojska coraz bardziéj wprowadzają zwyczaj noszenia wąsów, ale gaździny zawsze niechętnie na to patrzą. Oczywiście pod tym względem zły mają gust.

Stosunki rodziców i dzieci bardzo są dobre i oparte na wzajemnem przywiązaniu. Podhalanie bardzo są mnożni; małżeństwa miewają 8—12 dzieci.

Charakterystykę Podhalan można streścić powtarzając słowa Staszica:

„Powszechnie polscy górale w Bieskidach, w Bieszczadach, w Tatrach i w całych Pokuckich górach są weseli, żywi i strasznie zuchwali. Wszystkich zewnętrzny skład ciała przystojny, wzrost wysoki, zręczność nadzwyczajna. Wszystkie ich zmysły bystre. Wewnątrz władze umysłowe bardzo udolne. Żywość namiętności bez porównania, od mieszkańców równin, więcéj porywcza i dzielniejsza. Są popędliwi, mściwi i lubieżni; ale razem odważni, otwarci, rzetelni i gościnni.“ (*O Ziemiorodztwie Karpatów*, str. 163.)

Pasterstwo niesłychanéj jest wagi na Podhalu, raz z powodu znaczenia, jakie posiada hodowla bydła i owiec, a powtóre jako ulubione zajęcie wszystkich młodych chłopaków. Pasterstwo w górach naszych szczegółowo już zostało opisane przez księdza Sutora i Józe-

fa Konopkę, po części także przez Goszczyńskiego i Zejsznera, mogę więc ograniczyć się krótką tylko wzmianką.

Pasący krowy, to jest *krowiarze* i *krowiarki*, żadnym nie ulegają prawom zwyczajowym i zupełnie są swobodni w swoich czynnościach. Nie mają oni żadnéj organizacyi i każdy na swoją rękę pasie krowy oraz zużytkowuje nabiał. Czynność pilnowania krów na pastwisku nazywają górale *pasaniem*. Przeciwnie pasterze owiec podlegają ściśle określonym prawom zwyczajowym. Każde stado owiec pozostaje pod opieką i dozorem owczarza, zwanego *bacą*, który przybiera sobie do pomocy owczarków zwanych *juhasami*, i chłopaków zwanych *gońcami*. Baca odpowiada za powierzone mu owce i jest zwierzchnikiem juhasów, obowiązanych słuchać jego rozkazów. Baca trudni się wyrobem séra, oraz sprzedażą w szałasie mléka, żentycy i sérów, bo nikt nie ma prawa najmniejszéj odrobiny sprzedawać w szałasie, tylko sam baca, *ojciec szałasu*, juhas zaś nawet własnego sérka sprzedać nie może. Wszelkie czynności koło owiec należą do juhasów, którzy kolejno prowadzą je na hale oraz trzy razy na dzień doją: rano, w południe i wieczór. Gońcy napędzają juhasom owce do dojenia, oraz w pobliżu szałasu pasą chore sztuki. Z powodu takiego podziału pracy, ściśle przestrzeganego, podczas nieobecności bacy niczego w szałasie dostać nie można, ale też baca mało się z niego oddala. Z bacą zawsze pozostaje w szałasie jeden przynajmniéj dežurny juhas, który kontroluje sprzedawane sérki juhasie, zapisując na ścianie lub karbując na kiju. Skoro nastąpi *redyk*, juhasy rachują się z bacą, a że jego panowanie już jest wtedy skończone, więc w razie potrzeby, gdy baca należności nie chce oddać, juhasy biorą się nawet do kija. Niesumienny baca straciłby téż imię u juhasów, a tem samem postradałby ich usługi. Sprawowanie obowiązków bacy nazywają górale *bacowaniem*, a pasienie owiec po górach nazywają *juhasieniem*. Górale nadzwyczaj ściśle odróżniają trzy te czynności: pasanie, juhasienie i bacowanie. Bacowanie niekiedy przez długie pokolenia przechodzi z ojca na syna, tak np. bacowie białczańscy w dolinie *Pięciu Stawów* od wielu pokoleń godność tę piastują.

Baca jest osobą posiadającą zaufanie gazdów, oraz osobą wobec nich odpowiedzialną za powierzone owce; ztąd baca pospolicie bywa zamożny, a godność swoją uzyskuje drogą wolnych wyborów interesowanych właścicieli owiec. Baca powinien dobrze się znać na fabrykacyi séra, na jego głowie spoczywającéj, zna się na owcach oraz na ich leczeniu, które zresztą ogranicza się na puszczaniu krwi z ucha; jeżeli to nie pomaga, owca zostaje pozostawiona

własnemu losowi. Dalej baca powinien posiadać wszelkie naczynia i przyrządy do fabrykowania séra, oraz kocioł miedziany do warzenia żentycy. Baca najmuje juhasów, którzy powinni być zdrowi i silni, posłuszni bacy i pilni w pasieniu owiec. Za swoje trudy juhas dostaje dziennie baryłkę séra owczego, t. j. tak zwany *oszczypek*, który waży koło jednego funta i przedstawia wartość 25 centów, oraz może pić żentycy, ile sam chce.

Hale w Tatrach polskich, t. j. leżących w powiecie Nowotarskim, są w posiadaniu górali, wyjąwszy tylko halę Kondratową pod Giewontem, która należy do dziedzica Poronina i Szaflarów. Kto nie ma udziału w posiadaniu hali, musi płacić za każdą owcę lub krowę na pastwisko posyłaną. Od owcy za całe lato płacą 10 centów, od krowy na chłopskiém pastwisku 60 centów, na dworskiém 2 reńskie, od konia 3 reńskie.

Baca odpowiada za owce przed właścicielami, a juhasy przed bacą. Za straconą owcę winny płaci całą jéj wartość; jeżeli owca zdechnie lub zabije się spadłszy ze skały, baca zwraca właścicielowi skórę i wysuszone mięso; jeżeli wreszcie niedźwiedź lub orzeł owcę weźmie, w takim razie juhasy szukają jéj resztek i jeżeli znajdą łeb, składają go na dowód wypadku, a w takim razie płacą połowę, a właściciel traci drugą połowę wartości owcy. Baca i juhasy, którzyby zbyt często przedstawiali łby pobitych owiec, straciliby wiarę u gazdów i ściągnęli na siebie podejrzenie, że sami pozjadali powierzone ich pieczy zwierzęta, skutkiem czego nie mogliby dostać owiec do pasienia. Z tego to powodu baca i juhasy bardzo pilnie strzegą owiec przed niedźwiedziem, w czem skutecznie dopomagają im wspaniałe psy owczarskie, zupełnie do niufundlendzkich podobne, z tą tylko różnicą, że są zupełnie białe i ogromną mają kitę. Psy giną przed wzrokiem, gdy wejdą pomiędzy owce, bo tego samego są wzrostu i tak samo kudłate. Są to doskonali stróże, pilnie owiec strzegący. Psy wyruszają w dzień z owcami na pastwisko, a w nocy kładą się na około nich, nie pozwalając rozchodzić się ze stada, ani téż dopuszczając do nich złodzieja. Są one bardzo na obcych zacięte i byłoby rzeczą stanowczo niebezpieczną w nocy przechodzić koło szałasu. Dobrego psa owczarskiego płacą na Podhalu do 10 złotych reńskich.

Na hali zawsze znajduje się jakieś schronienie, czyli tak zwana u górali *koliba* (1), która jednak bardzo rozmaitéj bywa natury. Naj-

---

(1) W języku Podhalan *koliba* oznacza wszelki zakąt w górach, w którym można szukać schronienia, bez względu czy to będzie dziura w skale, kryjówka pod kamieniem lub budynek. Staszic objaśnia, że *koliba jest-to buda, w której pasterze górale nocują,* co

bardziéj postępową kolibę tworzy *szałas* czyli *bacówka*, t. j. domek z drzewa świerkowego, nadzwyczaj przewiewny i ciasny, bez komina, bez podłogi, posiadający tylko najprostszą w świecie ławę i płaski kamień, na którym *watra* płonie. Mniéj wykwintną kolibę tworzy szałas w pewnéj części składający się z wielkiego kamienia lub kamieni wyobrażających jego ściany, które niekiedy bywają znowu z mniejszych kamieni ułożone. Wogóle mówiąc, w budowie szałasów daje się spostrzegać jak największe niedbalstwo, a zatem korzystanie z wszelkich przypadkowych ułatwień. Niekiedy kolibę wyobraża tylko dziura w skale, jak przy Czeskim stawie, gdzie dziura tak jest mała, że pomieścić może tylko kocieł, zawieszany w niéj dzienną porą, albo pana bacę (od głowy do pąsa), który szuka w niéj schronienia podczas nocy. W takim razie juhasy i gońcy całe lato śpią pod gołem niebem na około watry, pomimo że hala Czeskiego stawu jest śniegami otoczona. Wprawdzie hala ta leży pośród kosodrzewiny na tarasie, stromą ścianą oddzielonym od lasu, lecz pomimo to brak szałasu przedewszystkiem przypisać należy niedbalstwu bacy i juhasów, co rok do téj saméj hali powracających.

Przez cały czas pozostawania na hali owce stoją pod gołem niebęm. Na noc zapędzają je do ogrodzenia zwanego *koszar*, albo poprostu gromadzą przed kolibą powierzając pieczy wiernych psów.

Liczba owiec na hali odpowiada zapasom trawy na tejże. W jedném stadzie bywa od 200 do 600 owiec; pospolicie na 50 owiec jeden bywa juhas, a zatém na hali bywa do 12 juhasów.

Skoro owce przyjdą na halę, ich właściciele przybywają dla oznaczenia ilości séra, jaką baca ma im dawać od każdéj owcy. W tym celu każdy doi swoje owce do jednego naczynia, a waga téj saméj objętości wody, jaką przedstawia cały pierwszy udój, oznacza wagę séra, jaką baca winien oddać właścicielowi za każdy tydzień. Pospolicie dla właściciela od każdéj owcy wypada za całe lato 10 funtów séra, gdy tymczasem baca w dobry rok może miéć od owcy 20 do 30 funtów sera, który téż stanowi cały jego zysk, po potrąceniu naturalnie oszczypków juhasom należnych.

Baca jest wyłącznym fabrykantem séra; on za pomocą podpuszczki *(klagu)* ścina mleko każdego wydoju i sam własnemi rękami wyciska skrzepłą masę dla oddzielenia twarogu od serwatki, a właściwie od *żentycy*. Twaróg przeznaczony na bryndzę zaraz gazdowie

---

niewątpliwie jest niewłaściwém ograniczeniem znaczenia wyrazu. Takie same znaczenie nadaje kolibie Goszczyński, ale trudno zrozumiéć następujące jego słowa, trudno pochwycić ich związek z kolibą tatrzańską: „*koliba*—u Czerkiesów *kaliba*—pokolenie, to samo co u Szkotów klan." *Dziennik Podróży do Tatrów*, str. 130.

zabierają, z przeznaczonego na sérki baca przy pomocy juhasów wyciska w formach *oszczypki*, mające kształt rzeźbionych baryłek, albo też urabia kręgi *brusikami* zwane. Dla nadania twarogowi większéj plastyczności, miękkie oszczypki na jakie 4 minuty kładą do wrzącéj wody, poczem ostatecznie wygniatają je w formach. Oszczypki, przeznaczone na zapas zimowy, trzymają w gorącym dymie, skutkiem czego pokrywają się twardą i tłustą skorupą, pod którą sér lepiéj się przechowuje.

Ciecz, oddzielona od twarogu, jest mleczysta i gęsta; składa się ona z serwatki i rozdrobnionego twarogu i tłuszczu. Ciecz tę wlewają do kotła nad ogniem zawieszonego i warzą pod okiem samego bacy, ciągle mięszając dla dokładnego rozdzielenia twarogu i tłuszczu. Ciecz w ten sposób przygotowana nosi nazwę *żentycy słodkiéj*. Jeżeli na hali dużo jest żentycy, wtedy baca zléwa nadmiar do fasek, gdzie kwaśnieje, przyczém kwaśna serwatka zupełnie oddziela się od twarogu i tłuszczu w grudki zebranych. Jest-to *żentyca kwaśna.*

Przez cały czas pozostawania na hali baca, juhasy i ich psy wyłącznie żywią się słodką żentycą, bardzo pożywną z powodu zawartego w niéj twarogu i tłuszczu. Ludziom pokarm ten doskonale służy, do tego stopnia, że ciągle używający go juhasy doskonale wyglądają, a nawet tyją. Pomimo całego pociągu do żentycy, baca i juhasi chętnieby jadali chléb, grule, sér i t. p., ale tego z ekonomicznych względów nie czynią; gdyby jadło kupowali albo sérki jedli, wracaliby jesienią bez zarobku. Przez oszczędność ani baca, ani juhasy tytoniu nawet na hali nie palą, pomimo że są do niego namiętni.

Podhalanie i ich sąsiedzi nadzwyczajnie w *juhasieniu* gustują, nie mówiąc już o *bacowaniu*, uważaném jako zajęcie dochodne i zaszczytne. Juhas całą piersią używa górskiego powietrza i zupełnéj swobody, będącéj żywiołem górala, oraz ma zapewnione *dobre* życie i stosunkowo przyzwoity zarobek, obok mało uciążliwéj i przerywanéj pracy, co także niemałą ma wartość w góralskich oczach. Zarobek dzienny 25 centów obok żywności jest na Podhalu dobrym zarobkiem, bo np. w Zakopanem zwykły najemnik dostaje dziennie tylko 20 centów, kosiarz zaś 40 centów a wykwalifikowany, dobry cieśla 60 centów i *dobre życie* t. j. *grule z mlékiem.* Juhas jest tedy stosunkowo dobrze zapłacony.

Życie juhaskie tyle ma dla górala powabu, że do szałasu przychodzą niekiedy zwolennicy swobody, szukający wypoczynku pomiędzy niczem nie skrępowanemi synami gór. Wstąpiwszy przed czterema laty do szałasu, położonego na hali *Pysznéj* w dolinie Kościeliskiéj i należącego od mieszkańców Klikosowéj wsi pod Nowym

Targiem, zastałem tam młodego górala z tejże wsi, odznaczającego się bardzo miłą powierzchownością i gładkiém obejściem; był to uczeń gimnazyum w Wadowicach, który zwykł był podczas wakacyj parę tygodni wypoczywać pomiędzy juhasami.

Juhasy i bacowie wogóle weseli, rozmowni, gościnni i usłużni. Takiemi samemi znalazł ich Staszyc i Zejszner. Zupełnie inaczéj maluje Tschudi włoskich pasterzy, którzy ze swemi owcami całe lato spędzają w Alpach engadińskich. Pasterze ci są szczególnie ponurzy, zamknięci w sobie i małomówni. Zupełne przeciwieństwo z naszemi wiecznie śmiejącemi się i śpiewającemi gawędziarzami halnemi, którzy zawsze są gotowi dreptać swój, monotonny zresztą, taniec szałasowy. Alpejscy owczarze tworzą stowarzyszenie podobne do juhaskiego; mają oni swego zwierzchnika *(il pastore)* i żyją w podobny sposób, jak nasi juhasi, lecz są w znacznéj przynajmniéj części właścicielami pasionych przez się owiec. (*Tschudi.* Thierleben der Alpenwelt. 1861, str. 552—554).

Zbójnictwo w Tatrach szczególniéj ciekawość moją pobudziło. Od dawna pragnąłem wyrozumiéć tę stronę góralskiego życia, tak niedokładnie przedstawioną przez Wójcickiego (1) i zbyt pobieżnie traktowaną przez Zejsznera i Goszczyńskiego. Jadąc po raz pierwszy do Zakopanego, obiecywałem sobie szczegółowo wypytać się o tatrzańskich rozbójników, których charakterystykę Goszczyński dosyć szczęśliwie uchwycił. Byłem pewny, że zetknąwszy się z góralami bez żadnéj trudności ciekawość swoją zaspokoję, lecz w rzeczy saméj stało się wprost przeciwnie. Zakopianie, podobnie jak ich sąsiedzi, zachowują najuporczywsze milczenie ze względu na zbójników i na razie nic wyciągnąć z nich nie mogłem; dopiéro powoli, po bliższém zapoznaniu się, z niejakim trudem zebrałem pojedyncze szczegóły, które razem zestawione pozwalają mi dać dosyć dokładny obraz zbójnictwa.

Podhalanie, będąc umysłu niezależnego i niesłychanéj odwagi z zuchwałością graniczącéj, uwielbiają wszelki objaw tych przymiotów, zwłaszcza do ostateczności doprowadzonych. Przed niedawnym jeszcze czasem skłonność do czynów niezwykłéj odwagi objawiała się pod postacią *zbójnictwa*, a rozmaite przyczyny dawały pochop do oddawania się temu rzemiosłu. Dezerter wojskowy,

---

(1) Porównaj: „Stare gawędy i obrazy,“ Warszawa 1840. Tom I. str. 227, oraz „Zarysy domowe“, Warszawa 1842, tom I, str. 304.

juhas który cięższéj dopuścił się winy, kłusownik mający na sumieniu jakiego leśnego, dostarczali kandydatów na zbójnika, lecz miłość własna i pragnienie sławy, niemałą odegrywały tu rolę; one to głównie popychały do tego zawodu bogatych gazdów i baców, a przyznać należy, że ci ostatni byli niegdyś głównemi zwolennikami zbójnictwa.

Zbójnictwo głównie krzewiło się na Węgrzech, dzięki niedołęstwu władz miejscowych. Gdy władze te stały się czujniejszemi, zbójnictwo poczęło raptownie upadać. Goszczyński, który zwiedził Tatry 1832 roku, świadczy, że w owym czasie zbójnicy rzadko się zdarzali, a zbójnictwo należało bardziéj do tradycyi, niż do rzeczywistości. Od owéj chwili nigdy już nie mogło się ono rozwinąć i chociaż istniało aż do ostatnich czasów, nie miało jednak licznych zwolenników. Na Podhalu istnieją jeszcze ludzie, którzy dawniéj zbójnowali, obecnie zaś spokojnie *gazdują*, lecz ostatecznie, w Tatrach nie ma już dzisiaj zbójników i czasami tylko zdarzają się złodzieje, jak owi zbrodniarze, w zeszłym roku zbiegli z więzienia w Podzamkach, którzy rabowali sérki po szałasach, oraz kradli na Węgierskiéj stronie. Zbójnictwo stanowczo *wyszło dzisiaj z mody*, jak mnie w Zakopanem zapewniono; i nie ma najmniejszéj wątpliwości, że na tę zmianę mody dużo wpłynęło wydoskonalenie policyi galicyjskiéj i węgierskiéj.

Zbójnikiem mógł zostać tylko człowiek odznaczający sie przymiotami nad wszystko przez górali cenionemi, a mianowicie: zbójnik musiał być odważny, silny, zręczny i roztropny. W Tatrach zawsze przedstawiają zbójnika jako bardzo dobroczynnego opiekuna biednych. Brał on bogatym i dawał biednym. Zbójnik był religijny i pobożny; prosił Boga o powodzenie wypraw i dziękował za pomyślność. Przyjaciele zbójnika także modlili się za niego, jak tego np. następujący dwuwiersz dowodzi:

Jaworu, jaworu szerokiego liścia,
Dajże Panie Boże zbójnikowi szczęścia.

Według legendy, przytoczonéj przez Goszczyńskiego (*Dziennik podróży do Tatrów*, str. 101), starożytny kościołek Ś-téj Anny w Nowym Targu mieli wybudować zbójnicy, którzy téż z Węgier przywieźli obraz, znajdujący się w wielkim ołtarzu. Legenda jest z tego względu ciekawa, że dowodzi przekonania górali o pobożności zbójników, którzy okazują się nawet bardzo dbałemi o pomnożenie chwały boskiéj.

Powyższe szczegóły przekonywają, że w oczach górali zbójnik wcale nie był zbrodniarzem, lecz przeciwnie był on człowiekiem walecznym i *cnotliwym*. *Rozbójnik* jest pozbawiony wszelkich

przymiotów zbójnika, jest-to po prostu bezczelny i śmiały złodziej; odpowiednio do tego pojęcia, Podhalanin brzydzi się rozbójnikiem, a uwielbia zbójnika. *Zbijanie* uchodzi na Podhalu za coś zaszczytnego, bohaterskiego, *rozbijanie* zaś jest rzeczą hańbiącą, nikczemną. Takie są wyobrażenia Podhalan do dnia dzisiejszego.

Wysokie pojęcie o zaletach duszy i ciała zbójników, tłómaczy nam gorącą chęć Podhalan zdobycia zaszczytnego miana zbójnika, czemu obecnie czujna policya wiejska z taką bezwzględnością przeszkadza. Namiętność Podhalan do zyskania sławy zbójnika doskonale przedstawił Goszczyński w opowieści o owym niezgrabnym góralu, który przez trzy dni po to tylko w górach cierpiał głód i chłód, żeby potem mieć niejakie prawo do tego zaszczytnego miana. Prawdziwemi zbójnikami byli w Tatrach najpiękniejsi, oraz zamożni albo nawet bogaci ludzie, bo zbijanie było przedewszystkiém junakieryą, za pomocą któréj dawano ujście zbytniéj krewkości charakteru.

Dla zbójnika niesłychanie ważną była umiejętność i możność dawania ogromnych skoków, oraz zdolność szybkiego biegania. Aby dać wyobrażenie o dobroci nóg góralskich, w dolinach niepojętéj, przytoczę następujące zdarzenie jednego z moich dobrych znajomych w Zakopanem, którego nazwę T. Mój znajomy będąc młodym (obecnie liczy przeszło 50 lat), pewnego pięknego wieczora powracał z ogromnym, świeżo ubitym capem (t. j. samcem kozicy), którego góralskim zwyczajem dzwigał w torbie na plecach. Cap był bardzo duży i jego nogi wystawały z torby, *merdając* (bujając) w powietrzu. Już słońce zaszło kiedy T. znalazł się w lesie położonym pomiędzy Kuźnicami i Zakopanem. Czując się bezpiecznym, opuścił on zarośla i wyszedł na szosę las przecinającą, lecz zaledwie postawił na niéj nogę, nos w nos zetknął się z leśnym, oraz jego towarzyszem konno jadącemi. Zetknięcie tak było bliskie, że T. nie miał czasu wskoczyć w zarośla, puścił się tedy po szosie całą szybkością zakopiańskich nóg, zawsze dzwigając na plecach swego stufuntowego capa. Jeźdźcy puścili konie galopem i tak nacierali na górala, że ten nie mógł skoczyć w zarośla, lecz ciągle musiał biedz przed końmi; dopiéro przebiegłszy jaką wiorstę, mógł on skorzystać z zakrętu drogi i zachowując pierwotny kierunek, wpadł pomiędzy drzewa (1). Leśni-

(1) Górale zakopiańscy, odznaczający się oryginalnością porównań, dla oznaczenia szybkości nóg człowieka, jego bieg porównywają z biegiem psa, który jak wiadomo doskonałe ma nogi. Tak mianowicie Zakopianie mówią: „*Tak wartko bieży, że go żaden pies nie ścignie*,“ albo: „*Tak wartko bieży, że każdego psa, ile sam chce, kijem bije*.“ t. j żaden pies ujść przed nim nie zdoła. Otóż T. za młodu tak szybko biegał, że bił psa, ile sam chciał.

czy natychmiast powrócił do dworu, zebrał ludzi i udał się do chaty T., którego zastał w łóżku chrapiącego (chociaż czuwającego), lecz nie znalazł ani śladu capa, ani też jakichbądź przyborów myśliwskich. Cap pojechał na Orawę, a strzelba i prochownia zostały po drodze schowane w lesie. Pośpieszam tu dodać, że T. pomimo wielkich kwalifikacyi na zbójnika, czyli *dobrego chłopa*, nigdy się zawodowi temu nie oddawał, lecz zawsze spokojnie gazdował, tylko miał i ma pociąg do fuzyjki. Toż nie grzech kozę albo capa upolować, chociaż *panowie leśni* innego są zdania.

Zdolność wykonywania olbrzymich skoków oczywiście należała do koniecznych warunków bytu zbójnika, albowiem bardzo często była dla niego jedynem zbawieniem wobec hajduków, a powtóre napad na mieszkanie dokonywał się tym sposobem, że zbójnik jednym susem przez okno wskakiwał. Z tego to powodu, przygotowujący się do zaszczytnego zawodu zbójnickiego uczyli się skakać i przeszkody przesadzać. Górale przesadzając potęgę skoku, zwłaszcza zbójników, dla oznaczenia niezwykle dzielnych i zręcznych susów, używają właściwych sobie wyrażeń: *przeskakiwać buczki*, *skakać z buczka na jedliczkę*, np.

He dobrze Janiczkowi pokiela jest młody,
Przeskakuje buczki, jaworowe kłody.

Jeszczem nie zbójował, dopierom próbował,
Z buczka na jedliczkę w lesie przeskakował.

Kiedy ja *skoczem s buczaka na pniaka* (1),
Nie z jednego pana urobiem żebraka.
Kiedy ja *skoczem z buczka na jedliczkę*,
Nie z jednéj panienki urobiem żeniczkę.

Wogóle, buk jest u Podhalan zespolony z pojęciem zbójnika. Tak mianowicie mówią oni: *wyskoczyć za buczki*, albo *dzień dobry z za buczka powiedzieć*, zamiast: *pójść na zbój*. Jawor, czyli klon jaworowy (*Acer pseudoplatanus*) rzadziéj bywa ze *zbijaniem* zespolony; daleko częściéj jodła (po podhalsku *jedla*). Przyczyna tego zespolenia jest mi zupełnie nieznana.

Zbójnicy nosili właściwy sobie strój (mundur), składający się z kołpaka ozdobionego dukatami, bogato haftowanych spodni góralskich, pięknego serdaka, czuchy, oraz niezwykle szerokiego pasa z olstrami do pistoletów, pochwami do noży, kieszonkami i t. d. Uzbrojenie zbójnika składało się z siekierki na lasce czyli *ciupagi*, noży,

---

(1) *Jak zostanę zbójnikiem.* To samo znaczy trzeci wiersz.

pistoletów i dwóch albo trzech strzelb; czasami także z olbrzymiéj laski sękatéj. Zbójnicy nosili pałasze, w śpiewkach wspominane, np.

Janosik, Janosik,
Gdzieś podział pałasik?
W Lewoczy na murze,
Na jedwabnym sznurze.

Zbójnicy odwiedzali koliby baców, wybierali tam kontrybucye, składające się z sérków i bryndzy, oraz często gotowali barana w owczém mléku i raczyli się tym przysmakiem wraz z bacą i juhasami. Bacowie niebardzo krzywo patrzeli na podobnych gości, którzy najczęściéj przypominali im własne wycieczki tego rodzaju; nieraz baca wiedział, że dziś mnie, jutro tobie. Dzisiaj baca dał séra i barana, a nazajutrz to samo swemu koledze czynił, może nawet temu samemu, który go dzisiaj grabi, więc piękne za nadobne i rachunki skończone. Inną razą zbójnicy wstępowali do karczmy, gdzie naturalnie rzadko kiedy płacili za palenkę i habrykę t. j. tytoń. Dla tego to zbójnikowi płacącemu za palenkę śpiewka obiecuje, że go aniołowie wezmą do nieba (1). Oczywiście był to akt niezwykłéj wspaniałomyślności. Pospolicie inaczéj bywało:

Daj palenki żydu, *dobry chłopcy* przydą,
Jak nie dasz palenki, to cię trapić budą.

Zbójnicy dokuczali także *leśnym*, wrodzonym wrogom górali. Jeden rozbijał okno silném uderzeniem potężnéj pałki, drugi z szybkością błyskawicy wskakiwał do izby i chwytał pana domu za gardło, a tymczasem towarzysze zabierali *papierki* (t. j. pieniądze) (2) oraz wszystko, co przedstawiało dla nich jakąś wartość. Niekiedy puszczali się zbójnicy na większe przedsięwzięcia: odwiedzali zakład kąpielowy w Sławkowie czyli Szmeksie podczas pobytu gości, albo robili wyprawy na wielkich właścicieli i napadali ich siedziby; to też po-

---

(1) Pije se zbójnik, pije, turaczkami płaci,
Wezmą go do nieba aniołowie swaci.

Turaczki, drobna moneta. *Swaci*, święci.

(2) Z powodu długiego braku w Austryi brzęczącéj monety, Podhalanie zawsze widząc papierowe pieniądze, nazwali pieniądze *papierkami*, a złoty reński *papierkiem*. Góral, nie mający zetknięcia z większém miastem, innego wyrażenia nie rozumie. Dwa lata temu, gdy się w Austryi srebro pojawiło w kursie, pewnemu bacy dałem za sérki srebrnego reńskiego. Baca nigdy podobnego pieniądza nie widział i dopytywał się, co on wart? Wszelkie wyjaśnienia były próżne. Baca zrozumiał dopiéro wtedy, gdy mu powiedziałem, że to *srebrny papierek*.

między śpiewkami spotykamy wzmianki o rozbitym zameczku, t. j. pańskiéj siedzibie.

U leśnych i bogatych panów udawało się zbójnikom zdobywać pieniądze, sądzę jednak, że w opowieściach i śpiewkach bardzo są te bogactwa przesadzane, a zwłaszcza przesada zachodzi ze względu na dukaty, których Austrya od tak dawna nie ma; tak np. następująca śpiewka niewątpliwie potężnie przesadza ilość zdobywanych bogactw.

Kiedy my pójdziemy pod lasy chodniczkiem,
Będziemy mierzali dukaty kotliczkiem.

Te zbójeckie dukaty pospolicie bywały zakopywane w lasach, w miejscach najmniéj dostępnych. Nie dają one spać Podhalanom, którzy sobie ciągle zaprzątają niemi głowę. Prawda, że niektórzy gazdowie szczęśliwie je odnaleźli, ale są to bardzo nieliczne wyjątki. Zejszner przytacza podanie, że tym sposobem wzbogaciła się rodzina Relinów, a i ja słyszałem, że ten lub ów gazda znalazł zbójeckie dukaty i zbogacił się niemi.

Zbójnicy rzadko bywali mordercami; zabójstwa pospolicie dopuszczali się jedynie dla własnéj obrony, lub w razie silnego oporu ze strony napadniętego. Najczęściéj opór nie miał miejsca, a tém samem zabójstwo rzadko się zdarzało. Przy sposobności wypytywałem górala o powód takiéj uległości względem zbójników?, i dowiedziałem się, że każdy, kto spojrzał na zbójnika, ze strachu umierał, tak przerażającą była jego powierzchowność z powodu uzbrojenia tylu nożami i *pistolcami*! Jakże tu było myśléć o obronie!

Zbójnicy głównie plądrowali po Węgrzech i najczęściéj dostawali się w ręce władz tego kraju, które ich dawniéj śmiercią karały. Zbójników wieszano na żelaznym haku za pośrednie żebro, wieszano na stryczku, albo im głowę ścinano. Rozmaite formy kary śmierci zostały w śpiewkach potomności przekazane, tak np.

Powiadała ja ci: daj pozór na siebie,
Hamerscy hajducy biorą się po ciebie.
Obwieszą cię Janku za pośrednie ziobro,
Już ci będzie potem zbijać niepodobno.

Jeszczem nie zbójował, dopiero ten roczek,
Już mnie *chcą zawiesić na żelazny haczyk*.

Hej! coże temu padnie,
Hej! co owieczki kradnie?
Hej! co że by mu padło?
Hej! stryczek na gardło

Bratowie, bratowie, kochani bratowie,
Będą nam ścinali głowiczki katowie.

Główném miejscem egzekucyi było miasto Mikułasz (po węgiersku Miklos), stolica komitatu Liptowskiego. Ztąd rozmaite odezwy do tego miasta, jak np.

Mikułasz, Mikułasz, ty sy bystre miasto,
Do tobie przestrono, ale w tobie ciasno.

Mikułasz, Mikułasz, mikułaskie mostki,
Tam się potykają swarnych (1) chłopców kostki.

Naturalnie zdarzało się, że ktoś mniéj skompromitowany zbójnictwem odsiadywał tylko ciężkie więzienie i kajdany nosił; ztąd w śpiewkach rozmaite i częste wzmianki o kajdanach *(bugańcach)*, oraz odezwy do zameczków murowanych, do Wiśnicza w Galicyi, do zamków Orawskich i rozmaitych innych miejsc odsiadywania więzienia, ale przytaczając choćby tylko wyjątki ze śpiewek o zbójnikach, nigdybym nie skończył, poprzestanę więc na odesłaniu czytelnika do zbioru śpiewek Zejsznera.

Wszystkie przymioty ciała i umysłu zbójnikowi przypisywane, złączyli Podhalanie i Słowacy w obrazie sławnego i tyle do dziś dnia wielbionego *Janosika*, zbójnika liptowskiego. Historya o Janosiku, upiększana w ciągu całego wieku, stała się cudowną historyą tysiąca i jednéj nocy, pomimo to jednak ma ona w sobie pewną, chociaż maleńką dozę prawdy, a mianowicie sławny Janosik rzeczywiście żył za panowania cesarzowéj Maryi Teresy, kształcił się na księdza, najprawdopodobniéj w Podoleńcu, był nadzwyczaj śmiały, zręczny i litościwy dla biednych. Historyę jego życia, oprócz rozmaitych cudownych opowieści, upiększono także szczegółami wyjętemi z życia wszystkich znakomitszych zbójnikow tego samego imienia (ostatni zbój Janosik żył przed 60 mniéj więcéj laty).

Urywki z legendy o Janosiku ogłosił Wójcicki (2), wspominał o nim Zejszner i Goszczyński, lecz nigdzie nie ma całości, a nadto szczegóły przez Wójcickiego podane są stanowczo pozbawione miejscowego kolorytu. Przypuszczam, że Wójcickiemu opowiadano o Janosiku gdzieś bardzo od Tatrów daleko. Zakopianie, tyle dyskretni w mowie gdy chodzi o zbójników, nie chcą nic mówić o Janosiku, i zaledwie wydobyłem od nich kilka oderwanych szczegółów;

---

(1) Dzielnych.
(2) Zarysy domowe. Warszawa. 1842. Tom I, str. 333.

dopiéro w roku zeszłym profesor Kopernicki łaskawie mi dopomógł, przysyłając legendę o Janosiku, dosłownie spisaną według opowiadania pewnego górala z pod Rabki. Ze względu, że w legendzie téj górale tatrzańscy jaskrawo przedstawiają swoje pojęcia o zbójnikach i zbójectwie, oraz ze względu, że nigdzie nie znalazłem téj legendy w całości drukowanéj, przytoczę ją tutaj według opowiadania, łaskawie udzielonego mi przez profesora Kopernickiego, dodając szczegóły, jakich mi w Zakopanem dostarczono. Pragnąc ułatwić czytelnikom zrozumienie legendy, podaję ją w zwykłym języku, zachowując niektóre tylko wyłączności mowy podhalskiéj.

Historya o Janosiku.

Był student, i szedł ze szkół na wakacye. Szedł przez wielki las, i zaszła go noc. Pobłądził w lesie, nie miał którędy z lasu wyjść i nie wiedział, w którą stronę miał iść? Wyszedł na drzewo i patrzał, gdzie jest kraj lasu i *uźrał* kraj lasu. A była niedaleko chałupka w téj stronie. Cisnął czapkę na ziemię w tę stronę, żeby wiedział w którą stronę iść jak z drzewa zlezie. I zlazł, i szedł w tę stronę i zaszedł do téj chałupki. A w téj chałupce była taka stara baba: widział ją oknem, bo się świeciło, i wlazł do téj izdebki. Ta się go baba pyta: „Po coś tu przyszedł?“—„Prosiłbym o *nocnik* (t. j. nocleg).“—„Jakże ja cię będę nocować? przyjdzie starsza siostra moja, to cię zabije zaraz;“—bo to były czarnoksiężnice. Ale on odpowiedział: „Niech się robi, co chce ze mną, *nikaj* nie idę z *tela*.“ Tak go ta baba woła na wieczerzę; powieczerzał z nią, i schowała go pod koryto za piec.

Przyleciała siostra starsza; powiada:

„Pfy, co tu tak śmierdzi?“

„Wychodź Janosik!“ Jużci on musiał wyjść.

„Pójdź do wieczerzy!“ Tak wieczerzał z nią znowu. Powiada mu:“

— Jak przyjdzie trzecia siostra, najstarsza, jak chcesz to idź, bo ona cię zabije.

On powiedział: „Nie idę *nikaj*.“

Przyszła najstarsza, trzecia siostra, i powiada:

„Czyja tu dusza śmierdzi?“

„Wychodź Janosik!“ I tak wyszedł.

„Jużci pójdę na wieczerzę.“ Tak powieczerzał z nią, legł potém i spał.

Te zaczęły radzić: „co mu zrobimy?“ A nie spał, ino tak udawał, że śpi,—słuchał, co gadały.

„Połóżmy mu węgiel ognia na pępku, jak wytrzyma, nie obudzi się, to będzie wytrzymały z niego chłop.“

Położyły mu węgiel ognia na pępku, a on cierpiał, wytrzymał, aż węgiel zgasł. Tak one powiedziały: „Będzie wytrzymały wszędy; trzeba mu dać mundur.“

Jedna powiada; „Ja mu dam siekierkę.“ Druga powiada: „Ja mu dam koszulę.“ Trzecia powiada; „Ja mu dam pas.“—„Na téj ciupadze jak się zniesie, to trzy mile przeskoczy, a w téj koszuli będzie miał okrutną siłę, i w tym pasie.“

Ta, co kuszulę miała szyć, dopiéro konopie siała o godzinie ósméj, a na rano koszula była z nich. Jak Janosik rano wstał, ten mundur mu dały i tu powiedziały:

„Nie będziesz już księdzem ino zbójnikiem; tu masz siekierkę, jak się na niéj zniesiesz, trzy mile przeskoczysz i ona ciebie będzie broniła, żeby najbardziéj na ciebie nastawali. A w téj koszuli i w tym pasie będziesz miał okrutną siłę. Teraz musisz najpierw ojca *zazbójować* swojego, a potém już będziesz nad wszystkich zbójów zbójem.“

Tak Janosik poszedł, ten mundur schował, a w tym studenckim szedł do chałupy. Przyszedł do chałupy i bardzo był smutny. Ojciec się jego wybierał na jarmark *na woły*; brał z sobą 150 reńskich, a on mu powiada: „Tatusiu nie chodźcie, bo was zbóje obrabują.“ Ojciec mu powiada: „Musiałbym się na ciebie *podać* (być do ciebie podobnym), żebym pieniądze zbójom dał.“—„*Będziemy widzieli.*“ I poszedł ojciec.

Jak ojciec poszedł, tak on na drugi dzień wyszedł z izby, ubrał się w ten mundur zbójecki, i siadł na ciupagę i poleciał za ojcem. Zastąpił mu w lesie, *cupnął* (uderzył) siekierką i pytał: „Gdzie idziesz?“ Odpowiedział: „Idę na woły,“—ale ani przegadać nie mógł od strachu. „Dawaj pieniądze!“ Ten wziął pieniądze i oddał mu. „Wszystkieś dał?“ pyta Janosik. Ojciec odpowiedział, że wszystkie: „ani téż na drogę nie będę miał.“ Dał mu Janosik jednego reńskiego na drogę z tych pieniędzy i poleciał w las, a ten się ojciec wrócił do domu. Janosik się zniósł na siekierce i w téj godzinie był w chałupie, a ojciec aż na drugi dzień. Schował Janosik mundur, i nikt nic nie widział. Ojciec przychodzi z płaczem i powiada:

„Prawdęś mi ty powiedział!“ „Cóż się to wam tatuniu stało?“

— „E! stało się mi, bo mi zbójnik zastąpił, musiałem mu wszystkie pieniądze dać; nie dał mi ino reński na drogę.“ „Ja wam powiadał: nie chodźcie;—a poznalibyście go?“ „O, poznałbym go, miał

koszulę okrutnie straszną i pas, i siekierę wielką.“ I poszedł na pole ten student i ubrał się w ten mundur i wlazł do izby. „Nie ten to był?“ „O, ten, ten!“ I dał pieniądze ojcu i powiedział: „Już nie będę księdzem, ino zbójnikiem. Bywajcie zdrowi!“ I poleciał.

Janosik miał pod sobą dwunastu zbójników; którego przyjmował *ku sobie*, każdy musiał sztukę pokazać. Jeden poskoczył do jedlicy (jodły), wierzchołek uciął szablą, a drugi wierzchołek z pistoleta ustrzelił. Inny łamał drzewa *najhrubsze*, czwarty najtwardszą *skalę* (kamień) w garści rozkruszył;—dość na tém, że każdy swoją sztukę *pokazował*, a Janosik jak skoczył, ręką wirch najwyższego *smreka* (świerka) chwycił.

Janosik poszedł na Orawę i mieszkał w Liptowie; tam zbójował, tam miał w lesie pomieszkanie.

Szedł chłop raz na jarmark, *na woły*. Pyta się go Janosik. „Dużo masz pieniędzy?“ On mu odpowiedział; „Trzydzieści reńskich.“ Wziął i dał mu 400 reńskich; „Kup za wszystkie pieniądze woły, a jak pójdziesz z wołami, przyjdź tu i pokaż mi je. „Chłop zaszedł na jarmark; takich wołów nie było drogich; bardzo się turbował i dał *obembnować*: „kto na tyle pieniędzy woły ma?“ Nie było ino we dworze, a jeszcze nie kosztowały tyle; ale zapłacił i wiódł. Zaszedł tam do lasu z temi wołami. Janosik go się pyta; „dużoś dał?“ Powiedział: że mu zbyło 100 reńskich, ale mu Janosik nic nie powiedział, ino kazał wieść do chałupy.

Szła raz baba na jarmark. Pytał się jéj: „gdzie idziesz?“—„Na jarmark?“ „Po co?“—„*Na buty*, ale mało mam pieniędzy.“ Naści *piątkę* (5 reńskich), kup-se *pikne* buty.“ Baba zaszła na jarmark, pieniędzy jéj żal było; nie kupiła butów i szła do chałupy bez butów. Potkała się na drodze z Janosikiem. „Kupiłaś buty?“—„Nie kupiła.“—„Czemu?“—„Bo mi żal było pieniędzy.“—Wziął, obłupił jéj nogi po kolana. „Kazałem ci buty kupić, toś mogła kupić; teraz masz buty darmo!“

Tak chodził ino po panach i rabował, a biednym dawał.

Dowiedział się, że tam gdzieś przy Sączu jest pan bogaty. Posłał posłańca do *Mszany* do dworu, aby mu tam obiad *narychłowali* dla niego i dla dwunastu sług. Na znak zakręcił kawał ryfy na szyi posłańca. Ten zaszedł i melduje we dworze, iże Janosik będzie na obiad z dwunastu sługami. Obiecali, że będzie obiad, i posłaniec poszedł; a tymczasem z całych wsi pozganiali najmocniejszych chłopów i strzelców i *przystroili* się na niego. Janosik idzie, a tu stają, tak porwał kobylisko za nogę, jak nic *obyrtnął* dokoła, połowa ich padła. Złapał bryczkę i przecisnął przez pałac, na drugą stronę pobiegł i w locie ją chwycił. Potém wziął wiele pieniędzy bardzo, i tak zbójował.

Liptacy wciąż na Janosika nastawali, aż cesarz posłał na niego regiment wojska. Wojsko przyszło z flintami, a Janosik wychodzi ino z ciupagą. Żołnierze strzelają, a Janosik kule w powietrzu chwyta i w oczy im ciska (bo się go kule nijak nie imały); jak zawołał: „Ciupaga *rubaj*!“ tak ciupaga wszystko po drodze *rubała* i regiment wojska uciekł.

Janosik bardzo był pobożny. Idzie raz i spotyka studenta z Podoleńca, gada z nim i *ku sobie* przyjmuje. Student zmówił się niedługo z hajdukami i obiecał zabić Janosika. Raz Janosik modlił się, jak zawsze klęczący. Student, niewiedzący, że się Janosika kule nie imają, z flinty do niego wypalił, a Janosik jakby nie słyszał, ani się obrócił. Student drugi raz strzelił: i znowu Janosik ani się *obeźrał*, tylko się modlił. Straszno się zrobiło zdrajcy; jeszcze raz strzelił i począł uciekać, ale Janosik skończył modlitwy, skoczył i zabił go.

Przytrafiło się jednego razu, że cesarz z drugim królem wydali sobie wojnę, co się miało dwóch rycerzy bić w pojedynku. Tak cesarz przysłał szwadron huzarów po Janosika i posłał dla niego konia. Przyjechali i pytali się, gdzie Janosik mieszka? Pokazano im w górze, w lesie. Pojechali tam, spotkali Janosika i pytają go: „Gdzie tu mieszka Janosik?“ on wziął, wyrwał buka z korzeniami i pokazał im, że tam mieszka. Oni się zaraz zmiarkowali, że to on sam i prosili go, że posłani są od cesarza, aby jechał z nimi bić się w pojedynku, i dawali mu konia, ale on nie chciał; powiedział im: „Ja tam prędzéj będę jak wy.“ W trzeci dzień za nimi poleciał, w trzeci dzień oni dojechali, a on już tam był. Meldował się skoro ci przyjechali, że już jest. Chcieli go potém blachą skować na piersi i konia *piknego*, krzepkiego dawali, ale on nie chciał ani szabli, ino ze siekierką poszedł. Szedł naprzód, a cesarz z wojskiem za nim, i zjechali się na placu z nieprzyjacielem. Nieprzyjacielski rycerz był na koniu, skowany okrutnie blachami, uzbrojony okrutnie. Wzięli się za ręce najprzód, a potém rycerz chciał Janosika zająć szablą i pistoletem strzelić; a Janosik złapał konia za nogę, ino raz o ziemię *cupnął*, nie została mu ino noga w garści. Tak go cesarz chciał zająć ze sobą, ale on nie chciał iść, ino powiedział: „że ja za regiment obstaję, a moi słudzy za drugi.“ I zniósł się na siekierce i już go nie widzieli. Tak przyszedł do Liptowa, bo tam miał mieszkanie i frajerkę tam miał.

Liptacy, jak nie było Janosika, namówili jego frajerkę, coby się ona Janosika wypytała, w czem on tę okrutną siłę ma? Ona im to obiecała i Janosika za pieniądze oddać przyrzekła. Jak Janosik do Liptowa powrócił, pyta się go frajerka, w czém on siłę ma? i przy-

znał się przed nią, że w onéj koszuli i w pasie i w siekierce. Liptacy *nasuli* (nasypali) grochu *na wirch* (na strych) domu i czekali. Janosik przyszedł do frajerki; ta zamknęła jego ciupagę za dziewięciorgiem drzwi, a Liptacy puścili na niego groch. Janosik z grochem rady dać nie mógł i *ukiełznął* (pośliznął się) na nim (1). Paru chłopów przysiedli go, pas na nim przecięli i koszulę stargali, tak Janosik zesłabł, a ciupaga przerąbała się przez ośmioro drzwi żelaznych, aż w dziewiątych stanęła. Janosik już zesłabł, i *pojęli go*; wystawili szubienicę, i na tę szubienicę wywiedli go i mieli wieszać. Wiedział, on że od cesarza pardon przyjdzie; stał pod szubienicą i na drogę od Wiednia *pozierał*, ale pardon zapóźno przyszedł, a tymczasem Liptacy Janosika za pośrednie ziobro na żelaznym haczyku zawiesili, a on jeszcze funt *habryki* (tytoniu) wykurzył. Tak się Janosik *skróś* (przez) frajerki skończył (2).

Od tego czasu, jak Janosika zawiesili na żelaznym haczyku, co rok Liptacy dają ćwierć cwancygierów kary za niego węgierskiemu cesarzowi, bo on obstał sam za regiment wojska, a ci go Liptacy zgubili.—

Na zakończenie dodać mi jeszcze wypada, że bardzo trudno znaleść Podhalana lub Słowaka, któryby historyę o Janosiku w wątpliwość podawał, albo takiego, któryby zdołał odmówić swego współczucia temu bohaterowi. Z całą pewnością nie ma ani jednego, któryby powątpiewał o owéj karze ćwierci cwancygierów. Stracenie Janosika do dnia dzisiejszego jątrzy Podhalan i powiększa ich nienawiść do Liptaków.

Taka jest legenda o największym zbójniku tatrzańskim, a teraz pozwolę sobie przytoczyć parę rzeczywistych ustępów z życia niedawno zmarłych zbójników podhalskich.

Pięćdziesiąt blisko lat temu pewien góral z Zakopanego nazwiskiem T. uciekł z wojska; wiedząc, że władze austryackie będą go prześladowały i nie pozwolą spokojnie mieszkać w rodzinnéj wiosce, poszedł na zbój. Pospolicie mieszkał w jaskiniach pod górą Osobitą i był postrachem przyległych wsi Orawskich. Był on małego wzrostu, ale nadzwyczajnéj siły i zręczności. W lecie bez trudu

---

(1) Szczegóły pojmania Janosika opowiadają z pewnemi waryantami, które tu opuszczam.

(2) Zbójnicy nieraz *skróś frajerki* cierpieli, tak np. w następującéj śpiewce.

Idzie zbójnik z za Liptowa,
Ciecze mu krew z za rękawa,
Z za rękawa i z główeczki,
Syćko bez zdradę dziewec zki.

znajdował żywność na halach, gdzie mu sérków bacowie dostarczali, a nadto chodził po wsiach orawskich, gdzie się zaopatrywał w żywność i *habrykę* (tytoń). W zimie, obawiając się, aby go nie zdradziły własne tropy na śniegu wyciśnięte, prawie wcale jaskini swojéj nie opuszczał, a gdy mu zabrakło zapasów żywności, poprzestawał na korzonkach; z zimna i niewygód często tracił wszystkie paznokcie. Miał on brata w Zakopanem, lecz ten bojąc się odpowiedzialności w obec władz austryackich, nie chciał mieć z nim bezpośrednich stosunków. Jedynym opiekunem zbójnika był młodziutki jego synowiec S. T., obecnie jeden z najlepszych przewodników, nadzwyczaj śmiały i silny. Aby dać wyobrażenie o sile owego synowca przytoczę, że będąc młodym, z góry śniegiem pokrytéj jednego po drugim zniósł dwóch turystów tęgo zbudowanych, a następnie po kolei przeniósł ich przez potok. Innym razem, *przez żart* z Krywania zniósł osobę olbrzymiego wzrostu i tęgiéj tuszy. Pomimo swéj siły S. T. jest miernego wzrostu i bardzo nawet szczupły, zawiędły. S. T. posiadając wszystkie przymioty zbójnika, przyznaje, że jedynie skutkiem napomnień stryja *nie wyskoczył za buczki*.

T. zdjęty rozpaczą, sam pewnego razu oddał się w ręce władz austryackich, odcierpiał karę, polegającą wówczas na niemiłosiernéni obiciu kijami, i został zamknięty w Zamkach orawskich, wybudowanych na wysokim brzegu rzeki Orawy. T. wyskoczył przez okno i uciekł.

Pojmano go i okutego w kajdany na nowo uwięziono. T. postanowił powtórnie uciec. Podczas gwałtownéj burzy, o saméj północy, dźwigając kajdany wyniósł on na plecach towarzysza niedoli, także w kajdany okutego. Szyldwach widząc jakąś ogromną istotę brzęczącą kajdanami sądził, że ma przed sobą diabła, albo jakiegoś potępieńca i nie śmiał przeszkodzić ucieczce. Tym sposobem T. znowu znalazł się na wolności, któréj już nigdy nie postradał.

Na głowę zbójnika nałożono cenę. Pewnéj nocy znajdował się on w karczmie na Orawie. Zdradzono go, albowiem karczmarz dał znać, że jest sam i wieczerza. Z dwóch wsi sąsiednich zgromadzono chłopów uzbrojonych w kije, kosy i widły, oraz opatrzonych w latarnie pod ubraniem ukryte. Wyprawą dowodził jakiś urzędnik austryacki szpadą uzbrojony. W cichości otoczono karczmę. Urzędnik z kilkunastu chłopami wszedł do izby i w téj chwili we wszystkich oknach zabłysły latarnie. „Mam cię ptaszku!“ zawołał urzędnik dobywając szpady i wzywając zbójnika do poddania się. T. nieodstępną ciupagą obciął nos urzędnikowi i ciężko go ranił, oraz gwałtownie natarł na wchodzących chłopów. Wówczas jeden z nich wbił mu żelazne widły w udo. Rozwścieczony bólem T. wyrwał na-

pastnikowi widły i wywijając nimi do koła wszystkich chłopów z karczmy wypędził, a następnie stanąwszy w progu zręcznym ruchem wyrzucił *czuhę* (wierzchnie ubranie) po nad głowami tłumu. Przy niepewném świetle latarni, wśród powszechnego zamięszania, oblegający sądzili, że to sam T. wyskoczył, zwłaszcza, że był znany ze swych zręcznych i olbrzymich skoków. Wszyscy tedy zwrócili się w stronę rzuconéj czuhy. T. korzystając z powszechnego zamięszania i popłochu ranił ciupagą wielu nieprzyjaciół i wśród ciemności zniknął. Wszyscy rzucili się w pogoń za uciekającym, który tymczasem ukrył się za pierwszym napotkanym węgłem. Po oddaleniu się chłopów, wyniesiono z karczmy ranionego urzędnika, a gdy nikogo już nie było, T. opatrzył swą ranę, powrócił do karczmy i wieczerzy dokończył.

Zestarzawszy się T. powrócił do Zakopanego, gdzie go już w spokoju pozostawiono. We wsi rodzinnéj spokojnie życia dokonał, ani na sekundę nie rozstając się ze swą ciupagą, z którą nawet sypiał. Nie wątpię, że tragiczny koniec Janosika, który zginął wypuściwszy z rąk ciupagę, jedynym był powodem tego ciągłego piastowania siekierki.

Do ostatnich zbójników podhalskich należy *Wojtek Mateja* z Zakopanego i *Wojtek Gal* z Olczy.

Mateja z początku dochowywał wiary tradycyom zbójników tatrzańskich. Odwiedzał hale i wybierał daninę w sérkach i baranach, nachodził leśnych i karczmarzy, lecz stopniowo coraz bardziéj dziczał. Zaczął napadać księży, co u zbójników zawsze było zbrodnią, a nawet w Chołowie zrabował pieniądze na kościół złożone. Tak więc ostatecznie stał się *rozbójnikiem* w całém znaczeniu tego wyrazu.

Rozbój mało wpłynął na powiększenie majątku Matei (według gramatyki góralskiéj, *Matejego*), który większą część zdobyczy wydawał na fetowanie przyjaciół.

Pewnego razu Mateja przyszedł na halę, jeżeli dobrze pamiętam, należącą do wsi Witowa, i począł wybadywać bacę, czy nie zna takiego miejsca, w którém się łączą trzy potoki? Baca domyślając się, że Mateja szuka zbójeckich pieniędzy, zaparł się, że podobnego miejsca wcale nie zna, ale po odejściu rozbójnika począł sam szukać i rzeczywiście we wskazanem miejscu znalazł zakopane dukaty. Ze swéj strony Mateja odszukał to samo miejsce, a widząc poruszoną ziemię, domyślił się, że baca zabrał pieniądze. Poszedł tedy do niego, ale baca zaparł się znalezienia pieniędzy. Powróciwszy z hali baca chciał dukaty wysuszyć i wystawił je w niecce na słońce. Przechodzący tamtędy żyd spostrzegł dukaty i dał znać o tém Matei,

którego znał jako zbójnika, oraz wiedział, że szuka zbójeckich pieniędzy. Mateja przyszedł upominać się o pieniądze i proponował bacy równy podział dukatów, lecz baca i tym razem wszystkiego się wyparł; poczém Mateja powrócił do domu. Baca wiedząc, że rozbójnik, dla odzyskania pieniędzy napadnie go nocną porą, przeniósł się wraz z całą rodziną do odległéj szopy, pozostawiając w domu młodą służącą. Mateja wkrótce przybył w towarzystwie przyjaciół, a zastawszy samą tylko sługę począł ją męczyć, aby mu wydała skarb pana. Biedna dziewczyna poznawszy Mateję, poczęła go upraszać: „Kochany Wojtku! nie męczcie mnie, bo ja nic nie wiem o waszych dukatach.“ Mateja widząc, że go poznano, zabił dziewczynę. Wkrótce wykryto zbrodnię i osadzono Mateję w więzieniu w Wiśniczu, gdzie przed sześcioma laty umarł. Mateja nigdy nie budził sympatyi w Podhalanach, a jego śmierć radosną była nowiną.

Wojtek Gał bacował na hali Kondratowéj. Był to człowiek zamożny, posiadacz gruntu i młyna w Olczy; odznaczał się olbrzymią siłą i odwagą, to téż należał do tęgich zbójów. Według słów pewnego górala, który pewien czas juhasił u Gała, zbójowanie tego człowieka polegało na wpadaniu nocną porą na hale, gdzie zabierał séry i barany, co mu inni bacowie jak najprędzéj starali się odpłacić napadem. Pomiędzy bacami istniała pewnego rodzaju gra, polegająca na wzajemnem podejściu: kto był czujniejszy, mniéj ucierpiał od napadów, które na czas odpierał; kto był śmielszy, zręczniejszy, ten więcéj od innych zdobywał. Było to coś przypominającego grę warszawskich gołębiarzy z tą różnicą, że tutaj chodzi o to, kto ma lepszego gołębia, który umie obce sprowadzić gołębie, a w Tatrach współzawodnictwo dotyczyło zręczności i śmiałości samych baców. Oprócz tych wycieczek do swych kolegów, Gał w jesieni czatował na kupców, którzy pędzili owce po halach kupione, zabierał część stada, i puszczał napadniętych, nie czyniąc im zresztą krzywdy. Jednego roku juhasi, a było ich dwunastu, spotrzegli, że ich Gał oszukał na 100 reńskich i postanowili chociażby przemocą pieniądze swoje odzyskać. Przed samém zejściem z hali, kiedy baca przestaje być *ojcem szałasu*, juhasi uzbrojeni w kije napadli Gała, dopominając się swoich *papierków*, ale Gał wszystkich pobił, wielu poranił, a pieniędzy nie oddał. Przed kilkoma laty Gał chcąc zatrzymać będące w biegu koło swego młyna pochwycił je ręką, ale koło urwało mu rękę, skutkiem czago Gał umarł, nie zostawiając po sobie wielkiego żalu.

Tak więc zbójnicy pojedynczo pojawiali się w Tatrach aż do ostatnich czasów, ale dzisiaj już ich nie ma. Mateja i Gał umarli, a inni zwolennicy *zbijania*, albo są wiekiem przyciśnięci i spokojnie gaz-

dują, nie *wyskakując za buczki*, albo też będąc w sile wieku, *nie mówią dzień dobry* z za *buczka*, z obawy starcia z czujnemi żandarmami. Spokojnie tedy bacują i gazdują, z żalem wspominając lepsze czasy. Pomijając takich bardzo nielicznych zwolenników zbójectwa, należy przyznać, że potężny wpływ księży, oraz wielka obawa czujnéj policyi stanowczo zniweczyły w Podhalanach pociąg do zbójnictwa, które dzisiaj abstrakcyjnie tylko wielbią, wcale go nie uprawiając.

Zbójnik nigdy turystów nie napastował.

Podhalanie posiadają bardzo dużo śpiewek i pieśni o zbójnikach; najpiękniejszą jest pieśń o dziewczynie, która poślubiła zbójnika, nie wiedząc o jego zajęciu. Jest to najlepszy utwór poetycki Podhalan, którego powtarzać nie będę, albowiem czytelnik znajdzie go u Goszczyńskiego (*Dziennik podróży do Tatrów*, str. 277) i u Zejsznera (*Pieśni ludu Podhalan*, str. 171).

August Wrześniowski.

W GRUDNIOWE DNI.

NOWELLA.

(*Dokończenie*).

„*27-go listopada*. Ach Mateczko! Jakaż ta gawiedź miejska obrzydliwie mi wstrętna, ten tak zwany *świat!* Ileż tu fałszu i obłudy. Nigdy wprzódy mi się to nie dało tak uczuć, jak teraz. Jak mi ci ludzie winszują nieszczerze, jak mi szczerze zazdroszczą! Jak mi pochlebiają, jak mi się łaszą, jak czapkują, wiedząc, że mam zostać wielkim panem! Byłażby to wściekła radość między temi memi nowemi *wielbicielami* i *przyjaciołmi* (sami się tak nazywają), gdyby dla jakiego nadzwyczajnego powodu małżeństwo nie przyszło do skutku! ach, jakżeby się oni cieszyli, jakby się śmieli! Na szczęście nie przyjdzie do tego i przyjść nie może.“

„Byłem tedy dziś u mojéj narzeczonéj... Niechże Mateczka sobie tego na złe nie tłómaczy, jeżeli wczoraj napisałem, że mi się tam iść nie chciało. To nie dla tego abym ja Hieronimki nie lubił, owszem, wierz mi Mateczko, że mam prawdziwą dla niej sympatyą, a wobec tylu dowodów namiętnego jej do mnie przywiązania, musiałbym być chyba drewnianym manekinem albo marcypanowym juraszkiem, abym jej tego uczucia choć w części nie odwzajemniał. Nawet w takim razie, gdyby była brzydką jak noc, musiałaby się w mém sercu obudzić dla niej jakaś niezwykła wdzięczność, czy przyjaźń, czy litość... ja sam nie wiem, jak nazwać ten szczególniejszy rodzaj współczucia. Ona mnie tak kocha! Ona żyje mną i mną samym tylko: o mnie marzy, we mnie widzi wcielenie swego ideału, we mnie szczęście swoje całe. Gdyby mnie nie było, ona-by żyć nie mogła. Powiedziała mi to nieraz, i jestem przekonany, że mówiła prawdę. Nie, Mateczko, takby mnie nikt pokochać nie mógł na świecie jak ona. Popsuty jestem tą jej miłością tak nadmierną, nieludzką, chorobliwą

może i obłąkaną... ale zawsze miłością taką, jakiéj nikt dla mnie uczuć-by nie zdołał. Miło to być czyimś bóstwem, czyimś zdrowiem i życiem i szczęściem. Ta jéj miłość stała się już potrzebą méj duszy; czułbym się nieszczęśliwym, gdyby mi jéj zabraklo... Widzi Mama, jak ja się do niéj przywiązałem! A Mama mówi, że ja jéj nie kocham. Zaręczam Mamie, że to nie paradoks: czułbym nieprzezwyciężony *pociąg* do niéj, choćbym miał *wstręt* niezwalczony. Kochałbym ją, powtarzam to, choćby brzydką była jak noc, brzydką ciałem i duszą i szacunku mego niegodną, złą i głupią—byle mnie tak kochała jak mnie kocha... A taką przecież nie jest! Jest-to dziewczę jednostronnego wprawdzie, ale wysokiego zawsze wykształcenia; dobra i łagodna jak anioł, szacunek mam dla niéj wysoki, a brzydką jak noc nie jest. Nie powie nikt wprawdzie, aby była piękną, tem mniéj urodziwą; nie posiada ani klasycznych rysów, ani tego uroku młodości, którego w jéj wieku często i najbrzydszéj dziewczynie nie braknie. Ładną nikt jéj nie nazwie, chyba pochlebca, brzydką nazwie ją chyba ten, w kim serce śpi snem twardym, kto o piękności sądzi wedle matematycznych wymiarów rysunku, albo wedle odcieni karnacyi, jedném słowem: pedant-estetyk. Jest w niéj coś, co trudno słowem określić, a co człowiekowi wyższego umysłu nie dozwoli jéj nazwać brzydką. Powie Mama, że się nie potrzebuję wysilać na określenie tego tajemnego uroku, bo nie może być nim co innego, tylko piętno szlachetności w jéj całéj postaci, w jéj rysach, w wyrazie twarzy przynajmniéj. Otóż nie, szlachetności jéj serca, wyższego polotu jéj myśli nie odczyta z jéj twarzy, kto jéj nie zna bliżéj. Na pozór niby ona taka jak tysiące innych. A jednak jest coś w niéj, co nie dozwala od niéj oka oderwać, choćby się w gronie najpiękniejszych dziewcząt znalazła. Jest coś w wyrazie jéj twarzy tajemniczego, zagadkowego, sfinksowego, coś mistycznego — co, jak zaklęcie magnetyzera, wzrok nasz trzyma na uwięzi. Tak, ale magnetyzer zwycięża nas, przyciąga ku sobie ofiary swe, budząc w nich niewytłómaczoną sympatyę, któréj nie są w stanie się oprzéć, ona zaś sympatyi takiéj nie budzi ani postacią swą, ani swym głosem; owszem, są tacy, którzy mówią: ach, jakaż ona niemiła! jaki ma głos nieprzyjemny!... Może i jabym czasem to powiedział. Ona nie przyciąga ku sobie—w jéj całéj postaci nic nie ma coby przyciągało—ale ona... *czaruje*, prawdziwie, że czaruje! Gdybym był przesądnym, uwierzyłbym w czary. Piękności w niéj nie ma ani uroku—ale jest *czar* jakiś. Nie spieszno mi do niéj, gdy jéj nie widzę—nie tęsknię za nią, powiem szczerze: rad nawet jestem, gdy jestem od niéj zdala, ale gdy jestem przy niéj, czuję się pod władzą jakiegoś zaklęcia, jakiejś potęgi, z którą daremnie bym chciał walczyć. W stalaktytowéj jakiéj grocie lub

w głębiach kopalni oświecić ją ogniem bengalskim, a górnicy padną przed nią na kolana, jak przed królową podziemnych światów. Jakaś nie ziemska, ale pozaświatowa owiewa ją atmosfera; jakaś promienieje z jej wątłéj postaci siła nieprzezwyciężona, która nie nęci, nie wabi, nie pociąga ku sobie, ale w całém znaczeniu tego słowa: *czaruje*. Czaru tego doznaję w coraz wyższym stopniu. Czy to miłość? ja nie wiem. Może to i miłość. Ale jeżeli to miłość—to dziwnie mi z nią. Raz w życiu się kochałem—było mi wtedy całkiem inaczéj: było mi wtedy tak, jak śpiewają poeci, jak czują wszyscy zakochani przyjaciele moi... Mnie teraz całkiem inaczéj. Tak mi jest, jakbym był chory na sercu, poezyi we mnie nie ma, prozą oddycha każda moja myśl, niezdolny jestem cieszyć się ani smucić, fantazya usnęła, zmysły nie grają, zimny jestem jak lód, sam sobie z własnego stanu zdać nie umiem sprawy: radbym Hieronimę pokochać tak, jak się zwykle kocha—albo ją znienawidziéć... a nie mogę ani jednego, ani drugiego; chciałbym być obojętnym—a i tego nie mogę. Dziwnie mi, bardzo dziwnie, ale to minąć musi. To jakieś przeobrażenie duszy, z którego odrodzona wskrześnie do nowego życia. Hieronimę postanowiłem pokochać sercem całém—i pokochać ją muszę. Ona warta tego."

. . . .

— Czemuż nie czytasz Zosiu? — zapytała staruszka po dłuższéj pauzie.

— Pozwól mi pani odpocząć chwilkę—odrzekła Zosia przez łzy.

Obie zamilkły. Cisza była, słychać było tylko wicher szalejący na dworze i gwizdanie przeciągów w kominie i nad powałą.

Niepodsycany przygasał na kominku ogień.

Wreszcie odezwała się matka:

— Nie, on nie jest szczęśliwym!...

— Nie—powtórzyła Zosia, a głos jéj drżał od wzruszenia.

. . . .

„*28-go listopada*. Rozpisawszy się wczoraj o sobie, zapomniałem Mamie donieść, że Hieronimkę zastałem cierpiącą; przez czas kilkudniowego mego pobytu w Paprotce znowu była chorą, powiada, że jest zawsze chorą, jak mnie nie widzi. Trudno to przecież, abym wisiał przy niéj jak obraz na ścianie! Ile razy przy niéj jestem, patrzy ona w saméj rzeczy na mnie jak na obraz, jak święta Teresa na obraz Zbawiciela. Oka ze mnie nie spuszcza, jakby była w ekstazie, a gdy ja wdam się w rozmowę z jéj matką i przez chwil kilka nie spojrzę na nią, z bolesną skargą przywoływa mnie do porządku, takim żałosnym tonem, jakbym jéj największą wyrządził krzywdę. Tak przecież zawsze nie może być! Umarłbym pod wpływem takie-

go magnetyzmu. Nie uwierzy Mama, jak mnie to męczy. Moja Święta-Teresa powiada mi, że rozkosz zbawionych w Królestwie Niebieskiém na tém ma polegać, że będą Bogu twarz w twarz patrzéć przez wieczność całą—i że ona podobną żyje rozkoszą tu na ziemi, gdy jestem przy niéj, a chciałaby, aby to wieki trwało. Miałem ochotę jéj powiedzieć, że ja nie życzyłbym sobie tego, alem zamilkł: byłoby to jéj zanadto bolesne. Dziś ją trzeba oszczędzać; ona taka chora, taka nerwowa, taka mizerna! Kaszel jéj bardzo mi się nie podoba, a wzmógł się znacznie od czasu mego wyjazdu. Kiedyś, jak przyjdzie do sił i zdrowia, będzie ją można z téj nadmiernéj egzaltacyi wyleczyć, bo mnie to formalnie zamęcza. Takie mam uczucie pod wpływem tych jéj czarnych oczu wpatrzonych we mnie, jakby mi ona duszę wzrokiem wypijała. Nie zrozumie Mama tego wyrażenia, które się Mamie ekscentrycznem wyda, bo nigdy Mama czegoś podobnego w życiu nie doznała. Przesiedziawszy z nią cały wieczór, wychodzę z jakimś szczególnym zawrotem głowy, odurzony jakby po zażyciu haczyszu, tylko, że upojenie nie jest bynajmniéj tak rozkoszném, jakiego mają doznawać Arabi; chorym się czuję i roznerwowanym, jak nigdy nim nie bywałem w życiu. Któryś z poetów niemieckich, nie pomnę który, pisze o kochanku, który zrządzeniem niebios miał od urodzenia wyciśnięty na siatkówce oka wizerunek swojéj kochanki i gdziekolwiek spojrzał, wszędzie widział mglisty jéj obraz. Otóż ja teraz czegoś podobnego doznaję. Gdziekolwiek spojrzę i na jakikolwiek przedmiot, wszędzie widzę wpatrzone we mnie jéj źrenice. Widzę je w ciemnym pokoju, nawet gdy zamknę powieki; idąc ulicą widzę je w powietrzu zawieszone przedemną w téj odległości, z jakiéj ona zwykle na mnie patrzy. Czytałem dziś jakąś kartkę pogrzebową przylepioną na rogu kamienicy, z kartki téj patrzały na mnie oczy Hieronimki. Pisząc list ten, drgnie mi czasem ręka, gdy zamyśliwszy się o czem, nagle się ocknę ujrzawszy je pod ostrzem pióra na białéj ćwiartce papieru. Śmiać się muszę z mojéj chorobliwie podrażnionéj wyobraźni, wczoraj jedząc obiad obaczyłem je w filiżance bulionu, w naleśnikach z powidłami. Tak dłużéj nie może być. Zwaryowałbym, śmiejąc się sam z siebie. Jeżeli nie potrafię okiełznać rozbujałych nerwów, powiem jéj wprost, że mnie zabija tém magnetyzowaniem.“

„Jaś, skutkiem otrzymanego listu z Warszawy, musi przyspieszyć swój wyjazd. Tak mało korzystać mogłem z jego bytności.“

. . . .

„*29-go listopada.* Moje panie zastałem dziś smutne i spłakane, Hieronia miała spazmy. Zostały one ogromnie zaalarmowane listem,

który otrzymała pani Sarska od syna z Paryża. Była to odpowiedź na jéj list, którym mu doniosła o naszych zaręczynach. List swój wyprawiła do Nicei, gdzie p. Lucyan miał bawić przez zimę, ale go tam nie zastał. Gonił tedy za nim ów list po całych Włoszech i po Szwajcaryi, aż nareszcie z Vevey odesłano mu go do Paryża. Panicz raczył oświadczyć swéj matce wysokie swoje niezadowolenie. Listu jego nie chciano mi pokazać, ale domyślam się jego treści i tonu, z przytoczonych mi, najmniéj niby rażących ustępów. Daje on w liście tym swéj matce słowo honoru, że póki on żyje, jego siostra nie zrobi mezaliansu. Głupiec! Komu to sądzić o wartości ludzi i o mezaliansie, czy takiemu jak on młokosowi, który od lat dwóch wydostawszy się z pod kierunku guwernera, pędzi życie na próżniaczéj włóczędze zagranicą? Mezalians! tu jeszcze wielkie pytanie, kto się z nas dwóch mezaliansu dopuszcza. Ja na ołtarzu domowym składam skarby, których i za miliony nikt nie nabędzie, zdrów jestem i silny, a czuję w sobie dość zdolności i woli, aby pójść z losem w zapasy i wywalczyć sobie stanowisko zaszczytne, byt dostatni i zdobyć poważanie świata, którego p. Lucyan, mimo dziewięcioperłowéj korony, nigdy mieć nie będzie. A ona? Mnie nie potrzeba jéj tytułu i jéj milionowego majątku. Jabym wolał, aby mi przyniosła w posagu zdrowy umysł i zdrowe ciało i koligacyę z serdeczną jaką rodziną i nadzieję zdrowego potomstwa. Cóż ona mi z tego wszystkiego przynosi? Nic zgoła!... Nie zazdrościłem nigdy skarłowaciałym potomkom wielkich rodów. Zazdrości godnym wydał mi się raczéj zawsze *protoplasta* nowego rodu, pełnego młodzieńczéj siły i zasobów do walki. Marząc o ożenieniu od lat najmłodszych, jam marzył zawsze o poczciwém dziewczęciu – ot, takiém jak....."

I zabrakło czytelniczce głosu. Żywym rumieńcem spłonęły jéj lica.

— Jak kto?

Zebrało się dziewczę na odwagę i czytało daléj:

....„jak Zosia... zdrowém jak jabłuszko, świeżém jak kwiat, któreby mi dało synów, dzielnych duchem i ciałem. Jakąż biedna Hieronia obdarzyć mnie może dziatwą? Trumienki widzę przed sobą w marzeniu, gdy o tém pomyślę, i chérlaków podtrzymywanych sztuką lekarską przy życiu, którymby lepiéj było nie rodzić się wcale. Mrowie mnie przechodzi i pragnąłbym, abyśmy wcale nie mieli dzieci, poco nam tych obaw i pogrzebów i rozpaczy?"....

Nowa przerwa.

W téj ciszy wieczornéj nadsłuchiwała staruszka. U ślepych dusza cała w słuchu. Pochwycą oni tak drobne szmery i dźwięki

odróżnią tak nieznaczne głosu modulacye, że cudowną prawie się wydaje przenikliwość ich w téj mierze.

— Ty płaczesz Zosiu!—rzekła wzruszona.

— Nie pani!—i usuwając się do kolan staruszki, ucałowała jéj rękę.

Pogłaskała ją ślepa po twarzy, łzy uczuła na dłoni.

— Płaczesz! — i rozczulona obiema rękami objęła jéj główkę, przycisnęła do serca, okryła pocałunkami jéj czoło, jéj twarz i oczy, wilgotne od łez.

Z rozkoszą utulonego przez matkę dziecięcia dała się Zosia całować i pieścić. Napróżno starała się łzy powstrzymać, płynęły one ciągle nieprzerwaną strugą.

Dreszcz ją jakiś rozkoszny przebiegał od całusów téj ślepéj staruszki. Drżała w jéj ramionach, jakby w objęciu ukochanego. Serce biło głośném tętnem, rumieniła się naprzemian i bladła. Pocałunek matki tak na nią działał, jakby pocałunek syna.

Silniéj przycisnęła drżącą staruszka do łona i rzekła smutnie:

— Zosiu... ty go kochasz!

Głośne szlochanie dziewczyny było jéj odpowiedzią.

— Biedne dziecko!

A szlochając leżała w jéj ramionach dziewczyna. Nieme łzy matki padały dużemi kroplami na jéj głowę.

Ani słowa pociechy, ani słowa skargi.

Na co tu słów?

Wypłakała się dziewczyna, ukoiła ból w sercu, raz jeszcze ucałowała *jego* matkę, jakby matkę rodzoną i powstając rzekła smutnie, ale spokojnie:

— Będę czytać daléj.

Westchnęła staruszka.

— Czytaj, dziecko moje!

— „Samotność we dwoje, zapełniona ciągłém staraniem o jéj wątłe zdrowie, spędzona w chorobliwéj jakiejś miłosnéj ekstazie, somnambuliczna jakaś wędrówka po drodze żywota... jednostajna, smutna, nudna, jak podróż po Saharze... a przytém dostatki, bogactwo, znaczenie: oto co mnie czeka. Hieronima sypia do południa—ranki będzie można spędzić na pracy, a majątkiem podpierać w kraju wszystko co zacne: tyle dla mnie szczęścia i przyszłości.“

„Nie mam innych marzeń. Zerwałem z niemi i pogodziłem się z moim losem. Silny jestem i przygotowany na wszystko, co mnie czeka. Nie bój się Mateczko o mnie.“

„*30-go listopada.* Panie moje dziś spokojniejsze. Wyperswadowałem im, że ten fajerwerk słów w liście p. Lucyana jest tylko młodzieniaszkowatym fajerwerkiem i nic więcéj. Odważniéj oczekują

zapowiedzianego jego w tych dniach przyjazdu. Powiem mu słówa prawdy i sądzę, że zdołam go przywieść do opamiętania. Niepodobna przecież, aby mu zdrowie siostry całkiem obojętném być miało. A gdyby to wszystko nie pomogło, powiem mu po prostu: bądź pan zdrów, ja pana znać nie chcę i nie potrzebuję—a matka Hieroni dom przed nim zamknie, przyrzekła mi to. Odwiedzę także wszystkich krewnych Hieroni, aby wpłynęli z swéj strony na skapryszonego panicza. Byłem już u kilku i znalazłem wszędzie przyjęcie znacznie lepsze, niż się spodziewałem, znając ten świat salonowy. Niektórzy stanęli ze mną odrazu na stopie prawie tak przyjaznéj, jakbym już był członkiem rodziny. Najserdeczniéj przyjął mnie poczciwy p. Eugeniusz. U jednego tylko p. Jerzego szczególniejsze mnie spotkało zdarzenie. Jak Mateczce wiadomo, dawałem tam niegdyś lekcye literatury pannie Jadwidze; otóż będąc obecnie u p. Jerzego, zapytałem: kto ją teraz uczy. Nie mamy nikogo, odrzekł p. Jerzy, czy nie mógłbyś nam pan kogo polecić? — Siebie! odpowiedziałem, jeżeliście państwo byli z mych wykładów zadowoleni. — O tem pan nie możesz wątpić, córka nasza skorzystała nadzwyczaj wiele i nie może odżałować swego nauczyciela,—ale teraz nie śmielibyśmy pana trudzić.—Miléj-by mi było dawać lekcye w domu państwa, niż gdzieindziéj, a szukam właśnie lekcyi.—Państwo Jerzowie spojrzeli na mnie i na siebie z nieudaném zadziwieniem. Pan Jerzy się roześmiał: Pan żartujesz?—Bynajmniéj!—Przecież pan lekcyj teraz dawać niepotrzebujesz! zawołał.—Żeniąc się z naszą kuzynką! dodała pani Jerzowa.—Z czegóżbym żył? odpowiedziałem.—Pan Jerzy zrozumiał to jako delikatną z méj strony przymówkę o pożyczenie pieniędzy. Oczywiście nie przyjąłem propozycyi. Będę miał więc lekcye w ich domu—mam prócz tego jeszcze w dwóch innych domach—a to mi na teraz wystarczy... Ach, prawda! zapomniałem jeszcze o jednym szczególe charakterystycznym. Porozumiawszy się ze mną co do godzin, w których mam przychodzić, dodała pani Jerzowa: Ale pozwolisz pan, że my sami wyznaczymy honoraryum, dla tak znakomitego profesora.—Nie potrzebuję Mamę zapewniać, że oświadczyłem na to, iż większéj zapłaty od téj którą brałem, nie przyjmę.“

. . . .

„*1-go grudnia.* Nie miły miałem dziś dzień. Byłem w południe u Hieroni, zastałem ją kaszlącą więcéj, niż zwykle, roznerwowaną przytém w wysokim stopniu i tak osłabioną, że leżąc na sofie zaledwie mogła obrócić głowę ku mnie. Okna były nawpół przysłonięte, bo ją światło razi. A gorąco w pokoju piekielne, jak w łaźni parowéj. Patrzyła mi w oczy jak zwykle, ale powieki jéj się zamykały co chwila i wśród rozmowy—a raczéj słuchając mnie z natężoną

uwagą, zadrzémała. Wynieśliśmy się z jéj matką na palcach do drugiego pokoju. Przyszedł właśnie lekarz. Zapytałem go o Hierunię. Uspokoił mnie, że stan jéj nie jest jeszcze niebezpiecznym, ale dodał, że staćby nim się mógł nadzwyczaj łatwo. Każde większe wzruszenie mogłoby groźne sprowadzić następstwa. Zimę tę, wedle jego zdania, należało przepędzić we Włoszech, w obecnym jednak stanie jéj zdrowia, nie ma mowy, aby przed wiosną mogła wyjść z pokoju, a tembardziéj, aby można ją narazić na trudy tak dalekiéj podróży. Ślub nasz zatem odbędzie się w mieszkaniu. Hierunia wie już o tém i ciągle tylko marzy, jak salon przystroić na tę uroczystość. Pragnie, aby było tak świetnie, tak bogato, jakby ona królewną była a ja, co najmniéj, szachem perskim. Biedne dziewczę! jak mi jéj żal! Pytałem doktora, czy to dobrze, że w jéj pokoju tak gorąco. Zalecił to jak najmocniéj. Natomiast zganił, że story pospuszczane. Jéj potrzeba jaknajwięcéj światła, jak najwięcéj słońca, jak najwięcéj powietrza. Powiedziałem to Hieruni, gdy się przebudziła; w tym na wpół ciemnym pokoju nie spostrzegłem zrazu, wróciwszy do niéj, że płacze; płakała, bo otworzywszy oczy, nie ujrzała mnie siedzącego przy sobie na tém miejscu, gdzie siedziałem przy jéj zaśnięciu. Dłuższego czasu trzeba było, zanim się nieco uspokoiła po tak strasznem zmartwieniu.—-Mnie razi to szkaradne słońce!— rzekła mi tym swoim żałośnym, złamanym, omdlewającym tonem głosu, który nigdy innéj nie przybiera modulacyi, jakby wieczysta skarga brzmiała w jéj ustach.—Szkaradne słońce!—powtórzyła kilkakrotnie. Jabym chciała, żeby było zawsze ciemno, całkiem ciemno na świecie i żebym tylko ciebie widziała.—Martwisz mnie, droga moja, rzekłem jéj. Czy sądzisz, że będę się czuł szczęśliwym, jak będę cię widział chorą? Tobie do zdrowia potrzeba słońca i powietrza.— Nie, nie, nie chcę słońca. Nie potrzeba mi powietrza; kiedyś ty przy mnie, to mi tak lekko oddychać, ja *tobą* oddycham. Tyś mojém słońcem, mojém powietrzem, mojém życiem!... Cóż jéj na to odpowiedzićć? Siedziałem przy niéj i patrzałem na nią, trzymając ją za rękę. Rączkę ma ładną, malutką, ale tak chudą jak ręka szkieletu. Ręka ciągle spocona, a wargi spalone od gorączki. To niedobrze —Mówiłem do niéj zrazu o tém i o owém, opowiadałem co mi przyszło na myśl, starałem się ją rozweselić. Ale jéj nigdy niczém rozweselić nie można; rzadko kiedy zdarzyło mi się ją widzieć uśmiechniętą, śmiechu jéj nie słyszałem nigdy, chyba w napadzie spazmów śmiech z płaczem zmięszany. Dziwna istota, jakby nie z tego świata!— Spostrzegłem, że ją rozmowa męczy. Umilkłem zatém i siedzieliśmy tak, niemi, naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy może z godzinę. Ach, jak mnie to męczy! a stokroć bardziéj jeszcze w tém tropikal-

ném gorącu! Prawdziwe tortury, siedzieć w na wpół ciemnym pokoju, nic nie robić, nic nie mówić, patrzyć się w oczy i—pocić się jakby w piecu piekarskim. Nigdyby Mama nie zgadła, o czem wtedy myślałem. Starałem się odbiedz myślą daleko, daleko, bo gdy zwracam uwagę na te jéj czarne źrenice wpatrzone we mnie, to mi się głowa kręci. Nie wiem czemu, przypomniałem sobie dziecięce i studenckie moje lata, wakacye spędzane w Paprotce i dni najweselsze, gdyśmy pojechali do Suchorębu. Prawem jakiejś wyobraźniowéj antytezy, żywo stanęły mi w pamięci te jasne jak gwiazdeczki oczęta panny Zofii, to szczęście, które w nich promieniało. Ach Mateczko, to były najlepsze dni mego życia...“

— Zosiu! Zosiu!... i wyciągnęła staruszka ramiona ku swéj lektorce, czując w rzewnym jéj głosie ból, który jéj serce rozrywał.

Ale Zosia serce przycisnęła ręką, aby milczało i urywanym głosem czytała daléj. W oczach jéj ćmiły się litery, łzy rzęsistym deszczem padały na papier.

„...to były najlepsze dni mego życia, ich wspomnienie więcéj dla mnie warte od całéj mojéj przyszłości. W chłopięcéj naiwności ja wtedy myślałem... ale pocóż to dziś powtarzać! Zapomniałem wtedy, że Zosia bogata a mnie się o jéj rękę ubiegać nie wolno... Chciałem pracą wytrwałą dobić się stanowiska... ale to tak trudno! to tak wiele lat na to potrzeba.... a rok za rokiem ulatał. I przyszedł rok bieżący i przyniósł mi los, którego mi świat zazdrości, przyniósł mi szczęście — czarne szczęście... w czarnych oczach Hieruni... Głos jéj drżący, niemiły, ocucił mnie z marzenia.—Czy ty wierzysz temu, mój drogi, że jabym bez ciebie umarła?...—Wierzę! odrzekłem.—Oh, jabym nietylko umarła... i urwała myśl zaczętą. Po dłuższém milczeniu dodała: nietylko umarłabym dla ziemi... ale i dusza moja bez twéj miłości zagasłaby na wieki, rozwiałaby się jak mgła... w nicość... w nicość... Jak mnie ona kocha, nieszczęśliwa!...“

„*2-go grudnia.* Rozpisałem się wczoraj o Zosi. O Mateczko, niech ona nigdy się o tém nie dowie, żem ja ją tak kochał... ale pocóż mam kłamać? pocóż mówię, żem *kochał*, kiedy kocham szalenie... pierwszą i ostatnią miłością. Nigdy tego tak silnie nie czułem, nie pojmowałem tak jasno, jak przy Hieruni. Ilem razy przy niéj, to na myśl ciągle przychodzi mi Zosia!...“

— O pani, pani!... jaka ja nieszczęśliwa!

— Dziecko moje!—i przycisnęła ją do serca staruszka, ocierając łzy z jéj oczu.

Przycisnęła Zosia do swych ust różanych ten list, te wyrazy beznadziejnéj miłości, i czytała daléj:

„...*Z* myślą o niéj usnąłem. Śniła mi się. Widziałem ją we śnie—ale jak? Widziałem ją leżącą na katafalku... Sen mara... To nie sen, to prawda, ona dla mnie umarła...“

„Rano odbyłem moje lekcye a dzień cały, prawie aż do północy, spędziłem przy Hieruni. Odsłonięto dziś story, znacznie jéj lepiéj, ale znowu zmieniła się na niekorzyść. W półcieniu i przy świetle wieczorném wydaje się ona najlepiéj. Ona ma słuszność, że słońca nie lubi. Przypatrywałem się dziś jéj fotografii, robionéj przed trzema miesiącami, jakaż to różnica olbrzymia! Na fotografii każdy wygląda starszym, a ona na téj fotografii o lat kilka młodszą się wydaje. Wówczas była prawie przystojną w porównaniu z tém, co dzisiaj. Okrutnie jestem znużony, niepodobna mi dziś z Tobą dłużéj rozmawiać, Mateczko moja.“

. . . .

„*3-go grudnia.* Pani Sarska wypytywała mnie dziś szczegółowo o moją rodzinę. *Z* treści jéj pytań domyślać się muszę jakichś plotek—prawdopodobnie o ciotce Malwinie, jéj mężu i dzieciach. Oświadczyłem jéj wyraźnie, że cała rodzina moja, to Ty Mateczko, którą Hierunia winna czcić i kochać jak matkę swą własną. A co do ciotki, powiedziałem, że bynajmniéj nie uważam za obowiązek méj przyszłéj żony uważanie jéj za krewną, a tém mniéj jéj dzieci, z któremi stosunki moje są bardzo oziębłe. — Hierunia wybiera się pisać do Ciebie z prośbą o błogosławieństwo, ale jéj to z wielką przychodzi trudnością. W tych dniach uczynić tego nie będzie mogła. Jest jeszcze zanadto osłabioną. Ale powinna to była już dawniéj uczynić. Kilka razy zadała mi pytanie, na co się zda, aby pisała do Ciebie, skoro Ty listu jéj sama czytać nie będziesz.—Napisz ty za mnie, powtarzała, ty lepiéj napiszesz.—Nie mogę, moja droga, odrzekłem, trzeba aby to były twoje własne wyrazy, twoje własne myśli i uczucia.—Drogi mój! ja nie mam żadnych myśli prócz ciebie! całe moje uczucie, to tylko ty. — A więc Hieruniu, napisz *to* właśnie matce mojéj. Nic milszego powiedziéć jéj nie zdołasz.— Och, jak ty ciężkiéj odemnie wymagasz rzeczy!... I zalała się łzami. Niech jéj Mama tego nie ma za złe: ona chora.—Widzi Mama, jak ja jestem szczery, wszystko piszę.“

„*4-go grudnia.* Hieronima zasiadła dziś do swéj fisharmoniki i zaczęła grać. Zdaje mi się, żem Mameczce mówił, że gra bardzo biegle i z wielkiem czuciem na tym instrumencie. Po kilku akordach słabo jéj się jednak zrobiło i zemdlała. Przyszedłszy do siebie, zaczęła spazmować. Spazmy ustały, teraz niesłychanie osłabiona i kaszle znowu gwałtowniéj. Siedziałem tam do późna. Już koło 1-széj w nocy. Kończę, bo rano mi wstać wypada, aby się do jutrzejszych wykładów przygotować.“

„*5-go grudnia.* Panie moje dowiedziały się, nie wiem już od kogo, że ja daję lekcye w mieście, tak jak dawniéj. Pani Sarska była tém niesłychanie zgorszoną i oburzoną, że narzeczony jéj córki *zarobkuje.* Hierunia płakała z innego powodu, nie dla dumy obrażonéj, ale czuła się najboleśniéj tém dotkniętą, że nie zażądałem od niéj pieniędzy potrzebnych mi na utrzymanie, lecz własną zarabiam je pracą. Poczytała to za dowód, żem się nie zespolił z nią jeszcze takiém uczuciem, aby wszystko co posiada, uważać za wspólne—a raczéj ją samą z całym jéj majątkiem za moją własność, którą do woli rozporządzać mogę. Musiałem wielką przetrwać nawałnicę łez i próśb i wyrzutów i zaklęć. Obie chciały mi opakować pulares banknotami. Oczywiście nic nie przyjąłem. Hieruni udało mi się w końcu wytłómaczyć, że *świętość* miłości naszéj, że godność moja osobista wymaga, abym aż do naszego ślubu nie tknął jéj majątku. Powiedziałem jéj, żebym się czuł nieszczęśliwym, gdyby mnie do tego zmusiła, że wtedy nie byłbym w stanie tak ją kochać, jak ją kocham teraz. I uległa. Z hrabiną trudniejsza była przeprawa. Opór mój nazywa uporem i zdaje jéj się, że wyrządzam tém *zarobkowaniem* krzywdę jéj domowi i nazwisku. Wszak niktby o tém nie potrzebował wiedzieć, rzekła w końcu, żeś pan wziął odemnie pieniądze, które za dni niewiele staną się twoją własnością.—Ja sam wiedziałbym o tém, odparłem, a to dosyć. Upokorzałoby mnie to, a ja upokorzenia nie znoszę. Masz pani swoją dumę, ja mam moją.—Oh, czyż ja nie ugięłam dumy mojéj wobec pana, zawołała, błagając go, abyś moją córkę poślubił! ileż ja upokorzenia już znoszę!...“

„*6-go grudnia.* Przekonałem się, Mameczko, że oprócz powodów wczoraj wymienionych, Hierunia dla innéj jeszcze przyczyny tak boleje nad tém, że nie przestałem dawać lekcyi. Zazdrość! Nigdy nie przypuszczałem, żeby ona była zazdrosną. Przez jakąż szczegółową dziś przechodziłem indagacyę!... Cóżby to się działo z biedaczką, gdyby czytała ustęp w liście moim do Mameczki, gdzie się rozpisałem o pannie Zofii. Nie wie ona, o kogo mogłaby być zazdrosną. Pragnęłaby zażegnać niebezpieczeństwa, jakieby mogły grozić jéj miłości... napróżno się szamoce. Jam je sam już zażegnał, i sam sobie ślubował, że się jéj oddam na ofiarę. Będę sobie wiernym. Miłości jéj nic nie grozi. Może być spokojną. Nikt jéj puharu z rąk nie wytrąci: wypije z niego duszę moją i moje życie do ostatniéj kropli aż do dna...“

. . . .

„*8-go grudnia.* Nie pisałem wczoraj do Mateczki. Zanadto byłem zirytowany tém, co się działo, a właściwie tém, iż widząc, że się coś niezwykłego dzieje, nie wiedziałem, co się to dzieje. Oto tak:

wczoraj w południe poszedłem jak zwykle do Hieruni. Lokaj zatrzymał mnie w przedpokoju i oświadczył, że pani hrabina prosi, abym nie szedł do panny hrabianki, tylko do małego saloniku po drugiéj stronie, bo chce ze mną wprzódy pomówić. Za chwilę przyszła hrabina, widocznie wielce zalterowana, i powiedziała mi, że Hierunia od rana ma prawie nieustanne spazmy a obecnie usnęła. Dodała, że doktór surowo nakazał, aby z nią teraz nie rozmawiać i aby jéj nie rozbudzać z tego stanu moralnéj prostracyi, w jakim się w téj chwili znajduje. Obecność moja mogłaby szkodliwie bardzo na nią podziałać. Prosi mnie zatém, abym przyszedł dopiero wieczorem—i to aż po ósméj. Zachowanie się pani Sarskiéj było przytém niby to przyjazne jak zwykle, ale zaambarasowania swego ukryć nie mogła. Czułem, że coś zaszło niezwykłego.“

„Przyszedłem po ósméj. Hierunia przyjęła mnie tak gorącém powitaniem, z tak serdeczném rozrzewnieniem ukojonéj mojem przybyciem tęsknoty, jak może nigdy jeszcze. Aż jéj pięknie z tém było, tyle było prawdy w tém wylaniu wezbranego uczucia. Niesłychanie była mizerną, widocznie spłakaną. Ręce jéj nie drżały, ale drgały od czasu do czasu tajemnem wstrząśnieniem. Z początku mówiliśmy bardzo mało, patrząc tylko na siebie jak zwykle i ściskając się za ręce. Potém uspokoiła się nieco i zażądała wody z sokiem malinowym. Gdy jéj przyniesiono ten specyał ulubiony, uparła się, abyśmy oboje z jednéj pili szklanki. Orzeźwił ją ten napój, jakby kordyał jaki, uśmiechała się melancholijnie i stała się rozmowniejszą. Ten głos jéj złamany, jakby omdlewający, ta monotonna, przeciągła modulacya żałosnéj skargi nabierała chwilami niezwykłéj jakiejś siły, wyrazu i uczucia. Ta jéj postać nieświecka, w półcieniu przyćmionéj umbrelką lampy, nabierała dziwnego jakiegoś czaru poezyi i piękna. Mówiła bardzo pomału, jakby ją to wiele kosztowało wysilenia. W długich przerwach padały wyrazy.—Czy myślisz, mój jedyny, rzekła mi, że ja pragnę życia?... Życia? o nie!... Ja tylko miłości twéj pragnę!—A więc żyj, najdroższa, i kochaj mnie.—Cóż życie warte? żyć, to tyle co cierpiéć. Życie, to męka nieznośna... Drogi mój, jabym cię mogła kochać—umarła. O jakżebym ja cię wtedy kochała!... Tak krótko codzień jesteśmy razem. Wtedy byłabym z tobą zawsze. Na ramieniu nosiłbyś mnie, jak ptaszynę. A ciąglebym w twe oczy patrzyła tak—tak jak w téj chwili... Och, gdybym ja umarła! gdybym ja umrzéć mogła!... Jakżebym była szczęśliwą!—Nie mów tego, Hieruniu, rzekłem: czyż teraz szczęśliwą nie jesteś? chciałabyś mnie opuścić?—O, tybyś był wtedy szczęśliwym, gdybyś mnie umarłą kochał... Niktby ci wtedy nie pozazdrościł szczęścia!... Oh, ty niewiesz, jam się wplotła w jasną przędzę twego życia, jak czarna nić...

o jakżebym pragnęła umrzéć!—Hieruniu, zkądże ci dziś te myśli o śmierci? tobie się życie uśmiecha!—O nie, nie, luby mój! ja od dawna już o niczém nie marzę, tylko o śmierci. Jam ci tego mówić nie chciała, aby cię nie zasmucić. Ale dziś, dziś, to tak jej pragnę namiętnie... namiętnie... jak ciebie mój luby, jak twojego kochania. Ja was oboje kocham jednako! o tak!... namiętném pragnieniem twoją zdobyłam miłość... ja i śmierć tak zdobędę!"

„Dziwnie przykre na mnie wywarł wrażenie ten chorobliwy nastrój jéj myśli. Nadaremne były wszelkie moje usiłowania, aby zmienić przedmiot rozmowy. Pochwyciła mnie żywiéj za ręce:— Ale ty mnie będziesz kochał wiecznie, żywą i umarłą? Przysięgnij mi, przysięgnij, że do grobu kochać będziesz mnie jedną .. i po za grób! —Moja droga: kto kocha, ten wierzy; gdzie miłość nie wiąże, tamby nie związała przysięga. Podniosła moją rękę do swych ust i namiętnemi okryła ją pocałunkami.—Wiesz luby, rzekła mi pochwili tych szczególnych pieszczot, którym się oprzeć nie mogłem, wiesz luby, jabym tak mogła umrzéć lekko, rozkosznie... tak niewiele potrzeba abym umarła .. abym umarła i zamieszkała w twém sercu na zawsze! Kiedy mówię do ciebie, to dusza moja wyrywa się z serca i jest wtedy, wiesz gdzie?... Przerwała i lekkim rumieńcem powlokły się jéj lica:—wiesz gdzie?... tu, na ustach moich!... Weź ją! weź!—i kładąc mi głowę na piersi, przechyliła ku mnie swe usta. Gorący jej oddech owionął mnie, krew mi uderzyła do głowy, niby odurzenie, niby dreszcz, dziwnego coś uczułem: spojrzałem na nią i pocałowałem ją w czoło."

„Usta!—powtarzała, usta!—Nie, moja droga, rzekłem podnosząc jéj głowę i klęknąwszy przed nią, całowałem jéj ręce: nie, nie wolno mi dotknąć ust twoich dzisiaj! rozgorączkowaną chorobliwie masz wyobraźnię. Ja pragnę, aby mój pierwszy pocałunek życie wlał w ciebie, a ty go pragniesz jak pocałunku śmierci. Bądź zdrowa. Czarujesz mnie, szał mnie ogarnia, jak cię słyszę tak mówiącą, i w końcu sambym gotów śmierci zapragnąć."

„Tak się skończył dzień wczorajszy. Dzisiaj znowu powtórzyło się coś podobnego. Gdy przyszedłem w południe, nie puszczono mnie do Hieruni z takich samych, niby jak wczoraj powodów. Wyszła do mnie hrabina, drżąca od wzruszenia, którego przyczyny nie chciała mi odsłonić. Natomiast, po dłuższych preliminaryach, że jako kobiéta nie może sobie dać rady w interesach majątkowych itp., wystąpiła z prośbą, abym dla załatwienia jakichś nadzwyczaj ważnych a naglących spraw wyjechał dziś wieczór do jéj dóbr na Ukrainę, do nikogo bowiem nie ma zaufania, tylko do mnie, i nikomu innemu powierzyć ich nie może, tylko swemu przyszłemu zięciowi. Zadziwiło

mnie trochę to żądanie, wiedząc jak szkodliwie na zdrowie Hieronimy wpływa moja nieobecność, o czem mi zresztą sama hrabina tyle razy mówiła. Wszak, gdym na dwa dni do Ciebie Mateczko wyjeżdżał, miała mi to za złe. Wypytałem ją jednak o te tak ważne i niecierpiące zwłoki interesa. Odpowiedź jéj była tak ogólnikową, interes, o ile mi w jaśniejszéj przedstawiał się formie, tak mi się wydał błahym, że uważałem za rzecz najodpowiedniejszą powiedziéć jéj, iż jako kobiéta nie jest obeznaną z tego rodzaju sprawami, alarmuje się więc niepotrzebnie i myli się, poczytując przedstawiony mi interes za rzecz naglącą. Odmówiłem stanowczo podjąć się teraz załatwienia tegoż. Zdrowie Hieruñi wymaga,—dodałem w końcu, abym tu pozostał, a to dla mnie wzgląd najważniejszy. Próbowała nalegać, przekonała się jednak z widocznéni zmartwieniem, że to nadaremne.“

„Wieczorem widziałem Hierunię. Znowu zapłakana, roznerwowana, cierpiąca. Kaszel jéj wzmógł się bardzo od dwóch dni. Nie chciała mi wyznać powodów swego zmartwienia, łzy nieustannie spływały jéj po twarzy. Milczała prawie przez cały wieczór. Powiedziała mi tylko z wyrzutem: Nie chciałeś spełnić maminéj prośby! źle zrobiłeś! Mnie smutno bez ciebie, jakby mi kto pół serca zabrał, ale byłabym spokojniejszą...—Czemuż cię niepokoi *moja obecność*? zapytałem. Nie próbowała wmawiać we mnie, że ją owe kłopotliwe interesa niepokoją. Spojrzała tylko zwykłem powłóczystem spojrzeniem i rzekła: Ja sama nie wiem czemu. Radabym, abyś tu teraz nie był i zjawił się dopiéro w dzień naszego ślubu... Jedź mój drogi, jedź do matki twojéj!... Czemu? jak? dlaczego? nie mogłem się dowiedziéć... Dowiedziałem się dopiéro i wyjaśniło mi się wszystko, gdym ją pożegnał.“

„Wracając do mego mieszkania, spotkałem na ulicy poczciwego p. Eugeniusza, prawdziwą perłę całéj rodziny Sarskich.—Czy widziałeś Lucyana? zapytał.—Nie; czy przyjechał? —Od dwóch dni. Ale to czysty waryat! zawołał. Nic nie wiesz?... Chyba nie byłeś u narzeczonéj?—Owszem, ztamtąd wracam.—Aaaa, *serdeńko*, to ci nie powiedziały, że on przyjechał!.. Ale nie obawiaj się, kochany. Wszystko się to ułoży. Ten waryat utrzymuje, że ci dom wymówiono, że wszystko zerwane... Nie mogę ci na ulicy wszystkiego opowiedziéć, serdeńko. Przyjdź do mnie jutro wieczór; wiesz, jutro przyjmuję. Oczywiście, sami będą mężczyźni, jak zwykle.“

. . . .

„*11-go grudnia.* Trzy dni nie pisałem do Mateczki. Powiedziała mi raz Mama, że listy moje powinny być wiernéni źwierciadłem mojéj duszy. Od tego czasu, ile razy się zabieram pisać do Mamy i uj-

rzę przed sobą białą ćwiartkę papieru, wyobrażam sobie, że to źwierciadło, w którém się twarz moja źwierciedli i fotografuje zarazem. Otóż przez te trzy dni ubiegłe, bałem się pisać do mateczki, wstyd mi było fotografować się w tém usposobieniu, w jakiem byłem... *w tych usposobieniach*, powinienem raczéj powiedzieć. Nie chciałem, aby z wyrazów listu mego przeglądały na przemian wszystkie miny i grymasy gniewu, znudzenia, znużenia, złości, oburzenia, zniechęcenia, wściekłości... a najniewątpliwiéj wszystkieby się tam były znalazły. Dziś, gdy już burza minęła a dramat przygotowany przez p. Lucyana zakończył się komedyą, przystępuję do sprawozdania. Jak po zwycięzkiéj kampanii, humor miałbym wyborny, psuje mi go tylko stan zdrowia Hieruni, która znowu ma się gorzéj: kaszle, na chustce nawet krew się pokazała, a wieczorami miewa silną gorączkę, w któréj fantazyuje nieustannie i mówi prawie od rzeczy. Lekarze nie widzą w tém jednak jeszcze zbyt groźnych symptomatów."

„Ale wracam do sprawozdania. Otóż nazajutrz po ostatnim ustępie mego listu, rano, raniutko, zanim wyszedłem na lekcye z domu, puka ktoś do drzwi i wchodzi żyd faktor, znana w naszém mieście figura, z którą jednak żadnych dotąd nie miałem stosunków. —A! pan Herszko! z czem pan do mnie przychodzi? A Herszko zaczyna, jak każdy faktor, ni w pięć ni w dziewięć, od Adama i Ewy, że znał mego ojca, że mnie bardzo szacuje, że wie jaki ja uczony człowiek, ts! ts! że drugiego takiego niema w całém mieście i w całéj Galicyi, że jabym mógł zostać ministrem, że się dziwi czemu ja się o poselstwo nie ubiegam... Ale czegóż pan chcesz, panie Herszko? A on znowu pyta, czy mama zdrowa i czy jest na wsi, czy się mama bardzo ucieszyła, jak się dowiedziała, że ja się mam żenić z taką bogatą panną, bo on się tém bardzo ucieszył i bardzoby chciał, żeby ja się na prawdę ożenił... Ale do kroćset, panie Herszko, ja nie mam czasu: albo pan powiedz, co pana do mnie sprowadza, albo się wynoś!—Nu, ja zaraz powiem: ja chciał dobry interes proponować.—Aa, dziękuję; zapewne chcesz mi pan ułatwić pożyczkę? bardzo dziękuję i wielce mi żal, ale na teraz nie potrzebuję.—Nu, ja wiem, że pan nie potrzebuje, na coby potrzebował taki bogaty pan, co się ma z panną Sarską żenić; ja przyszedłem proponować panu inny interes: czysty zarobek *pięćdziesiąt tysiąców*.—Cóż to za interes? zapytałem śmiejąc się: ja się nie wdaję w spekulacye. —Nu, to nie żadna *szpekulacya*! —A cóż takiego? To już chyba nie czysta jakaś sprawa, kiedy taki zysk ma przynieść. Strzeż się pan proponować mi jakąś brudną szacherkę; mógłbyś ze schodów zlecić.—Na co ja mam zlecić? to czysta sprawa, tu nie ma nic brudnego! Podpisze pan rewers, że pan

się zgadza, żeby wziąć piędziesiąt *tysiąców* za dwa lata i pojedzie pan i weźmie pan, a przez ten czas będzie pan brać po tysiąc guldenów na miesiąc, a resztę za dwa lata!—Nic nie rozumiem, panie Herszko! —Nu, naco pan ma rozumieć! Niech pan pójdzie do adwokata i niech pan podpisze... nu, a mnie faktornego ile pan da? choć z pięć tysiąców za taki *fajny* interes!—Ale dokądże ja mam pojechać po te pieniądze?—Do Chicago, do Ameryki!—Jakto? do Chicago? za dwa lata?—*Ni!* teraz zaraz! i tam pan *będzie zostać.* Tysiąc guldenów na miesiąc będzie pan brać pensyi... ale w Chicago!—Cóż to, nie wiesz głupcze, że ja się mam żenić?—*Ny*, to się pan potém ożeni!—Chwyciłem żyda za gardło: Gadaj łotrze, kto cię tu przysłał!—Ny, czego mnie pan dusi!... nu, jeden pan!—Co za pan?—*Aj waj*! czego się pan gniewa? czy to zły interes?—Kto cię przysłał żydzie?—Nu, *sześćdziesiąt* tysiąców!—Gadaj zaraz!—*Gewalt!* niech mnie pan nie dusi! jeden pan, nu! pan Sarski!—Który Sarski?—Nu, co ja winien, że mnie pan tak trzęsie: pan Lucyan!... Otworzyłem drzwi a pochwyciwszy żyda za kołnierz wyprosiłem go grzecznie z pokoju... Ale zaledwie drzwi zatrzasnąłem, głowa Herszka pokazała się w nich znowu: *Ośmdziesiąt* tysiąców!—Byłem wściekły: chwyciłem laskę do ręki i wybiegłem do sieni. Żyd zmykał szybko po schodach, ale w połowie piętra zatrzymał się jeszcze raz i zawołał rozpaczliwym głosem: *Sto* tysiąców! więcéj nie mogę! *auf meine munes!* jak Boga kocham! niech pan bierze!..... Tak się skończył Mateczko pierwszy akt komedyi."

„Postanowiłem nie wspominać nic moim paniom ani o tém zajściu, ani w ogóle o tém, że mi wiadomą jest bytność Lucyana. Matka Hieruni z nową wystąpiła prośbą: Familia krzywi się na nas, rzekła ona—że nikogo nie przyjmujemy teraz oprócz pana, a osądź pan sam, czy to podobne; Hierunię takby te wizyty męczyły! Ale zrób mi pan tę łaskę i gdyby pana w tych dniach kto zapytał, czy byłeś u nas powiedz, że nie. Łatwo mi było domyśléć się z tego żądania całéj taktyki postępowania hrabiny wobec syna. To nie on zmyślił przed Eugeniuszem, że mi dom wymówiono, ale matka mu tak powiedziała, aby zapobiedz jakiejś awanturze z jego strony i uchronić siebie i Hierunię od jego wybuchów. Musiał się tém zaspokoić nieco, bo i one były spokojniejsze."

„W ciągu dnia w kilku miejscach zdarzyło mi się spotkać z ironicznemi uśmiechami i dwuznacznemi zapytaniami, których właściwe znaczenie dobrze zrozumiałem: pogłoska o zerwaniu mego związku z Hierunią widocznie musiała się już rozejść po mieście. Felunio, obaczywszy mnie na ulicy, przybiegł do mnie z rozpromienioną twarzą i wprost mnie zapytał, czy to prawda, że wszystko zerwane.—Któż ci to mówił? zapytałem.—Tak mówią w mieście, to *dy-*

żurna nowela (1).—Aa, czy tak! powiedz-że im, że ani mi przez myśl nie przeszło zrywać.—Tak! ale hrabina? podobno dom ci wymówiono? opowiadają, że ci drzwi pokazała.—Kłamstwo!—Ah, to się bardzo cieszę. Winszuję ci! —rzekł spuszczając nos na kwintę. I dodał: A o mnie to wszystko prawda, co opowiadają! —Nic nie słyszałem. Cóż takiego?— Dała mi kosza. Ale ja nie głupi, ja wiem dlaczego; ona się w kotlarczyku kocha.—Ha, może być. Bywaj zdrów. — Bądź zdrów. A wiesz, moja matka znowu bardzo chora; był u niéj dzisiaj ksiądz z panem Bogiem."

„Po téj rozmowie z Feluniem, spotykając znajomych na ulicy i w miejscach publicznych śledziłem wyraz ich twarzy, sposób przywitania i zachowania się w obec mnie. Przyszedłem do wniosku, że wszyscy już muszą wiedziéć o rzekomém zerwaniu mojém z Hierunią, a raczéj o podobném obejściu się ze mną hrabiny, jak ja się z Herszkiem obszedłem. Irytowało mnie to w najwyższym stopniu i postanowiłem koniec temu położyć. Przywołałem dorożkę i przez kilka godzin jeździłem z wizytami. Byłem nawet w takich domach, gdzie nigdy przedtém mnie nie widziano. Wszędzie, gdzie mnie przyjęto, sam pierwszy zaczynałem dyskurs o mém zamierzoném małżeństwie i śmiejąc się opowiadałem o krążącéj po bruku miejskim pogłosce."

„Na tém upłynął mi dzień. Wieczorem wytłómaczyłem się przed memi paniami, że jestem cierpiący i muszę się położyć, i poszedłem na tak zwaną *męzką herbatę* do hr. Eugeniusza."

„Zastałem tam do dwudziestu mężczyzn, po większéj części należących do rodziny Sarskich, lub z nią spokrewnionych. Rozparty w fotelu, w nawpół leżącéj postawie obrócony ku drzwiom siedział jedyny nieznany mi z całego grona młody mężczyzna z *gukerem* w oku. Dość mi było spojrzéć na niego, aby domyśléć się, że to Lucyan. Smagły brunet, małego wzrostu, wątłéj budowy ciała, gładkiéj twarzy, bez śladu męzkiego zarostu. Żywy portret siostry! ta sama cera, czoło, nos, usta. Taki sam nieledwie wyraz twarzy. W oczach tylko pewna właściwa mu arrogancya, czy duma. Gospodarz przywitał mnie z przyjazną poufałością, uścisnąłem rękę kilku znajomym i zbliżyliśmy się ku kanapie. Wtedy p. Eugeniusz rzuciwszy okiem na Lucyana zawołał: A, prawda! nie znacie się jeszcze!— i wymienił nasze nazwiska."

„Wtedy Lucyan, nieruszając się z miejsca i nie podając mi ręki, zmierzył mnie od stóp do głowy i zapytał z arystokratycznym spokojem: Czy to pan głosisz, jakobyś był narzeczonym mojéj sio-

---

1) *Nouvelle du jour.*

stry?—Nie potrzebuję tego głosić, odrzekłem, bo o tém wszyscy wiedzą.—Ale to nie prawda: panu matka moja dom wymówiła. Roześmiałem się w głos: Wracam ztamtąd—i odwróciłem się w inną stronę, chcąc zakończyć tę szczególną rozmowę. Pan Lucyan stracił zimną krew, którą chciał mi imponować. Zerwał się z fotelu na równe nogi:—Kłamstwo, ja na ten związek nigdy nie zezwolę!—To mi zupełnie obojętne! odparłem z przyciskiem. Przyskoczył do mnie jak kot podrażniony: Czy i to panu obojętne? i podniósłszy rękę, chciał mnie w twarz uderzyć...“

„Pochwyciłem w powietrzu jego drobną piąstkę, drugą ręką ująłem drugą, przycisnąłem mu je obie silnie do piersi i posadziłem go w fotelu. Wszystko to się stało w jednéni mgnieniu oka.—Młokosie! rzekłem, trzymając go w téj uwięzi.“

„Czy Mama pamięta, jak ja włoskie orzechy rozgniatałem w pięści? jak one trzeszczały w méj dłoni i jak wyglądały, kiedym dłoń roztworzył? Coś podobnego dziać się musiało z rączkami pana Lucyana. Syknął przeraźliwie z bólu, twarz mu się skrzywiła, jakby na nim spróbowano średniowiecznéj tortury, oczy mu na wierzch wylazły. Wybełkotał jakiś frazes niezrozumiały, z którego tylko dosłyszeć można było jeden głośniejszy wyraz: *satysfakcya*.“

„Satysfakcyi? rzekłem, a palce jego trzeszczały w mych dłoniach, ja już ją sobie wymierzyłem! A jeźli ci się pojedynku zachciewa, to mnie do niego nie zmusisz, nawet obelgą! Z bratem mojéj przyszłéj żony ja się strzelać nie będę, bo czybyś ty zginął, czy ja, to onaby umarła...“

„Zwolniłem nieco tortury, a on ostatnim wysiłkiem zachrypiał przez gardło: Wolę niech umrze!“

„Ale ja nie! Rozumiesz pan! Dałem mu raz jeszcze uczuć całą moją siłę i wypuściłem z mych kleszczy. Oczy łzami mu zaszły z bólu, twarz skrzywiona okropnie, ręce owisły bezwładne. Powstał, zrobił parę kroków: Słabo mi! rzekł i omdlał. Pochwycono go w ramiona, wyniesiono do sypialni p. Eugeniusza i złożono na łóżku. A ja obróciłem się do obecnych, którzy jako niemi świadkowie przypatrywali się téj scenie i niewidząc zapasów między nami, nie czuli potrzeby rozdzielenia zapaśników:—Jeżliby kto z panów mniemał, że nie postąpiłem w sposób honorowy, to mu służę! i spojrzałem po wszystkich twarzach. Nikt się nie odezwał, wszyscy zdawali się pochwalać moje postępowanie. Na jednéj tylko twarzy p. Wiktora błąkał się ironiczny uśmiech.—Czy pan może innego jesteś zdania? zapytałem. Zczerwienił się młodzieniec i rzekł: Bynajmniéj! postąpiłeś pan, jak honor i uczucie pańskie nakazywało, ale po tém co zaszło, wy-

maga honor, jak sądzę, abyś się pan teraz sam zrzekł małżeństwa z moją kuzynką!“

„Mój honor wymaga, (odrzekłem szorstko), abym nie łamał słowa danego pannie Hieronimie, dla tego młodzieńczego wybryku, którego jéj brat się dopuścił. Zdaje mi się, że mogę panów wszystkich uważać za członków rodziny mojéj narzeczonéj, a przynajmniéj za przyjaciół rodziny: proszę was zatém i spodziewam się, że zechcecie zatrzymać w tajemnicy to przykre zajście, któreby mogło ubliżać honorowi pana Lucyana. Dbam o jego honor, bo to mój przyszły szwagier!“

„P. Eugeniusz objął mnie w ramiona i ucałował: Zacny, kochany! szlachetnie sobie postąpiłeś, a za to coś teraz powiedział, serdeńko, to i wróg twój uszanowaćby cię musiał! Przepraszam cię za tę przykrość, która cię spotkała w moim domu!“

„Kilku jeszcze obecnych wyciągnęło ku mnie ręce i jedni serdecznie, drudzy etykietalnie dłoń moją uścisnęli.“

„Wystąpił znowu p. Wiktor, prowadząc tym razem pod ramię p. Cypryana, swego ojca, siedmdziesięcioletniego zniedołężniałego starca, który się ledwie na nogach trzyma.—Zdaniem mego ojca, rzekł on, nie idzie tu o to, jakie ma być postępowanie p. Władysława. Nikt z nas nie powątpiewa, że potrafi on bronić swego honoru, ale dopóki nie jest członkiem naszéj rodziny, a nie jest nim jeszcze, dopóty nie mamy prawa przepisywać mu jego postępowania. Co innego Lucyan. On nosi nasze nazwisko i obowiązkiem jest naszym czuwać, aby na honorze nie poniósł szwanku. Lucyan jest najmlodszy z rodziny i niedoświadczony w tego rodzaju sprawach. Mój ojciec sądzi, że winniśmy się zebrać na radę familijną i wskazać mu, co mu teraz czynić wypada...“

„Tak! ja tak sądzę. To jest moje zdanie! — zawtórzył synowi p. Cypryan. A p. Wiktor dodał: Mój ojciec jako najstarszy z rodziny, prosi na jutro wszystkich obecnych tu, szanownych kuzynów do siebie, na godzinę pierwszą! — Tak! proszę na godzinę pierwszą! — potwierdził p Cypryan“.

„Nie widzę powodu tego zgromadzenia — rzekł p. Eugeniusz,— Lucyan serdeńko jest dzieciak i powinien przeprosić Władysława, mnie i nas wszystkich, i poprowadzić swą siostrę do ślubu. Nic mu innego uczynić nie pozostaje, jeśli ma uczucie honoru i serca kawałeczek“.

„Prosimy do siebie, jutro o pierwszéj!— rzekł pan Wiktor i wyprowadził swego ojca pod ramię!“

„Na tem skończyło się to całe zajście. Wróciwszy do domu, byłem jeszcze zanadto wzburzony, abym mógł był pisać do Ciebie,

Mateczko moja droga, i zdać Ci sprawę z takim spokojem, jak to obecnie uczyniłem. Chciałem zresztą doczekać się wprzódy rezultatu owéj narady familijnéj. — Ja tam pójdę (rzekł mi p. Eugeniusz), ale obaczysz, że się tam prawie nikt nie zejdzie: ludzie nie lubią parzyć sobie rąk, serdeńko! Wiktor, ba! Wiktor miał projekciki na Hierunię i to go korci, żeś mu ją zabrał z przed nosa. A Lucyanek! ho, ho, serdeńko, jemu się zdaje, że jego siostra ma suchoty, i o majątek mu idzie, bo swoją schedę już dobrze nadszarpał. Serdeńko, ja znam świat i ludzi! zjadłem zęby serdeńko!"

„Omylił się jednak pan Eugeniusz. Zgromadzenie wczorajsze było dość liczne. Okazało się, że w tym świecie dużo więcej ukrytéj było przeciw mnie zawiści, niżeśmy obaj sądzili. Wiktor, powołując się ciągle na swego ojca, był tego zdania, iż obowiązkiem jest wszystkich Sarskich stanąć w obronie honoru Lucyana i solidarnie zażądać odemnie, abym mu dał satysfakcyę z bronią w ręku. Poczciwy p. Eugeniusz oponował, i po zażartéj dyskusyi, wśród której stronnicy Wiktora zaczęli się jeden za drugim wymykać za drzwi, nakoniec przeprowadził swoje zdanie, aby, jeśli się to uda, sprowadzić nas obu razem i zniewolić do podania sobie ręki. Oprócz p. Wiktora i Cypryana, ostatecznie wszyscy się na to zgodzili.

„Tak tedy skończyła się burza, która zawisła była nad moją głową. Z wielkiej chmury mały deszcz. Wszyscy prawie członkowie rodziny Sarskich okazują mi jak największą uprzejmość. Wiktor mnie unika, a ci którzy z nim trzymają, są wprawdzie ze mną oziębli jak lód i sztywni, jakby każdy z nich drut połknął, ale ugrzecznieni nieledwie do przesady. Opowiadał mi Eugeniusz *Serdeńko*, nie mogąc się uspokoić ze śmiechu, jaką minę ma teraz Lucyan, *zdekontenansowaną*, jak się wyraził. Ręce mu opuchły i nie może jeszcze niemi władać, w jednym palcu lewej ręki podobno kostka przepękła na podłuż. Nie ochłonął on jednak i dotąd jeszcze z swojej wściekłości i zaklina się na swego prapradziada kasztelana, że mnie zmusi do pojedynku. — Ciekawym serdeńko, jakim sposobem? — pyta p. Eugeniusz: użył już środka najcięższego kalibru, bo publicznej obelgi, i odszedł ze wstydem. Już mu nic nie pozostaje, jak chyba zaprzyjaźnić się teraz z tobą albo wynosić się zagranicę".

„Kończę już, Mateczko droga, ten mój list a raczej pamiętnik z dwóch tygodni życia. Jutro rano list oddam na pocztę, a przed świętami znowu pisać będę. Nie niepokój się Mateczko o mnie i nie martw się moim losem. Ja się już z nim pogodziłem. Przyszłość moja nie całkiem może różowo wygląda, ale życie nawet najszczęśliwszych ludzi nie jest jednokolorowe, lecz z różnych łat złożone, jak szata arlekińska. Zdrów jestem, silny, pogodnego umysłu i odważnie w przyszłość

spoglądam. Z témi środkami i na tém stanowisku, które osiągnę zaślubiwszy Hierunię, będzie można coś zrobić na świecie i być szczęśliwym, czując, że się jest pożytecznym. Byle mi Hierunia zdrową była! Prawdziwie, ja się coraz bardziéj zaczynam przywiązywać do niéj! Stan obecny jéj niezdrowia bardzo mnie niepokoi: kaszel, gorączka, ciągłe omdlenia. Lekarz jednak zaręcza, że to minie".

„*12-go grudnia.* Idę na pocztę oddać list. Ręce Twoje całuję i nóżki Twoje, moja Ty najdroższa, najukochańsza Mateńko. Składam głowę na Twoich kolanach, a Ty mi czoło ucałuj. Kochanemu doktorowi dziękuję z całego serca za odczytanie Ci téj długiej epistoły. A tożto musiał narzékać! Przywiozę mu za to ostatnie dzieło Darwina. — Bądź zdrowa Mateńko moja a kochaj Twego syna... *Władysław*".

„Przypisek. „Ciotka była umierającą. Od wczoraj ma się lepiéj, ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. — Przed świętami list wyprawię, niechże Mateczka poszle Michała na pocztę"...

. . . .

— Jakiej daty jest ustęp ostatni? — zapytała matka po dłuższem milczeniu.

— Dwunastego grudnia.

— A dziś dwudziesty ósmy. To dwa tygodnie!... Nie napisał przed świętami... Zawsze przed świętami pisze. Czy się tam, co złego nie stało?

— Cóżby się stać mogło?.. zapytała Zosia i myśl jakaś nagle błysła jej w głowie. Zapromieniało w oczach dziwne światełko — niby radość. Ale spuściła wnet ku ziemi powieki, jakby się własnéj zawstydziła myśli. Zarumieniła się sama przed sobą,

— Może Hieronima ma się gorzej... wtrąciła staruszka.

— Jejmość! jejmość! ja już kolacyę przyniosę: już przecie czas!— zawołała Kachna otwierając drzwi. — A nakryć przy okrągłym stole, czy tam jejmości dać? Panienka jest, to lepiéj niech jejmość z panienką siada .. A panicz, co też tam pisze jejmości? czy tam także taki mróz?... A uciszyło się przecie na polu; wichru już niema, jakby się gdzie podział. Musieli ludzie wisielca odciąć. Oho, już mu to nie pomoże, już mu duszę... odpuść panie Boże... No, przynieść kolacyę? są piérogi ze sérem — takie jak panicz lubi... Ej, ej, mocny Boże, czemu to się panicz z panienką nie ożenił, tylko gdzieś żony szukał za światem, kiedy tu miał pod bokiem. Z miasta żonę brać, to nic warto!... Czy to nie lepiej żonę...

— Przynieśże Kachno piérogi! — przerwała jej staruszka.

X.

Bielutkie usłała Zosi Kachna łóżeczko w małym pokoiku gościnnym, zwanym „pokojem panicza". On tam zawsze nocował, ile razy przyjechał do Paprotki.

Zimno tam było w tym pokoiku, bo nie był opalany codziennie, piec dymił, ale dla Zosi nocleg ten w pokoju ukochanego, utraconego na zawsze, wydał się prawie szczęściem.

Oglądnęła tę ubogą izdebkę z największą dokładnością, jakby jakie arcydzieło sztuki budowniczej; jakby w muzeum jakiém, zajrzała do każdego kącika, przypatrywała się tym ubogim meblom z plecionéj słomy, temu stolikowi z czarnémi plamami rozlanego niegdyś na nim atramentu. Tu przy tym stoliku on może nieraz pisywał, może dumał o niéj... może układał plany szczęśliwéj przyszłości!... Przed oczyma duszy widziała go wszędzie, jak tam był z nią razem w tej chwili i zwracał za nią jasne swe oczy, tak wymownie wyrażające spojrzeniem to wszystko... wszystko, co się mieściło w świeżo przeczytanym liście...

Ach, jak jéj smutno!...

Stanęła w framudze okna i długo marzyła, patrząc na te szyby mrozem skrysztalone, w których łamały się tak dziwacznie promienie księżyca: niby kwiaty, niby mchy, paprocie, a wszystko białe, zimne, brylantowe..

Nagle ujrzała na szybie wyrytą literę, *Z!*... Łzy jéj się z oczu puściły. Patrzała na nią, wodziła po każdéj kresce oczyma i zdawało jéj się, że z téj jednéj litery odczytuje całe dzieje swéj nieszczęśliwéj miłości i całe dzieje swego życia... Bo już to chyba skończyło się jéj życie! Cóż to za życie bez nadziei, bez przyszłości, bez niego!... On pisał, że mu się śniła leżąca na katafalku. To sen prawdziwy: ona istotnie umarła!...

Ułożyła się wreszcie w łóżeczku, główka jéj w puchowéj utonęła poduszce. — Ach, jak jéj strasznie smutno!... Na téj poduszce pod jéj głową, jego może nieraz spoczywała głowa... Zwilżyła ją łzami dziewczyna i tak, marząc i płacząc, usnęła.

Sen — sen jéj?...

O powieściopisarze, którzy pisząc o zakochanych, nigdy opisu ich snów czarownych lub złowróżbnych pominąć nie możecie!... zapominacie o tém, że młodzi i zdrowi nic nie śnią wcale. Otacza ich we śnie ta boska *Nirwana*, która wedle wiary Buddystów, najwyższą ma być mądrości i cnoty nagrodą, najszczytniejszym ducha ludzkiego

celem, który nam tysiącami żywotów i odrodzeń i tysiącami śmierci okupić trzeba.

Młodzi co nocy umierają: usypiają snem bez marzeń.

Takim snem usnęła Zosia.

Pani Anastazya długo usnąć nie mogła. Kazała Kachnie wygasić ogień w kominku i zdmuchnąć świecę, a sama dla uspokojenia zbyt rozbudzonych myśli, przechadzała się wzdłuż i wszerz pokoju. Przechadzała się z tą dziwną pewnością ślepców, którym w znaném im mieszkaniu nie zagraża nigdy niebezpieczeństwo upadku lub potrącenia się o jaki przedmiot.

Niekiédy tylko, przesuwając się cichemi kroki koło starożytnych, opylonych mebli, lekkiém ich dotknięciem prostowała swoją drogę: to stołu dotknęła krągłego, to sekretarzyka, to etażerki o szklanych taflach, napełnionéj pamiątkami, to szafki z zegarem.

...Przy tym stole *on* z nią niegdyś zasiadał do wieczerzy po pracy całodziennej — a na kolanach jego siedział mały Władzio i szczebiotał wesoło... I widziała oczyma pamięci ich dwóch, najdroższych jéj sercu, patrzących na siebie, uśmiechniętych do siebie. Ale jak fale jeziora poruszone od wiatru, *jemu* troska po trosce przesuwa się po czole... Głębokiém tém swojém, marzącém spojrzeniém na nią patrzy jéj ukochany, zdaje się czytać w jéj duszy i mówić: Nie smuć się, nie smuć, bo jeszczem ja za tobą. Cóż będzie, jak sama zostaniesz, sama... sama... A mały Władzio zsuwa mu się z kolan i obejmuje rączką tę harpię o wyzłacanych pazurach, podpierającą rzeźbioną podstawę stołu — i pyta, czy ona témi pazurami kaléczy.. Oh, kaléczy, kaléczy!

...I znowu biega rozswywolony chłopak po pokoju i co chwila pociąga figlarnie za sznurek zégaru a zégar tę samą ciągle bije godzinę... Spóźnia się zégar — rzekł ojciec i przesunął wskazówki. Ojcze, pyta mały, przypatrując się temu: ojcze, człowiek może miéć zawsze tę godzinę, którą zechce?... Nie, dziecko, jak godzina przeminie, to już nigdy nie wraca... — A ten orzeł na zegarze, co trzyma węża w szponach? wąż mu się koło szyi owinął i chce go udusić: czy orzeł węża zdławi, czy go wąż udusi?... — O, mój synu, gdybym ja to mógł wiedzieć!... A mały Władzio zadumał się i ciągle już tego dnia wracał do pytania; czy orzeł węża zdławi, czy go wąż udusi? I pytał matki i pytał wszystkich w domu przez dni kilka: czy orzeł zwycięży, czy wąż?... I gdy mu nikt nie dał pożądanéj odpowiedzi, on drobną rączką próbował sam rozpętać pierścienie spiżowe, okręcone w koło orłowej szyi...

I na rzeźbie téj trzymała teraz czas jakiś staruszka ślepa swą rękę i słuchała jednostajnego ruchu wahadła, zadumana, jakby dziś sama siliła się rozwiązać dziecinne chłopczyka pytanie...

I znowu szła dalej. Jak duch się snuła od kąta do kąta. Słychać nie było jéj kroków, a przez zamarzłe szyby, blade promienie księżyca, padały na twarz jéj smętną, przeglądały się w martwych źrenicach.

O sekretarzyk się oparła.

Tu przy nim *on* zawsze pisywał. Tu przy nim nieraz noc on przy pracy przepędził... A późniéj syn... Tak samo oparty o poręcz krzesła z pochylonem wdół czołem, na które bujne spadały mu włosy... Czoło to samo, te same rysy, ta sama postać — ach, jacyż oni podobni! Dźwięk głosu ten sam i nastrój uczuć i myśli kierunek...

Nigdy go tak nie kochała jeszcze, jak po tym liście ostatnim! Nigdy jeszcze tak jéj serca nie otworzył swego, nigdy nie spojrzała tak w głąb jego duszy, nie rozumiała go tak i nie odczuła tak żywo jego wszystkich uczuć. Tyle lat go kochała jak syna, ale nie przeszło jéj przez myśl, że to ojciec w nim żyje.

I w wyobraźni ślepej staruszki spłynęli oni w jedność postaci i jedném dla niéj stała się tchnieniem i jedném uczuciem miłość ku obydwóm.

Upływała godzina za godziną, a staruszka nie spała.

O czém tak myślała?... Może sama nie umiałaby zdać sprawy z tych myśli. Rozkołysały się uczucia od czytanego listu syna i od łez i uścisków i pieszczot czytelniczki. Tłoczyły się myśli jedna za drugą; jedna drugą popychała. Te wszystkie wrażenia, te wszystkie chwile kilku tygodni życia, które po kolei w synowskim odzwierciedliły się liście, odczuwała matka teraz tak żywo, tak jasno, ale bez ładu, bez porządku, równocześnie prawie. Jakby ponocny kondukt pogrzebu, koło balowéj przeciągając sali, zmięszał się z wesołym masek pochodem, tłocząc się i cisnąc i wypychając się nawzajem. Ci w tę stronę dążą, tamci w ową, ci w koło się kręcą, nie wiedząc dokąd im się udać. I płacz i śmiech i ponura żałoba, niezbłagana jak fatum, i beznadziejna miłość, i melancholijny uśmiech rezygnacyi, i namiętny żal za rajem straconym, i szalona ironia i pełne otuchy męskie postanowienie — wszystko razem... Niedość tych myśli! Wciąż nowe w tym tłumie jawią się postacie. I Zosia szlocha, składając na jéj piersi swą główkę. I patrzy na nią złowrogo czarnemi oczyma Hieronima, jak harpia pijąca krew. I zmarła wieśniaczka z przeraźliwym krzykiem wyciąga ramiona za trupkiem niemowlęcia. I siostra na łożu śmiertelnem cierpkiémi miota na nią wyrazami, dobierając co najdotkliwiéj zaboleć ją może. Rzuca się na jéj syna Lucyan z wściekłością...

w twarz go uderza... pojedynek!... i zamiast syna, widzi męża padającego gdzieś w starym lesie wśród białych buków z skrwawioną piersią na murawę. Ach, jacy oni podobni do siebie: ojciec i syn!...

Czy ona myśli? czy marzy? czy śni?... Czém w niéj jawa, czém sen?

Rozebrała się staruszka i złożywszy na poduszce głowę, przymknęła powieki. I tym samym prądem snuły się daléj w duszy obrazy. Czy sen to był? czy marzenie?

Noc dla niéj nocą i dzień dla niéj nocą: cóż za różnica między dniem a ciemnością dla ślepéj? Jasnym dla niéj—chyba tylko dźwięk, co w ucho wpada. W głosie ludzkim dla niéj kolory i światła. W głosie blask słoneczny i gwiazd migotanie i łuna pożaru i fantastyczny promień księżyca. I wszelkie ona w nim odróżnia odcienia i niepochwytne dla nas modulacye. Jej świat — świat głosu. Zna go ona stokroć od nas lepiej. On dla niej dniem, on dla niéj jawą, rzeczywistością. Wtedy w nim przebywa, gdy głos ludzki słyszy. Obudzoną jest wtedy i trzeźwego ducha — myśli, rozumuje, sądzi.

Ale gdy ją cisza otoczy nocna, znika wtedy rzeczywistość dla ślepéj samotnicy — a świat wyobraźni, świat marzeń i snów, świat wspomnień zamierzchłych z całą zmartwychwstaje w jéj duszy potęgą. On ją owionie innem życiem... inną dla niéj jawą...

Czy ona marzy, czy śni: któż powie?

XI.

Prześliczny dzień zimowy...

Wiatr ucichł, mróz zwolniał, słońce wesoło świeci.

Zajechały sanki przed ganek. Niecierpliwie grzebią nóżką, w śniegu bułanki, parskają ochoczo, dzwonią dzwoneczkami.

— Zosiu, trzeba jechać. Mamaby się gniewała. Miło mi tu z tobą: córki rodzonéj nie kochałabym bardziéj od ciebie, — ale jedź, jedź do twéj ciotki. A jak wróciaz do domu, proś mamy, może ci pozwoli czasem przyjechać do staréj, ślepéj samotnicy... Popsułaś mnie, dziecko moje; tęsknić za tobą będę, jakby za córką.

I łzą rozrzewnienia spojrzały na dziewczynę oślepłe źrenice.

— O pani droga! kochaj mnie pani... bo wiesz, żem bardzo biedna! Pozwól mi myśleć, żem ja twoja córka!

I uściskały się obie serdecznèm uściśnieniem. Ucałowała Zosia jéj ręce, ubrała się w futerko i owinęła szalem, wsiadła do sanek, raźniéj zadzwoniły dzwonki — pojechała.

Westchnieniem pożegnała ją ślepa i usiadła w swoim fotelu przed kominkiem, gdzie już żywym ogniem płonęła świerczyna. — Wesoło bujały w górę płomyki; promieniejące ich ciepło czuła na swéj twarzy staruszka. Zasyczało czasem wilgotne drzewo a co chwila odzywał się wystrzał pękających polan; iskry wzlatywały w górę, jak świetny fajerwerk poetyckiéj fantazyi, który zawsze syk boleści poprzedza, jak ogniotrysk ludzkiego uczucia, którego przeznaczeniem, aby w górę się wzbił i zabłysnął chwilkę i zagasł na wieki. Miłe spektatorom widowisko, rozkoszna słuchaczom rozrywka! ale te płomienie buchające w górę, ten żar co grzeje, te iskry krąg światła rzucające w koło — one zawsze świadczą, że wewnętrznym ogniem trawi się palny materyał — świerczyna, czy serce.

Tak! ale płonąć — to rozkosz. Płonąć — to tyle co żyć. Co życie podsyca, to podsyca płomień, który nas pali, pożéra i w popiół zmienia i w proch. Podsyca życie to, co śmiercią jest naszą.

Zatruty to nektar — lecz upojenie rozkoszne....

— Upiłem się wczoraj, proszę jejmości, i przyszedłem przeprosić!

I uścisnął Michał kolana swéj pani.

— A to ty, Michale. Wstydź się, mogłeś w polu zamarznąć!

— Ja zamarznął, proszę jejmości. Żeby nie wódka, proszę jejmości, co mi grzała jeszcze duszę we środku, tobym był zamarzł na śmierć, przysięgam Bogu! i powieźliby mnie razem z Maryną na cmentarz. Jejmość wie, że Maryna umarła?

Staruszka kiwnęła głową.

— Ale ja nic nie zgubił, proszę jejmości, — nie. Wczoraj Kachna... a to prawdziwa jędza, proszę jejmości, przysięgam Bogu! nie wiedzieć po co jejmość ją trzyma!... wczoraj Kachna wyjęła mi z torby dwa listy i oddała jejmości. Przecie oddała?

— Oddała.

— Ale ja nie głupi, proszę jejmości: na list ze zwyczajném pisaniem to się tam nikt nie złakomi, tom je w torbie trzymał, ale jakem wstąpił do Jolka w Podsośniu, bo mnie się z mrozu strasznie głowa kręciła... to strach, proszę jejmości, co to był za mróz. przysięgam Bogu! to nawet stary Mośko takiego nie pamięta... to proszę jejmości, tak sobie myślę: kręci mi się głowa z mrozu, to się wódki napiję? no, a jak mi się więcéj zakręci? ehe, ja nie głupi, żeby mi kto potem z torby wszystko wyciągnął. A był tam jeden list taki, co w nim pewnie papierowe pieniądze... to ja go wyjął z torby i włożył w baranią czapkę, co ją mam od jejmości, pod podszewkę. Tam go ci nikt nie znajdzie, pomyślałem — i oto jest proszę jejmości!

— Z pieniędzmi mówisz? dlaczegóż ci się zdaje, że z pieniędzmi? któżby mi pieniądze posyłał!

— O, jużci z pieniędzmi musi być, proszę jejmości, kiedy w ramkach, jak obrazek.

— W ramkach? cóż znowu mówisz! jakże list może być w ramkach!

A jużci, proszę jejmości: w ramkach! Niechże jejmość... ach prawda, że jejmość i tego nie obaczy. W ramkach, proszę jejmości! przysięgam Bogu! w czarnych ramkach!

Wzdrygnęła się staruszka:

— W czarnych ramkach?... A... to kartka pogrzebowa...

I pomyślała: Siostra mi pewnie umarła...

Zasępiły się jéj łagodne rysy. Nie łączyły ją wprawdzie z tą siostrą serdeczne stosunki; tak niewiele miały z sobą wspólnego, tak niepokrewne były ich dusze... ale to zawsze siostra! A lata dziecięce na łonie matki z nią razem spędzone!...

— A może to nie siostra?...

I stanęła jéj w myśli Hieronima. Nie widziała jéj nigdy, a zdało jéj się, że ona teraz na nią patrzy nieruchomie magnetycznem spojrzeniem tych czarnych oczu, o którem pisał syn, że mu duszę wypija... Krew na ustach chorego dziewczęcia, blask oczu przygasa.. to jéj śmierć... to ona umarła...

Władysław nie rozpacza: widzi go matka przeczuciem serca. Z założonemi w krzyż rękoma stoi przy jéj łożu, ponury, chmurny; szlachetném współczuciem i litością tylko wzbiera mu serce: nie ma tam miłości... Łza zakręciła mu się w oku — pochylił się nad umarłą i pocałował ją w czoło...

— Będziesz ty jeszcze szczęśliwym — chciała powiedzieć mu matka, ale w téj chwili zjawił się w obrazie jéj duszy obok syna Lucyan...

— Ah! może pojedynek?... może to on? on? Tak długo nie pisał... Może to on nie żyje?

— Kto nie żyje, proszę jejmości?

— On! .. ojciec i syn! tacy podobni!... Czy i śmierć ta sama?.. Daj tu list! daj tu ten list w ramkach! gdzie on?... gdzie on?

— Jejmość go przecie w rękach trzyma!

— Przycisnęła go do oczu, przycisnęła go do czoła z rozpaczą, przycisnęła do serca i do czoła znowu.

Straszne to, gdy starzec zakwili płaczem dziecięcia.

Aż Michał się wzdrygnął na ten widok i litość go zdjęła.

— Jejmość! przecie jejmość nic nie widzi!.. kto tam wie, kto umarł... różni ludzie umierają..

Ale ona zaniosła się od płaczu.. i tchu jéj zabrakło, czy łez zabrakło i tylko jęk przeciągły dobywał się z piersi. Pięściami cisnęła oczy, palcami je darła, jakby zedrzeć chciała zasłonę, co jéj straszną kryje tajemnicę.

— Jejmość! Boże święty! co jejmość robi?

A ona od oczu, od czoła, wyciągała na przemian ręce w powietrze, to lewą, to prawą, naprzód, przed siebie, jakby chwytać chciała czy światło dzienne, czy ulatujące od niéj widzenie, czy w otchłań nicości zapadające szczęście. Tak matka nad brzegiem przepaści wyciąga ramiona za dzieckiem, co się w nią stoczyło i stacza się, stacza coraz głębiéj i znika jéj z oczu.

— Aaaah!

— Matko Częstochowska! żeby ja umiał czytać!

Czy ona się broni od jakiegoś okropnego widziadła? Ramiona. jak tonący wyciąga przed siebie i szarpie niemi powietrze. Oh, nie siebie ona broni, ona broni dziecko... dziecko...

— Dziecko!—woła przeraźliwym głosem—dziecko moje!...

Wstrząsł się Michał zimnym dreszczem, jakby się wódki napił.

I szczęśliwa myśl przyszła mu wtem do głowy.

— Panienka dopiéro pojechała... musi daleko objeżdżać koło lasu, bo most zepsuty... jabym ją może jeszcze dopędził przez ławę... Jejmość! jejmość! panienka jejmości przeczyta list!

Ocknęła się na ten krzyk jego i na to słowo.

— List! list!... panienka... przeczyta... Michale goń za nią... goń... prędzéj... prędzéj...

I wybiegł Michał z pokoju i popędził, co sił mu stało.

Na podwórzu tylko, spostrzegłszy Kachnę wychodzącą z krowiéj stajni, krzyknął na nią:

— Idź do jejmości, a żywo!

Zastała ją Kachna w fotelu, z głową o wezgłowie opartą, obiema dłońmi serce cisnęła, ciężkim oddechem chwytając powietrze. Po twarzy zwolna ściekały łzy.

Rozpacz—to najstraszniejsza z Eumenid, ale od razów jéj bicza, boleśniejsza jéj groźba, niepewność rozpaczy.

Nie widziała Kachna nigdy pani swéj w takim stanie. Przywiązaną sługę przeraziło to bardzo i odbiegł ją nawet niepowściągniony zwykle pociąg do gadulstwa.

— Jezus Marya! rany boskie! co jejmości takiego? co się stało? czy jejmość chora? gadajże jejmość! co? serce boli?... rany boskie!

Żadnéj nie otrzymawszy odpowiedzi, pokręciła głową, poszła do kuchni, przyniosła szklankę wody, bryznęła kilka razy wodą na twarz staruszki, a potém przybliżyła szklankę do jéj ust.

— No, napijże się jejmość trochę!

Z bezmyślném posłuszeństwem spełniła ślepa jéj żądanie.

Kachna otworzyła flakonik stojący na małym przed nią stoliczku i dała jéj powąchać.

Orzeźwiło to nieco staruszkę, oddech stał się wolniejszy, łzy płynęły obficie.

Nagle spostrzegła Kachna list ów leżący na jéj kolanach. Pokazywał jéj go rano Michał z tryumfem, że go nie zgubił i że tak go schował, że nawet ona nie znalazła.

— Aha! a to pewno ten list w ramkach tak jejmość zafrasował ciężko! Musiał się ten pijaczysko przed jejmością zaraz pochwalić, że to z pieniędzmi, bo w ramkach... a ja mu zaraz mówiła, że to nie pieniądze, ale żałobę znaczy... To jużci chyba musiała umrzeć ta chora panna, co się z nią panicz miał żenić...

Dziwny był skutek tych słów i tego przypuszczenia Kachny i zupełnie dla niéj niespodziewany. Zwykłą reakcyą serdecznego płaczu zmienił się on nagle w śmiech spazmatyczny.

— Matko boska! rany boskie! a to co? Niechże się jejmość tak nie śmieje strasznie! bo aż mrowie człeka przechodzi! W imię Ojca i Syna... dajże już jejmość pokój, bo to grzech wielki tak się śmiać!... i Ducha Świętego. Amen.

I po śmiechu znowu chwila osłabienia i bezwładności, wyczerpanie sił, niby obojętność i apatya.

I cisza. Pryska żar na kominie, syczy drewno, zegar wybił godzinę i idzie daléj miarowym ruchem...

Wzdrygnęła się nagle, dreszcz jakiś ją przebiegł, myśl jakaś nowa zabłysła.

— List! list! gdzie list?

Podała go jéj Kachna do ręki.

Pochwyciła go niecierpliwie, aby rozerwać kopertę. Palce jéj mimowoli przesunęły się po adresie, uczuła ślepa chropowatość pisma posypanego piaskiem.

— Piaskiem posypane... jak listy méj siostry? Więc to byłby od niéj list?... a więc nie ona umarła... ale kto? kto?... Hieronima?... Hieronima... czy... czy...? ah!

Rozerwała kopertę i rozłożyła zawarty w niéj papier, ćwiartka tęższego od zwykłych listowych ćwiartek papieru, czworograniasta prawie... I przesuwać palce zaczęła po nim.

— Nie, nic nie czuję pod ich dotknięciem—nic.

Palce jéj drżą od wzruszenia... Spokojniéj, spokojniéj trzeba przesuwać palcami... Wszak ślepi od urodzenia uczą się dotknięciem palców poznawać duże litery... czemuż-by ona poznać nie miała?... Spokoju, spokoju tylko...

Tu, tu coś jak druk... lepną jéj palce jakby do szeregu dużych jakich, tłustych liter... to tłuszcz drukarski... ach, gdyby ich kształty można namacać, rozróżnić, rozpoznać!... Napróżno!...

— Kachna! Kachna! przecież tyle poznasz! Przypatrz się, po wiedz: jest tu na tym papierze krzyż?

— A jużci jest—ot tu!

— Jest krzyż!... ah! tom się nie omyliła... jest krzyż! to czyjaś śmierć, to czyjś grób!... Ale czyj? czyj?

Spazmowym kurczem ścisnęło się znowu serce... Ciężkim oddechem podnosiła się i opadała piersiowa klatka.

A Kachna założyła ręce i patrzy na nią i wzrusza ramionami i dziwi się, ale nic nie mówi. Odbiegła ją chętka gadania. Pojmuje już ona, co znaczy ten papier w ręku pani i ten jéj niepokój i ta męka... Ktoś umarł—a pani nie wie, kto... Westchnęła ciężko poczciwa Kachna...

— Kachna!... to ty?...

— Ja jejmość.

— Nie słychać dzwonków?

— Nie słychać.

I znowu długie, długie milczenie. Ach, jakże długą każda wydaje się chwila!... A z każdą chwilą niepokój wzrasta, wzrasta. Jak przypływ morza zalewa on serce i płuca i mózg i znowu zwolna opada, aby znów wezbrać za chwilę. Cicho, cicho. Może przeczuciem matki, może jasnowidzeniem boleści odgadnie ona tajemnicę życia i śmierci?... Cicho, cicho!

Nie—nic nie mówi przeczucie—nic!...

O i owszem! mówi—ale jak szatan szydzi tylko, nęka i dręczy—i mówi co chwila inaczéj: i *tak!* i *nie!* i *śmierć!* i *życie!* i z każdem wahnięciem zegaru i z każdem serca uderzeniem kłam sobie zadaje.

To serce matki zbyt niespokojne, aby mogło przeczuwać, myśli się mącą, wirują w głowie... Choćby przeczucie przemówiło, ona nie zdoła odróżnić jego głosu wśród tego natłoku myśli, w téj uczuć zawierusze...

— Ty, Kachna, nic nie przeczuwasz? czy ci tam w sercu głos jaki nie szepce, kto umarł?

— A któżby miał umrzéć? jużci chyba ta panna, co się z nią panicz miał żenić, kiedy jejmość powiada, że zawsze choruje!

— A syn... syn mój żyje?

— Panicz?... ou wa! gdzieby też znów panicz miał umrzéć! taki zdrów, taki mocny, jak—bez obrazy jejmości—jaki chłop a nie pan.

Ach, ta dziewczyna szczęśliwa nie wie o tém, jaką to u panów śmiercią tacy zdrowi, tacy silni umierają czasem...

Zamilkła nieszczęśliwa matka i słucha... Dech przytłumiła w sobie i słucha, czy dzwonków nie usłyszy.

— Cicho Kachno, cicho!...

I cisza... Nic, nic nie słychać. Tylko w kominie lekkie fruwanie płomyków poruszanych przeciągiem. I mokre drzewo przeraźliwie skwirczy i piszczy od żaru, jak mucha dręczona w sieci pajęczéj. I paczy się i pęka wilgotne drzewo z odgłosem trumny świeżo wyciosanéj przez cieślę. I znów cisza.—Cisza... cisza...

I słychać tylko miarowy chód starego zegaru i syk złowieszczy w kominie... I znowu strzał po strzale sypie w górę snopem iskier. Strzał po strzale—jak sygnały wiwatowe w dzień ślubu i wesela, w dzień przyjazdu młodéj pani do domu panicza.

— Kachno! Kachno! słychać dzwonki!

Zerwała się staruszka z siedzenia... wierzy słuchowi swemu i nie wierzy... Nie — nie.

— Ja wybiegnę przed stajnię i spojrzę na drogę pod lasem. Ale jejmość niech siada tymczasem na swojém krześle i niech jejmość nie wstaje, bo mi strach odejść, jejmość ledwie się trzyma na nogach...

. . . .

— Widać, widać, a jużci widać! niebieski szal panienki, czerwona kraciasta chustka Jagny Ceglarzanki i Michał z furmanem z Suchorębu na przodzie. Żwawo pędzą bułanki, już koło figury skręcają, już koło młyna, już koło Józkowéj chałupy... tam Maryna w chacie leży umarła i dziecko przy niéj na ławie, hej może Józek teraz ze mną się ożeni, przecie ja nie brzydsza od Maryny i gospodarska córka?... Aj, toż pędzą bułanki! aż im z pysków się kurzy a śnieg leci z pod kopyt, jak woda z pod koła młyńskiego... hej! jeżeli to ta panienka umarła, co się z nią panicz zaręczył, to jużci pewno teraz się ożeni z panienką z Suchorębu!...

...Musiał Michał jéj powiedziéć o tym liście w czarnych ramkach. Ona pewnie teraz myśli o tém, czy to nie tamtą pan Bóg już zabrał do siebie... I może bije jéj serce prędko, prędko, prędziutko... i tak jéj chodzi w piersi jak zegar, i tu—i tam, i tu—i tam... Ona, nie ona—ona, nie ona... i cieszyć-by się rada i wstyd jéj się cieszyć cudzą śmiercią... Hej, hej, takie to już to serce ludzkie!

Już bułanki przed dworkiem. Wyskoczyła Zosia, nie widać przerażenia na jéj hożéj twarzyczce, rozpaczy ani śladu. Serce jéj mówi: On teraz twój! twój! Przebiegła przez sień, przez kuchnię—już w pokoju.

A staruszka, chwiejąca się na nogach, już stała u drzwi z nieszczęsnym w ręku papierem, czekająca wyroku.

Porwała jéj Zosia tę ćwiartkę z ręki — spojrzała — chciała krzyknąć...

I cisza—straszna chwila ciszy.

Głos jéj zamarł w piersiach.

A matka pyta: co tam?... co tam?... co tam?... jak przez sen, jak w noc przedśmiertną pyta, budząc się ze snu skazany.

— Co tam?.. co tam?... co tam?...

O nieszczęsna! na co ci słów, ta cisza mówi do ciebie najstraszniejszém słowem!

— Co tam?... co tam?... mów!... mów!...

I z głośnym płaczem rzuciła jéj się Zosia w ramiona.

Autor „Plotek i Prawd.“

PO BITWIE PRZY BIAŁÉJ GÓRZE.

(Dokończenie).

Król Jakób zakreślił sobie w sprawie zawikłania kontynentalnego ściśle obmyślony plan akcyi politycznéj. Poświęcał sprawę czeską, przemawiał i działał stanowczo za zrzeczeniem się korony czeskiéj przez Fryderyka, za zgodą jego z cesarzem, ale natomiast objawiał nie mniejszą stanowczość w chęci utrzymania swego zięcia przy dziedzicznych jego krajach. Wobec coraz wyraźniejszych intryg Maksymiliana około objęcia sukcesyi po Fryderyku, — budzi się energia Jakóba i rozpoczynają starania, przeszkadzające pretensyom bawarczyka. Reprezentantem jego akcyi jest lord Digby, a usposobienie różnych europejskich dworów kontrminowéj robocie angielskiéj wcale nie nieprzychylne. Wiadomy nam już zwrot Francyi, która wystąpiwszy poprzednio w roli sekundanta sprawy cesarskiéj, zaczęła teraz dla niéj stygnąć i stawiać jakoby pierwsze kroki na drodze polityki, którą kardynał Richelieu podjął w drugiéj połowie wojny trzydziestoletniéj. Francya okazuje się stanowczo przeciwną destytucyi Fryderyka w palatynacie i staje po stronie angielskiéj. Ważniejszą stokrotnie jest przemiana, jaką przedstawia w owéj chwili dwór madrycki. W roku 1621 zakończył życie król Filip III, bezwzględny zwolennik polityki austryackiéj na lądzie stałym europejskim. Następca jego, młody Filip IV, okazywał się dla dworu wiedeńskiego daleko zimniejszym, a podawał tém chętniéj ucha przedstawieniom Anglii. Niebezpieczeństwo zmiany frontu madryckiego dworu stawało się tém groźniejszém, że pozbawiało dwór wiedeński czynnego sprzymierzeńca w wojnie nadreńskiéj, że mu odbierało, co ważniejsza może, pomoc pieniężną, bez któréj o prowadzeniu wojny nie można było nawet myśleć. Rozumiejąc bardzo dobrze drażliwość podobnego położenia rzeczy, cesarz ku podminowaniu angielskiéj roboty na dworze madryckim, wyprawił w osobném poselstwie hr. Khewenhillera i Jezuitę O. Hyacynta. Mimo to przeważył

wpływ angielski, zwłaszcza, że lord Digby wystąpił z chętnie przyjętą propozycyą związku małżeńskiego między następcą tronu angielskiego, a infantką hiszpańską. Starania te podejmowała Anglia nie mniéj w Bruxelli, na dworze Albrechta i Izabelli, podejmowała ją daléj w samymże Rzymie, gdzie wszędzie z prostych względów zdrowéj polityki panowało usposobienie, wcale nie niechętne restauracyi Fryderyka w palatynacie, i gdzie interesu sprawy katolickiéj nie identyfikowano koniecznie ze sprawą pretensyi Maksymilianowych.

Ważyły się tedy, jak ztąd widzimy, wpływy za restauracyą i przeciw restauracyi Fryderyka, w czém także jeszcze, nie zapominajmy, ważną odgrywają rolę, z jednéj strony protestanccy książęta Niemiec, z drugiéj Bethlen Gabor. Pierwsi, spoglądając na bój toczący się między pionierami sprawy protestanckiéj a cesarzem i ligą, zachowują wprawdzie rolę wyczekującą, ale przygotowują się zwolna i czynią widocznie stanowczość swego wystąpienia zależną od kroków, jakie dwór wiedeński podejmie względem Fryderyka. Co się zaś tyczy Bethlen Gabora, jest to istnie chmura gradowa, wisząca nieustannie nad głowami rakuskiego domu. Pokój, zawarty z cesarzem w roku 1621, jest już zerwanym w r. 1622; ponowna zgoda trwa bardzo krótko. Za podnietą Thurna, Mansfelda, Krystyana halbersztadzkiego, zrywa znów w roku 1623 pokój możnowładzca węgierski, opierając się na nadziei pomocy tureckiej. Wobec tego wszystkiego groźną więc i obosieczną była decyzya ostatecznego destytuowania Fryderyka i oddawania jego dziedzictwa bawarczykowi. Jak zwykle przecież w rzeczach i sprawach ludzkich, tak i obecnie zwyciężyła bliższa i dokuczliwsza potrzeba dalsze. Maksymilian był na polu akcyi, miał siłę zbrojną w ręku, znajdował się poniekąd w możności dyktowania praw Wiedniowi. Zebrał się, przy udziale samegoż cesarza, w miesiącu styczniu 1623 w Ratyzbonie walny zjazd Rzeszy, *Reichsdeputationstag*. Na sejmie tym zapadły ważne ze strony cesarskiéj postanowienia, wszystkie w interesie Maksymiliana i reakcyi katolickiéj. Fryderyk został ostatecznie pozbawionym swego dziedzictwa, na które inwestyturę zyskał książę bawarski. W podobny sposób został wyzutym z posiadania dziedzicznego kraju margrabia Karniowski, którego dziedzictwo dostało się księciu Lichtensteinowi. Nie dość na tém, zyskali na tymże samym walnym zjeździe tytuły hrabskie renegaci sprawy czeskiéj Martinic, Slavata i Sternberg. Jedyny wyjątek pośród tych postanowień zemsty i reakcyi stanowi akt amnestyi udzielony na wstawienie się elektora saskiego jednemu z głównych bohaterów powstania czeskiego, księciu Anhalt.

Uchwały te zjazdu walnego Rzeszy, dalekie, by sprowadzić upragniony pokój, wywołały przeciwnie groźny ferment. Tuż pod bokiem Niemiec, we Waltelinie szwajcarskiéj, wybuchła z roku 1622 na 23 na małéj, prawda widowni, ale tém krwawsza, tém zaciętsza dla tego może, wojna domowa między ludnością katolicką a protestancką, walka zagrażająca wciągnięciem w wir swój Austryi, Hiszpanii i Francyi. Odgłos wypadków na tém uboczu w połączeniu z postanowieniami walnego zjazdu, nie omieszkał wywrzeć swego wpływu w samychże Niemczech. Książęta protestanccy, elektorowie saski i brandenburski, książę wirtemberski, zaczęli się powoli zbroić i przygotowywać na nieprzewidziane wypadki. Francya poczęła dokonywać owéj wspomnianéj już zmiany frontu przeciw cesarzowi. Fryderyk, elekt czeski, nie mający już teraz nic do stracenia po destytucyi i po inwestyturze bawarczyka na swe dziedzictwo, zaczął pokładać jedyną otuchę w roznieceniu na dobre pożaru wojennego i wyprawił kolejno na dwór duński, następnie francuski swego kanclerza czeskiego, Wilhelma z Rupowa...

Tak zapowiadały pierwsze miesiące roku 1623 wojnę na szersze i rozleglejsze rozmiary, kiedy tymczasem już, nieprzerwanym ani na chwilę ciągiem, srożyła się nad Renem i Nekarą, w palatynacie walka między *freibeuterami* Mansfeldem, Krystyanem halbersztadzkim, margrafem badeńskim a ligą i Hiszpanami. Wojna *ta* zaś nosi ów jaskrawo-okrutno-poetyczny charakter, jaki wojnę trzydziestoletnią dziejowo i tradycyjnie cechuje, a pociąga do obozu tak jednéj, jak drugiéj strony całe tłumy awanturników i męty ówczesnego katolickiego i protestanckiego społeczeństwa. Szwedzkiéj i francuskiéj dopiéro epoce wojny trzydziestoletniéj przypisywać zwykli ów dziki i ponury charakter, jakim się odznaczała, owe mordy, pożogi i rabunki, uwiecznione historyą i legendą, poezyą i pędzlem malarskim. Opowiadanie profesora Gindelego przekonywa nas przecież, że następująca tuż niemal po rzezi praskiéj wojna w palatynacie nic do pozazdroszczenia ani szwedzkiéj. ani francuskiéj epoce wojny trzydziestoletniéj nie pozostawia. Jedna i druga strona pali, morduje i zabija, a noszący jakby na ironią nazwę „*biskupa*“ Krystyan halbersztadzki, dodając cynizm do okrucieństwa, wyprawia sobie i swoim towarzyszom w klasztorze żeńskim biesiadę, na któréj zakonnicom w ubiorze raju pląsać nakazano! Tak-to mści Nemezys dziejowa mord czeski na ciele niemieckiém, a zemści późniéj stokroć jeszcze krwawiéj i okrutniéj.

Jest-to, nie zapominajmy, mimo zwycięztwa białogórskiego, mimo zdeptania Czech, Morawii, Szląska i Austryi, mimo korzystnych uchwał zjazdu ratyzbońskiego, chwila pełna wojennych i finanso-

wych kłopotów dla samego cesarza. W kłopotach owych roku 1623 poszukuje znów przymierza polskiego, jak go poszukiwał poprzednio we wilią bitwy białogórskiéj. Posłuchajmy w tym względzie opowiadania autora. „Gdy,—brzmi jego opowiadanie—„król polski Zygmunt znalazł się zagrożony wojną turecką, zwrócił się do Ferdynanda i ofiarował mu ścisłe połączenie Polski z Niemcami, które miało zależeć na dawaniu sobie wzajemnéj pomocy. Mały stopień politycznego doświadczenia owéj epoki spodziewał się po tego rodzaju przymierzach, których mała wartość pokazała się niedawno w traktatach sukcesyjnych korony czeskiéj z niemieckiemi domami książęcemi, pewnéj rękojmi wobec przyszłych niebezpieczeństw, nie pojmowano, że po wszystkie czasy, rzeczywiste, czy urojone interesa państwa odnoszą zawsze zwycięstwo nad pisanemi traktatami. Cesarzowi była ofiara polska do tyla pożądaną, o ile mu się zdawała zapewniać przymierze państwa katolickiego, odpowiedział tedy królowi, że jego propozycyą przedłoży nadchodzącemu kongresowi elektorów. Tymczasem skończyła się wojna między Turkami a Polakami przez pokój z dnia 9 października 1621, ponieważ Turcy zagrożeni przez Persów, byli zmuszeni Polaków pozostawić równie w spokoju, jak cesarza. Ustąpiła więc najbliższa przyczyna ofiarowanego przymierza; mimo to ani cesarz, ani Zygmunt nie zarzucili jego myśli. Ferdynand wyprawił pod koniec roku 1621 posła do Polski w osobie p. Kurza von Seuftenau, którego pierwszém zadaniem było werbowanie żołnierza polskiego, mającego być naówczas użytym przeciw Bethlenowi a późniéj do Dolnego Palatynatu posłanym. Miał nadto Kurz von Seuftenau zadanie, traktatowe układy prowadzić daléj. Kurz wywiązał się ze swego polecenia, usiłując w Warszawie, gdzie król bawił, obecnych senatorów dla przymierza pozyskać, przyczém się téż starał wpłynąć na królewicza Władysława i królową w tym samym kierunku. W Polsce odezwały się przecież naówczas różne wahania; obawiano się, aby Turcy nie rozpoczęli na nowo zaczepki, skoro się dowiedzą o *konfederacyi* z Niemcami i tym podobnych rzeczach. Kurz starał się dowieść, że właśnie w przymierzu znajdzie się opieka przeciw jakimbądź zaczepkom i odebrał nakoniec zapewnienie, że na przyszłym sejmie polskim będzie traktowana materya konfederacyi. Czy do niéj przyszło, nie jest nam rzeczą wiadomą, cokolwiekbądź przecież trwała wymiana zdań między cesarskim i polskim dworem przez rok 1622, a gdy się w Ratyzbonie zgromadził sejm Rzeszy, przypominali tajni radzcy cesarzowi jego przyrzeczenie, aby tutaj nad tém przymierzem rozpoczął obrady. Ferdynand odpowiedział temu wezwaniu i kazał elektora mogunckiego zawezwać, aby w téj sprawie z katolickimi członkami zjazdu rozpoczął negocyacyą.

Schweikhart zawezwał wskutek tego elektorów kolońskiego i bawarskiego i reprezentantów trewirskiego i salcburskiego na osobne posiedzenie. Jakkolwiek pożądaném przecież mogło być tymże książętom katolickie przymierze, wiedzieli jednakże, że w przyszłości nie może mieć praktycznych następstw i odrzucili negocyacyą pod pozorem, że tylko w pełni zebrany sejm obradować nad podobnym przedmiotem ma prawo. W skutek tego sprawozdania popadły traktaty nad polskiém przymierzem w zapomnienie, a jeśli cesarz z królem polskim w następnych latach był w jak najlepszém porozumieniu i znów o przymierzu z nim obradować kazał, tyczyło się to tylko *jego* a nie niemieckiéj Rzeszy“.

Otóż to ustęp dzieła profesora Gindelego, dotyczący współczesnych dziejów naszych, będący równocześnie smutnym, upokarzającym naszą ówczesną politykę objawem. W sprawozdaniu naszém z pierwszych tomów dzieła historyka czeskiego, staraliśmy się wykazać, jak rozległe, jak europejskiego znaczenia horyzonty otwierały się Polsce w pierwszym akcie wojny trzydziestoletniéj, podczas kłopotów powstania czeskiego o obsadzenie tronu po zrzuconym zeń Ferdynandzie. Bez trudu, bez wysiłku własnego, przy rozumie politycznym i dobréj woli przedstawiała się jéj możność odzyskania jednym zamachem całéj Lechii Bolesława Chrobrego pomnożonéj nabytkiem Czech i Morawii. Niezrozumienie wielkiéj owéj, wspaniałéj roli w pierwszym akcie wojny trzydziestoletniéj strąciło ją w drugim na podrzędne, upokarzające stanowisko wcale nie poszukiwanego nawet i niepożądanego sprzymierzeńca cesarskiéj sprawy...

Taki to ogólny obraz przedstawia widownia europejska, w pięć lat po daniu hasła przez wybuch powstania czeskiego, w dwa lata po jego okrutném stłumieniu. Pożar tego uciszonego wulkanu udzielił się niebezpiecznie Niemcom, poczynał się w nieskąpéj mierze udzielać, jak łatwo przewidzieć można było, całéj reszcie Europy.

Najciekawszym całego, niniejszego tomu ustępem jest ostatni, w którym autor wraca znów na rodzimą widownię czesko-morawską, by się rozpatrzéć w szczegółach srożącéj się nad ludnością słowiańską obu krajów reakcyi. Wspomnieliśmy już na wstępie naszego sprawozdania, w jaki sposób mściwość jezuickorakuska uderzyła w narodowy i polityczny organizm społeczności czeskiéj, jak jednym zamachem katowskiego miecza wtrąciła we wspólną mogiłę najszlachetniejsze jéj głowy, jak zniszczyła własną ręką Ferdynanda, zdarciem *listu majestatu* Rudolfa, jéj prawa polityczne. Nie zatrzymała się przecież na tém mściwość austryacka. Zrzuciwszy głowy, zstąpiła do tułowu narodowego, a *jak* się z nim obchodziła, opowiada właśnie ostatni rozdział tomu czwartego. Zauważmy z góry, że zemsta

austryacka jest od chwili dokonanéj rzezi praskiéj *pośrednio* tylko groźną żywiołowi *narodowemu*; głównym jéj celem i przedmiotem: *wiara* i *majątek* kraju. Istnymi złymi duchami nieszczęsnego kraju na dworze wiedeńskim są w téj chwili nuncyusz papieski Caraffa, Jezuici i liczni, jak zawsze w tego rodzaju wypadkach, renegaci sprawy narodowéj, z niecnym Slawatą na czele. Z ich to łona, z łona téj reakcyi wychodzą rady prześladowania i nienawiści, kiedy nawet reprezentanci władzy cesarskiéj, jak książę Lichtenstein, jak hr. Harrach, jak Lobelius arcybiskupi prascy, radziby ostateczne wybryki zwycięzców powściągnąć. Kierunek gwałtowności odnosi przecież zwycięztwo i objawia się przedewszystkiem w sferze kościelnéj. Nuncyusz i Jezuici wyzyskują zwycięztwo białogórskie przedewszystkiém ku jak najprędszemu i jak najgwałtowniejszemu skatoliczeniu kraju. Sprowadzono z Austryi liczny zastęp mnichów, zabrano wszystkie kościoły praskie protestantom, poczęto wypędzać księży protestanckich. „Jedna przeszkoda przecież“, mówi autor, „stawała na zawadzie temu pośpiechowi (nawracania całéj ludność na katolicyzm), przeszkoda, która się zdawała nieprzezwyciężoną. Na cóż się zdało usuwanie pojedyńczych księży protestanckich od tych i owych kościołów, dopóki nie można było ich miejsc obsadzać, ponieważ katolickie duchowieństwo Czech spadło w owym czasie na nic nieznaczącą mniejszość. Niedostatek nie dał się pokryć powoływaniem księży z innych dyecezyj, ponieważ ci nie mówili po czesku a na nowy, świeży przybytek można było dopiero po latach liczyć, jakkolwiekby wyżéj wspomniane klasztory choć największą gorliwość w kształceniu kandydatów do stanu duchownego rozwijały. Książę Lichtenstein radził tedy arcybiskupowi uczynić téj potrzebie zadosyć w ten sposób, aby wszystkich księży wyświęconych po katolicku, którzy późniéj na wyznanie czeskie przeszli, przyjął znów na łono kościoła, skoro się przepisom jego poddać zechcą. Tym księżom miało téż być wolno dawać swym gminom komunią pod obu postaciami, ponieważ kościół na to przez sobór trydencki zezwolił. Arcybiskup kazał sobie swym kanonikom zdać sprawę w przedmiocie proponowanego środka, a zdanie to oświadczyło się w ten sposób, iż odpadłych księży można wprawdzie przyjmować, ale że udzielania komunii pod obu postaciami nie należy dopuszczać. Było tedy rzeczą jasną, że nietylko postanowiono zgnieść wyznanie czeskie, ale, co więcéj, nie dopuszczać istnienia starego, pogodzonego z kościołem rzymskim a różniącego się odeń tylko komunią, utrakwizmu. Obszar powoli zdobywany, postanowiono zagarnąć w całości i bezwarunkowo...

Arcybiskup przedłożył księciu nadeszłe sprawozdanie, który je mimo, że było niekorzystném dla bronionego przezeń utrakwizmu, chętnie przyjął. Na rozkaz jego, administrator powołał proboszczów praskich na posiedzenie i udzielił im z polecenia Michny kilka punktów, co do których mieli zdać deklaracyą. Mieli oświadczyć, czy są gotowi pozwolić na udzielenie sobie święceń kapłańskich przez arcybiskupa (chciano więc w ten sposób nie tylko pozyskać wyświęconych po katolicku, lecz odpadłych, ale zarazem przyjąć wyświęconych po protestancku, aby módz rozporządzać, o ile możności jak największą liczbą księży), czy się zgadzają we wszystkich punktach z kościołem katolickim, a więc czy odstępują od udzielania komunii pod obu postaciami, i czy, jeżeli mają żony, takowe odtąd tylko za gospodynie chcą uważać? Że się z temi pytaniami łączyło wezwanie do pożyczki, było poniekąd rzeczą rozumiejącą się samo przez się, ponieważ na pożyczki i kontrybucye winny były naówczas wszystkie korporacye się zgodzić, skoro im rząd dał pozwolenie na odbycie wspólnéj narady, lub je do takowéj, jak w obecnym przypadku zmusił. Oświadczenia administratora wywołały między proboszczami wielki postrach; nie było jednakże słychać, aby ktokolwiek-bądź z nich był okazał gotowość wstąpienia w związek z kościołem katolickim. Jakkolwiek-by to rzeczą pożądaną było tak dla arcybiskupa, jak dla księcia Lichtensteina, nie spodziewali się jednakże tego, a z tego też powodu przedłożył drugi pierwszemu pytanie: czyby nie zabrać gwałtem wszystkich kościołów praskich lub przynajmniéj trzech najznaczniejszych i ztamtąd reformy rozpocząć? Arcybiskup zażądał w tym względzie sprawozdania ze strony wyżéj wspomnianych prałatów, które w niedostatku odpowiedniéj liczby księży inaczéj wypaść nie mogło, jak tylko, że tymczasowo należy się ograniczyć na zebraniu trzech kościołów.

Dający się już teraz we znaki ucisk i pomienione oświadczenia administratora spowodowały, że protestanci wznieśli głośne skargi; wielu predykantów byt swój w Czechach za zagrożony uznało i ucieczką z kraju przyszłość swą za lepiéj zabezpieczoną uważało. Około 200 księży wywędrowało do początku maja (r. 1621) z Czech do Szląska. Pozostali tak proboszcze prascy, jak profesorowie uniwersytetu, którzy się także różnym obawom oddawali, wygotowali do elektora saskiego pismo, w którém go o radę i o wstawienie się do cesarza prosili. Ponieważ w Saksonii zwolenników czeskiego wyznania uważano za skłonnych do luteranizmu, znalazły prośby owe chętne posłuchanie. Prezes tajnéj rady Schönberg wezwał uniwersytet do nazwania mu osób narażających jego bezpieczeństwo, a elektor dał niezadowolnieniu swemu przez to wyraz, że arcyksięciu Karolowi,

który właśnie w Dreznie bawił, przy stole pismo proboszczów praskich odczytał i na prześladowanie swych współwyznawców religijnych się żalił.

Wszystkie te żale, wszystkie te instancye nie wstrzymały jednakże w niczém i ani na chwilę wzbierającego coraz wyżéj zenitu reakcyi. Nie pytając o niezadowolnienie elektora saskiego, który w znacznéj części zgotował sam dzieło, nad którego następstwami teraz biadał, który swą postawą podczas trwania ruchu czeskiego dopomógł do jego zgniecenia, który po jego stłumieniu ścigał ofiary, pełnił niezaszczytny obowiązek żandarma austryackiego, i oddał między innymi głowę szlachetnego Schlicka pod topór,—postępował zwycięzki rząd austryacki na widowni czeskiéj raźno naprzód w pracy swéj nad metamorfozą kraju. Po niedługich wahaniach, nastąpił zabór wszystkich kościołów miasta Pragi, nastąpiło daléj oddanie starodawnego uniwersytetu praskiego w ręce Jezuitów.

Szczegóły rozpoczynającego się odtąd nowego prześladowania wiary i narodowości czeskiéj są w dziele profesora Gindelego równie liczne, jak ciekawe. Co rzeczą w swoim rodzaju wielce oryginalną, to że krwiożerczy ciemięzca Czech, Ferdynand, miał czoło w roku 1622, wnet po zaślubinach swych z księżniczką Elżbietą mantuańską, przybyć na widownią swych prześladowań i egzekucyi, odwiedzić nawet Pragę samą, zbrojny nibyto w tak zwany akt *generalnego pardonu*. Możnaby było z podobnego tytułu owego aktu wnosić, że cesarz, syt nareszcie krwi i łupów czeskich, ogłosi rzeczywiście ogólną amnestyą, że zaprzestanie dalszych konfiskat, że się powstrzyma od dalszych prześladowań religijnych. Tak jednakże nie pojmował bogobojny cesarz aktu swéj łaski. Łaska owa ograniczała się na pozostawieniu Czechów przy życiu i czci; natomiast miała ich wiara a mianowicie ich majątek pozostać i nadal polem mściwych sztuk jezuickiéj i austryackiéj reakcyi. „Podczas tych wypadków—mówi autor—pojechał cesarz na zaślubiny swe do Innsbrucku i tutaj to odbyły się ostatnie narady w przedmiocie redakcyi mającego się wystawić generalnego pardonu, w których mianowicie wziął udział zawezwany do nich osobno Wilhelm Slawata. Dokument ten został przez cesarza podpisany dnia następnego po jego zaślubinach, 3 lutego (r. 1622). Ze względu na ten radosny wypadek należało się spodziewać łaskawéj treści; nadaremno jednakże. Utrzymano powzięte już dawniéj postanowienia oszczędzania tylko życia i czci stanów czeskich, a zabrania się natomiast do ich dóbr, ponieważ chciano się wynagrodzić za straty poniesione w ciągu wojny. Całéj szlachcie nakazano tedy pod karą zbrodni stanu stawić się przed mającą się utworzyć komisyą i posłuchać jéj dalszych rozporządzeń. I teraz jednakże jeszcze wa-

hano się z ogłoszeniem tego oryginalnego generalnego pardonu, ponieważ przez wypędzenie księży nie chciano sobie rąk wiązać a część ich dopiéro na Wielkanoc wypędzić. Porozumiewano się téż w Innsbrucku i co do sposobu, jak przeinaczyć ustawę krajową czeską, w czém Slawata ze swemi propozycyami rzecz rozpoczął i radzców wiedeńskich surowością swych poglądów przewyższył. Cesarzowi, jak się zdaje, podobały się nie tylko jego rady, lecz i jego sposób zachowania się; porozumiewał się z nim poufnie w przedmiocie przyszłych reform i zawezwał go na ostatku przy pożegnaniu w Salcburgu, dokąd mu Slawata za powrotem towarzyszył, do zdania sprawy, którego tajemnicę ściśle przestrzegać przyrzekł. Za pośrednika w dalszych stosunkach między Ferdynandem a Slawatą miał służyć nadworny radca baron von Questenberg i jego to zaklinał Slawata późniéj, aby nic z jego sprawozdania kanclerzowi Lobkowicowi nie zakomunikował. W ostatecznym przypadku chciał go przeciw całemu światu bronić; ponieważ zaś takiego przypadku na teraz nie było, nie chciał zacny ten mąż na tymczasem nikomu pozwolić zaglądać sobie w karty i domyślać się swego stosunku poufałości z cesarzem. Sprawozdania tego nie posiadamy, niestety, w zupełności; najważniejsza, przez Slawatę w szczególnéj tajemnicy trzymana, część jego, nie istnieje już. Z pisma przecież wystosowanego do Questenberga możemy się treści jego domyślać; sądzimy więc, że Slawata doradzał zniesienia w Czechach tak zwanych *„mieszanych rządów.“* Według ustawy krajowéj, była władza podzielona między króla a stany; podział podobny był Slawacie zgrozą, radził tedy cesarzowi całą władzę sobie przyswoić. Na téj radzie nie kończył się przecież z pewnością ów dokument; co jednakże daléj zawierał, jest zapewnie na wszystkie czasy zapomnieniu przekazaném.

Jeżeli tajne sprawozdanie, według domniemanéj jego treści, powinno było zadowolnić cesarza, znalazł téż zapewnie dobre przyjęcie u niego drugi, znany powszechnie dokument tego samego pióra, ponieważ schlebiał w równy sposób absolutystycznym dążnościom. W przedmiocie ustawy krajowéj doradzał zniesienie dotychczasowéj roty przysięgi, według któréj najwyżsi urzędnicy nie tylko królowi, lecz i stanom przysięgę wierności składali, przysięga ta miała się ściągać odtąd do króla wyłącznie. Od wyroku prawa krajowego miała odtąd służyć apelacya do króla, a nie być, jak dotąd, zakazaną; również miały wszystkie prawa pisane i zwyczajowe uledz rewizyi, aby być ułożonemi odpowiednio do najwyższéj władzy królewskiéj. W tym samym sensie brzmiały dalsze rady Slawaty, a usłuchano ich wszystkich przy redakcyi nowéj ustawy krajowéj. Przechodząc do spraw religijnych radził, aby tylko katolików do urzędów przy-

puszczać i aby arcybiskupowi nadano pierwszorzędne stanowisko, aby mu więc na posiedzeniach rady krajowéj to miejsce udzielono, które niegdyś panowie na Rosenbergu zajmowali. Jeżeli już powołanie Slawaty do Innsbrucku dowodziło, iż stał wyżéj w zaufaniu cesarza, aniżeli Sternberg i Martinic, których ciągle jeszcze spokojnie w Passawie pozostawiano, utwierdził się w niém przez swoje sprawozdanie jeszcze więcéj. Gdyby za kanclerzem Lobkowicem nie były przemawiały jego talent, jego wielka znajomość rzeczy, jego stosunki z posłem hiszpańskim, byłby Slawata teraz już może wstąpił na jego miejsce.

Wśród podobnych rad, wśród podobnych wpływów niecnego renegata sprawy narodowéj, wśród złowrogich a chętnie słuchanych podszeptów nuncyusza papieskiego Caraffy, roztaczał się coraz sroższy ucisk nad nieszczęsnym krajem, tém wstrętniejszy, że się na jego czynniki fanatyzm na przemian z chciwością składają. Postępując w prześladowczém dziele od szczebla do szczebla, nie poprzestano na tępieniu protestantyzmu wszelkich odcieni, lecz zabrano się do *utrakwizmu* i postanowiono zabrać wszystkie jego kościoły w Pradze na rzecz katolików. Żołnierze z muszkietami w ręku wchodzili podczas nabożeństwa do kościołów, by z nich wypędzać księży utrakwistycznych, wprowadzać katolickich. Prześladowania owe religijne dotrzymywały, jak już powiedziano, równego kroku, łupiestwu majątków. Gdy mówi autor: „nadeszły święta wielkanocne roku 1622, upominał Caraffa o dotrzymanie danego przyrzeczenia, według którego luteranie tylko do tegoż terminu mieli być cierpiani, ale i na ten raz bez skutku. Gotowano się we Wiedniu do zwiedzenia sejmu Oedenburskiego i nie chciano sobie tamże utrudniać czynności, wydając dekret banicyi przeciw tym, których krótko przedtém za ich wierność chwalono. Względy te, jako i wiadomości z Niemiec o znacznych zbrojeniach margrabiego badeńskiego i Halbersztadczyka miały nawet *to* następstwo, że postanowiono nawet teraz ogłosić *generalny pardon* i że w ten sposób położono sobie samym zawadę przeciw zamierzonemu wypędzeniu luteranów.“ Oryginalny to jednakże i ciekawy w swoim rodzaju był ów tak zwany *generalny pardon*. Pominąwszy, że ogarniał swą łaskawością *niewinnych*, bo winni odpokutowali grzech udziału w powstaniu męczeńską śmiercią na starym rynku praskim lub błąkali się w obczyźnie, ustanowił nadto swą treścią i brzmieniem zamiast, jakiegobądź przebaczenia, *kary* przeciw owym niewinnym. „Wskutek—mówi autor—nadeszłego z Wiednia polecenia, przybito pomieniony dekret na ratuszach miasta Pragi. Życie i wolność nie miały odtąd być zagrożonemi; natomiast oddano każdego, co się tyczy jego majątku niepewnym prze-

mianom szykanującego procesu. Szlachta stawała pojedynczo w Pradze przed tak zwaną radą konfiskacyjną, aby się sama oskarżać i z przestępstw swych się tłómaczyć. Obywatele miast królewskich czynili to samo, tłómacząc się przed sędzią królewskim. Ich oskarżeniom własnym i tłómaczeniom dawano mało wiary; tém więcéj zwracano uwagi na dokładność majątkowego spisu, którego żądano od każdego z osobna i według którego dobierano wagę przestępstwa. Jaki rezultat te procesy miały, opowiemy w przyszłym tomie. Aby czytelnikom naszym dać wyobrażenie o postępach reakcyi reformacyjnéj po za obrębem Pragi, wspomniemy o niektórych, najcharakterystyczniejszych w tym względzie zajściach. Dziekan litomyski, niejaki Wojciech Hajek, powołał księży swego dekanatu na zgromadzenie i oświadczył im, że na mocy dekretu papieskiego kielich świecki nie jest już dozwolony i zawezwał ich do przysięgi, że się do zakazu zastosują. Ponieważ wszyscy wiedzieli, że w razie przeciwnym byliby wystawieni na prześladowania, złożyli żądaną przysięgę. Aby i świeckich do podobnego skłonić posłuszeństwa, radził Hajek, aby opornym nie udzielać sakramentów, nie dawać ślubów, nie odprawiać w zwykły sposób pogrzebów, a jeszcze większe kary przeciw tym wymierzać, którzyby odwiedzali księdza heretyckiego. Kiedy sprawozdanie Hajka zapowiadało pewną skuteczność jego działalności, uskarżał się proboszcz z Usti nad Labem (Aussig), że wszystkie jego usiłowania są nadaremne i że obywatele miasta i wieśniacy okoliczni trzymają się predykanta, którego wypędzenia u Michny napróżno się dotąd domagał. Również skarżył się proboszcz z Pardubic, że w Chrudimiu przebywa perdykant, jakkolwiek jest przez Michnę wypędzonym. Jeżeli tak w Chrudimiu, w Usti i w innych miejscach nie postępowano sobie z należną surowością, nie grzeszono łagodnością w Taborze, gdzie podjęto skatoliczenie po pogromie Czechów, a dzieło to powierzono członkowi wyszehradzkiéj kapituły. Nowy proboszcz zwrócił główną uwagę na to, aby powiększyć swe dochody, o ile możności, i w Taborze wyższe zająć stanowisko; równocześnie jednakże uderzył na przeciwników z tąż samą stanowczością, jak kolega jego w Litomyślu. Nikt nie dostawał odeń ślubu, kto się nie przyznał do katolicyzmu; wszelkie reminiscencye czeskiéj liturgii prześladował bezwzględnie i groził tym, którzy się jego postanowieniom nie poddawali, konfiskatą dóbr i innemi karami.“

Przeszkodę pewną i zawadę w prześladowczéj owéj działalności reakcyi jezuicko-austryackiéj przedstawiał ciągle jeszcze elektor saski. *Politycznie* niewolniczy i nikczemny sługa polityki austryackiéj, *religijnie* nieprzyjaciel utrakwizmu czeskiego i kalwinizmu, za to tém fana-

tyczniejszy w sekciarstwie właściwém owéj epoce wyznawca i zwolennik luteranizmu, poczuwał się do obowiązku obrony księży i kościołów luterskich w Czechach, a zapewnienia, jakie początkowo w téj mierze ze strony dworu wiedeńskiego odbierał, zdawały się instancyom jego zupełną zaręczać skuteczność. Tymczasem miała się tu stwierdzić prawda przysłowia francuskiego *l'appétit vient en manegant*. Po zniesieniu kalwinizmu, po stłumieniu utrakwizmu, przyszła kolej wcale niełagodniejszego prześladowania na luteranizm, a zwycięzcy uważali się za zbyt pewnych swéj sprawy, aby się kłopotać choćby o najgniewniejsze instancye elektora saskiego i jego nadwornego kaznodziei Hoëgo. Nuncyusz Caraffa dodawał Ferdynandowi pod tym względem odwagi, kardynał Dietrichstein w Morawii, książe Lichtenstein w Czechach odebrali rozkaz wypędzenia lutrów. „Książę Lichtenstein—mówi autor—rozpoczął po powrocie swym do Pragi dzieło wypędzania od tego, że d. 21 i 22 października r. 1622 członków staro i nowomiejskiej rady ponownie zmienił i przy téj sposobności wszystkich zwolenników wyznania czeskiego usunął. Tego samego dnia ograniczył też zakres działalności królewskiego naczelnika miasta Pragi, który odtąd obok sędziego królewskiego nadzorem nad gminą miał się trudnić. W instrukcyi, jaką mu udzielono, powierzono mu dospozycyą nad własnością gminną i nad jéj dochodami w tym samym zakresie, w jakim dotąd burmistrzowi służyła. Każdy swobodny ruch gminy w jéj sprawach, każda narada cechów i innych wszelkich stowarzyszeń miejskich miały podlegać kontroli naczelnika miasta, a w ogóle życie publiczne być wzięte w ścisłe kluby. Równocześnie z tą instrukcyą odebrał gubernator miasta Herman Czernin polecenie, zawezwać niemieckie duchowieństwo Pragi i zakomunikować mu rozkaz banicyi. Czernin wypełnił rozkaz i zakomunikował zawezwanym, że się mają powstrzymać od wszystkich funkcyi a w przeciągu czterech dni Pragę i kraj opuścić. Rozkaz banicyi rozciągał się i na nauczycieli niemieckich, a jakkolwiek tak oni, jak księża, o przedłużenie terminu prosili, ponieważ im rzeczą niepodobną w tak krótkim czasie rozporządzić swém mieniem i swemi rodzinami, przedłużono im go przecież tylko o jeden dzień. Spakowani na jeden wóz, eskortowani przez oddział żołnierzy rozpoczęli podróż 29 października i puścili się w drogę ku Dreznu. Znaczny, na tysiące liczący się tłum ludzi odprowadzał ich przeszło pół mili drogi, a gdy rozstawać się przyszło, wstąpił magister Lippach, przewódzca wypędzonych na pagórek i pożegnał się, po pełnéj wzruszenia mowie, wśród łez, z pozostałymi. Składka, zebrana pomiędzy nimi przy téj sposobności, przyniosła 400 złotych, które odjeżdżającemu pastorowi, doręczono. Równocześnie czy krótko późniéj spotkał rozkaz wygnania probo-

szcza z Hniewina (Brüx), który go bezzwłocznie spełnił i do Norymbergi się udał. Po zakomunikowaniu dekretu banicyjnego duchownym luterskim, dotknął dnia następnego miecz Damoklesa rektora i profesorów uniwersytetu praskiego. Jezuici wyzyskali swe stanowisko u cesarza, aby z pominięciem służących historycznie arcybiskupowi praskiemu praw kanclerskich, upomnieć się o oddanie uniwersytetu pod swą wyłączną władzę i jak na teraz, doszli do celu swych życzeń. Cesarz wydał rozkaz, aby zwolennicy czeskiego wyznania opuścili gmach uniwersytecki i oddali takowy, podobnie jak wszelką inną posiadłość Jezuitom, jako jego na przyszłość kierownikom. Rozporządzenie dotknęło nie tylko protestantów, ale i katolicy a mianowicie duchowieństwo było niem nieprzyjemnie dotknięte, że Jezuici mają być odtąd jedynymi panami uniwersytetu. Arcybiskup, który za późno o dekrecie cesarskim wiadomość odebrał, aby mu módz zapobiedz, zaprotestował wprawdzie przeciw niemu i zakomunikował go téż nuncyuszowi; wszystko jednakże nadaremno. Następca jego, kardynał von Harrach, który się nie chciał zgodzić na pokrzywdzenie swych praw, podjął rezolutnie walkę; przeszło dwadzieścia lat trwał zatarg między nim a Jezuitami, którzy z opanowanego stanowiska na żaden sposób nie pozwolili się wyprzeć. Ze strony kardynała przychodziło do najzaciętszych skarg i wycieczek przeciw Jezuitom; mimo to nie mógł ich wyprzeć, ale tylko, jak niżéj opowiedzianém będzie, doprowadzić do ograniczenia praw przez nich pozyskanych. Po oddaniu uniwersytetu, powierzono téż Jezuitom cenzurę książek, przeciw czemu arcybiskup Lohelius również jako przeciw nadwerężeniu swych praw inkwizytorskich protestował, lecz i ten protest pozostał bezskutecznym."

Co wśród wszystkich prześladowań rzeczą naturalną wprawdzie, ludzką, ale mimo to bolesną, to upadek ducha, to słabość, to schlebianie zwycięzcy, to pełzanie wobec zwycięzkiéj przemocy. Wiele szlachty, mieszczaństwa, uczonych przechodziło, by się reakcyi austryacko-jezuickiéj przypodobać, z wyznania czeskiego na katolickie, między innymi dwóch profesorów uniwersytetu praskiego, Deutschenberg i Campanus, ostatni słynny onego czasu poeta, który nie wstydził się poświęcić natchnienia swéj Muzy nowo-przyjętéj wierze i szarpaniu ofiar zwyciężonego ruchu. Zdzierstwo zaś fiskalne, jak nie dość często przypominać należy, postępuje na téj smutnéj i ponuréj widowni ciągle równym krokiem z prześladowaniem religijném. „Nasza charakterystyka — mówi autor—przygotowujących się powoli zmian kościelnych w Czechach byłaby niedokładną, gdybyśmy równocześnie nie wspomnieli o usiłowaniach, które duchowieństwo katolickie podejmowało ku powiększeniu swego stanu ma-

jątkowego. Powiedziano już, że mu zwrócono dobra skonfiskowane i że potrzebom jego przychodzono w pomoc od czasu do czasu asygnacyami pieniężnemi. Na tém jednakże nie poprzestawało duchowieństwo katolickie; przeciwnie, podjęło plan zażądania zwrotu dóbr, które doń w czasach przedhusyckich należały, a arcybiskup Lohelius przewodniczył mu dobrym przykładem. Już w kilka dni po bitwie na Białéj Górze wystąpił do cesarza z prośbą o zwrót wszystkich należących od utworzenia arcybiskupstwa praskiego do niego dóbr. Gdy cesarz nie pospieszał z wysłuchaniem téj prośby, wysłał arcybiskup opata strahowskiego Questenberga i kanonika Platteisa do Wiednia, aby przez nich sprawę tę traktować i odwołał się też do usług nuncyusza po uproszeniu sobie pośrednictwa papieskiego w sprawie restytucyi. W ponowném podaniu do cesarza, wyszczególnił arcybiskup dobra, których oddania żądał, przyczém jednakże stan dawniejszéj posiadłości bardzo nisko oceniał, ponieważ tenże, jak teraźniejsze poszukiwania dowodzą, na daleko większy obszar się rozciągał. Ferdynand polecił tedy księciu Lichtensteinowi, zadosyć uczynić według możności prośbie arcybiskupa i zdać równocześnie sprawę z tego, jakby liczba kanoników katedralnych i innych sług kościelnych mogła być pomnożoną i odpowiednie środki do tego przygotowane. Wskutek tych upomnień arcybiskupa, do których się przyłączyli późniéj wszyscy opaci klasztorni, mianowicie opat Questenberg, a dzięki gorliwości, z jaką nuncyusz takowe popierał, darowano w ciągu lat 1621 i 1622 duchowieństwu w Czechach kompleks dóbr, których wartość obliczano urzędownie na 1.500.000 talarów czyli na połowę wartości dóbr skonfiskowanych przez cesarza. Według jakiéj zasady rachunek ten układano, nie wiadomo, gdyż, skoro wartość skonfiskowanych do końca czerwca roku 1621 obliczano na pięć milionów, jak to we właściwém miejscu nadmieniliśmy, nie można w żadnym razie na półtora miliona obliczonéj ziemskiéj posiadłości za połowę uważać. Być może, iż cesarz aż do roku 1622 nie wydobył ze sprzedaży dóbr nad trzy miliony i że tę sumę za podstawę wzięto. Cokolwiek-bądź, pokazuje się przecież, iż cesarz względem duchowieństwa nie okazał się skąpym, lecz przeciwnie przez ogromne owe donacye świetną karyerę mu otwierał. Apetyt był jednakże podrażnionym a udarowani nie byli zadowolnieni. Wszystkie klasztory bez wyjątku domagały się jeszcze gwałtowniéj restytucyi posiadłości, jaka im przy fundacyi była przeznaczona i prosiły dla tego, aby się powstrzymano ze sprzedażą tych i owych dóbr kościelnych. Wielu księży nie wstydziło się z ambony skarg wytaczać, że cesarz się leni ze zwrotem dóbr, i nie pamiętali o tém, że mają przed sobą słuchaczy, którzy się podobną chci-

wością tylko zgorszyć mogą. Skargi ich zwracały się téż przeciw dwóm najwięcéj wpływowym mężom Czech, przeciw Lichtensteinowi i Albrechtowi von Waldstein, którzy się zakupnem szerokich włości trudnili, w czém sobie kościelnémi reklamacyami przeszkadzać nie pozwalali i dla tego z czynem dokonanym wystąpić postanowili. Arcybiskup, który się podobnéj ich intencyi domyślił, prosił nuncyusza o jego pomoc, aby zamierzone kupna nie były uważane za prawnie obowiązujące. Rzeczywiście nakazał téż cesarz, aby żądania duchowieństwa czeskiego poddano śledztwu i zdano mu następnie sprawę. Książę Lichtenstein odbywał szerokie narady z radcami administracyi czeskiéj i innymi wysokimi urzędnikami, którzy wszyscy razem nie entuzyazmowali się wcale dla życzeń duchownych, ponieważ téż tego wobec ich wybujałości czynić nie mogli. Książę zdał sprawę cesarzowi, poradził niezwłoczne oddalenie petentów i dał dość jasno do zrozumienia, że nie widzi z ich strony najmniejszéj skromności. Możnaby go za jego polityczną stanowczość pochwalić, gdyby takowa była następstwem jego zastanowienia a nie jego osobistego interesu. Duchowieństwo zostało ze swém żądaniem oddalone; w jaki sposób cesarz jego późniejszym prośbom i potrzebom zadosyć uczynił, opowiemy niżéj"...

W taki to wstrętny, ohydny sposób, toczył się w łonie zwycięzców Czech spór o zdarte ze zwyciężonych bezprawnie i niegodziwie łupy. *Morawia* znajdowała się pod tym względem w szczęśliwszém nieco położeniu. Bliskie sąsiedztwo, możliwa odsiecz Bethlen Gabora powstrzymywała tutaj krwawe wyroki, powstrzymywała nieco prześladowania religijne, nakładała do pewnego przynajmniéj stopnia wędzidło zdzierstwu majątkowemu. Wszystkie te względy przecież nie przeszkodziły, iż pod koniec r. 1622 zwycięzka reakcya wypędziła z kraju 20.000 przeszło pracowitych, uczciwych, oddanych handlowi i rzemiosłom anabaptystów. Wypędzeni, pozbawieni własności, wynieśli się po większéj części do Węgier, gdzie pod opieką Bethlen Gabora znaleźli przytułek i bezpieczne schronienie. Kronika współczesna morawska wspomina w téj chwili téż właśnie, jakoby w uzupełnieniu rozgrywającéj się nad krajem tragedyi, imię męża, znakomitego obywatela, który na początku zrywającéj się burzy chciał napróżno stawać w roli rozjemcy i pośrednika między powstaniem a cesarzem, który zaś późniéj, widząc bezowocność swych usiłowań, skazał się sam dobrowolnie na milczenie, by dać znów znak życia w stosownéj porze. Jest nim zacny Karol z Żerotina. Wobec srożącego się nad krajem ucisku, spieszy do Wiednia, by tutaj przypomnieć swoje bezinteresowne rady i usługi, a w imię ich odezwać za zdeptanemi prawami ziomków i ojczyzny. Dla ludzi, jak

on, nie było tu już jednak miejsca. Jak go poprzednio nie chciała słuchać rewolucyjna namiętność ziomków, tak teraz nie chce go słuchać mściwa reakcya zwycięzców. Wielki obywatel Morawii opuszcza kraj i osiada na Szląsku.

Dobiegamy kresu naszego sprawozdania, sprawozdania z dziejów epoki najsmutniejszéj i najkrwawszéj pono w życiu naszych pobratymców czeskich. Jak widzimy z dzieła profesora Gindelego podały sobie zgodną rękę dwa zgubne czynniki, by po nieszczęsnéj bitwie pod Białą Górą pogrążyć w ostateczną przepaść dwuwiekowego letargu sprawę, kraj i naród czeski. Czynnikami temi są z jednéj strony dziwny upadek ducha i niedołężność czeska, z drugiéj strony barbarzyństwo i energia austryacko-jezuickiéj reakcyi. Bitwa pod Białą Górą, jakkolwiek klęska i dotkliwa klęska, nie rozstrzygała właściwie przecież niczego, przeciwnie może rozszerzała widnokręg sprawy, podjętéj przez powstanie czeskie, wywołała na scenę niespodzianych sprzymierzeńców, zamieniała rozruch ubocznéj wagi na kwestyę wielkiego, europejskiego znaczenia. Znaczna część twierdz kraju znajdowała się jeszcze w ręku powstania; Bethlen Gabor nadciągał z odsieczą; armia czeska nie znajdowała się jeszcze w stanie zupełnego rozkładu i rozstroju; protestancka unia Niemiec zabierała się dać pomoc. Czechy nie miały jednakże człowieka, lepiéj powiedziawszy, nie przedstawiały duchowego nastroju, który zdolny człowieka wydać, a nie przedstawiały go dla tego, że ruch ich nie będąc narodowym, pozbawiwszy się rozgrzewającego i zapalającego massy czynnika, jakim jest sprawa swobody i niepodległości narodowéj, utonął i stopił się w kosmopolityczném wstrząśnieniu religijném współczesnéj Europy. Ztąd to nie odwołują się ani król Fryderyk, ani jego różnojęzyczni wodzowie, ani „*dyrektorowie*“ czescy, za wzorem Korybutów, Żyżków czy Prokopów, do mass ludu czeskiego zbrojnych w cepy, kosy i *jutrznie*, —nie gromadzą się w tabory domowego ogniska, lecz idą jedni cierpliwie i rezygnacyjnie jak baranki pod nóż austryackiego rzeźnika, drudzy odbiegają owego ogniska, by szukać sprzymierzeńców, którzy gotowi pójść na odsiecz sprawie protestantyzmu, nie rozumieją narodowéj sprawy czeskiéj. Grzech opuszczenia sztandaru narodowego, by nadeń przenieść sztandar idei kosmopolitycznéj mści się strasznie na Czechach. Mściwa reakcya zwycięzców zabiera się umiejętnie i gruntownie do dzieła. Ferdynand, mający do pomszczenia znieważoną władzy swéj powagę; Caraffa mający do zyskania dla kościoła kraj i ludność, oddawna z nim w zatargu żyjące; Slawata mający do spełnienia dzieło osobistéj zemsty a zmyślny i okrutny, iak wszyscy renegaci, podają sobie ręce ku zgnieceniu i zadeptaniu na wszystkie czasy i wieki niebezpiecznego wul-

kanu. Mniejsza, że padły pod ciosami ich zemsty najszlachetniejsze głowy Czech, mniejsza, że kwiat narodu czeskiego, o ile go ręka téj zemsty dosięgnąć nie zdołała, rozproszył się za granicę i więdnął w tułaczce. Groźniejszym dla przyszłości kraju był ów system reakcyi, który się zabrał z szatańską istnie zmyślnością do zniszczenia materyalnego i duchowego pnia narodowego. Uczy nas sumienne i szczegółowe opowiadanie prefesora Gindelego, jak z jednéj strony cały system rządowy po gromie białogórskim zamienił się na ogromną machinę zbiorowego wywłaszczania narodu czeskiego, podkopywania jego materyalnego bytu, uczy nas z drugiéj strony, jak owa reakcya przekreśliła jednym zamachem całe duchowe życie narodu, jak mu odebrała jego swobodę religijną, jak mu zatamowała kanał oddechowy do zaczerpnienia rodzimej oświaty. Zdawaćby się było mogło, że po owém Tarkwiniuszowém zrzuceniu naczelnych głów narodu, że po zdławieniu i zgnieceniu skrwawionego tułowu, że z pod owych dwóch z równą zabójczością działających czynników zewnętrznego ucisku i własnéj prostracyi ducha, nie świta już żadna przyszłość. Dwa wieki przeszło dawały podobnemu przypuszczeniu słuszność, dwa wieki trwał ów letarg, by nareszcie za dni naszych rozbudzić się w życiu, by powiedzieć, że nie był śmiercią, by dać cudowne świadectwo niespożytości narodu, który choćby schowany do katakumb, *chce* przecież żyć i z grobowego schowania na światło dnia białego chce się wydobyć.

Jarochowski.

KOMETA.

POWIEŚĆ.

(*Dalszy ciąg*).

XXVI.

Różne kółka towarzyskie, stojące bliżéj osób naszéj powieści, miały teraz czém się zabawiać. Zaledwie tydzień upłynął od ostatniego wieczorku u państwa Alfonsów, a już natworzono mnóstwo rzeczy, które istniały i wcale nie istniały.

Piękna, tajemnicza kobiéta wystąpiła teraz z swego ukrycia i publicznie zmierzała do ostatniego aktu dramatu swego. Chodziła co wieczór prawie do teatru w towarzystwie angielki, ale przed upływem pierwszego aktu zjawiał się w głębi loży młody mężczyzna, mile bardzo przyjmowany. Loże przeciwległe lornetowały wtedy pilnie oboje, a lornetowani wcale się o to nie turbowali. Rozmawiali z wielką swobodą, jak ludzie należący do siebie. Młody mężczyzna pozostawał w loży przez cały czas.

Oprócz loży widziano ich także często w powozie. Używali różnych wycieczek i razem wszyscy troje wracali do willi.

Wszystko to widziano i wyprowadzano z tego rzeczy bardzo proste. Widziano w nich prawie narzeczonych i niktby się nie zadziwił, gdyby ktoś wiadomość przyniósł, że w kościele św. Floryana odbył się ślub młodéj pary. W związku takim nie widziano nic dziwnego.

Jerzy przez ten czas znikł prawie z horyzontu. Czy się wstydził przegranéj, czy bolał rzeczywiście nad zawodem tak świetnych planów swoich, czy wreszcie myślał nad jaką nową kampanią, która-by go tam naprowadzić mogła, gdzie ta nie zaprowadziła, o tém nikt nie wiedział. Wiedziano tylko, że z miasta nie wyje-

chał, że czasem późnym wieczorem jedzie w kierunku willi, ale nie swoim ekwipażem, tylko zwykłą dorożką, że ztamtąd wraca w humorze jak najgorszym i w dodatku, że dwóch już służących w ciągu jednego tygodnia odpędził! W teatrze nie widywano go nigdy. Wprawdzie utrzymywała pani Aurora, że bywa przebrany na galeryi i stamtąd *à vol d'oiseau* wpatruje się w zielone winogrona, które w loży pierwszego piętra tak roskosznie się rozpierają!...

Najwięcéj na tém cierpiał pan Alfons. Kuzynek skompromitował go wobec tych wszystkich, przed którymi on Laurencyę jako przyszłą swoją kuzynkę w tak świetném wystawił świetle. Do tego opozycya nie próżnowała i codziennie znosiła mu różne przysmaki, które go do rozpaczy przyprowadzały!

Na nieszczęście nie można było jeszcze w téj sprawie wypowiedzieć ostatecznego słowa. Nie przypuszczano, aby to było już ostatnim aktem komedyi. Gdyby miano tę pewność, powiedziano by po prostu, że Jerzy musiał się z drogi cofnąć. Resztę dodawanoby po cichu do ucha. Ale Jerzy jeszcze nie dał za wygraną. Wycieczki jego wieczorne i rekluzy domowe okazywały, że jeszcze nie wyrzekł się swoich planów, że nie przebolał ich i że jeszcze może się kartka odwrócić. Takie położenie wymagało przezorności, wymagało wprawdzie zrobienia pewnéj pauzy, ale nie można było powiedzieć, że już po wszystkiem!

Była to sytuacya bardzo niewygodna. Trzeba się było spotykać z różnemi spojrzeniami, które pytały, z półsłówkami, na które jakoś trzeba było odpowiedzieć, a byli i tacy poczciwcy, którzy prosto z mostu w rzeczy tak delikatnéj pytali:

— A cóż tam do licha, złote runo porwał inny? Czy to prawda?

Daleko lepsze było położenie Teodora. Znajomi mówili o nim jak o człowieku, który się „w czepku urodził.“ Komisarz od akcyzy był takim zwrotem rzeczy zachwycony, a jeżeli jeden i drugi kolega z pewnym zagadkowym uśmiechem na niego spojrzał, każdy jednak miał tyle delikatnego poczucia, że o téj sprawie z nim nic nie mówił. Chociaż bowiem byli tacy, co mu tego „szczęścia bez pracy“ całém sercem zazdrościli, to znowu znalazł się ktoś, który na takie niezarobione szczęście mocno głową ruszał...

Sam Teodor nie zastanawiał się nad tém, czy zasłużył sobie czy nie zasłużył na to szczęście. Każdy człowiek pragnie szczęścia, on czuł się szczęśliwym... a czy zasłużył na to, czy nie, nie było jego sprawą. Mógł wierzyć, że zasłużył, jeżeli nie w przeszłości swojéj, to niezawodnie w przyszłości zasłużyć może! Robił nawet już plany, jak ze swego stanowiska korzystać będzie... dla dobra publicznego!

Pewném jednak było, że się czuł bardzo szczęśliwym. Cała jego postać dzisiejsza wyrażała szczęście. Twarz miał ożywioną, oczy błyszczały zawsze jak dwa Marsy, a ruchy jego były tak swobodne jak u człowieka, któremu wszystko po myśli idzie.

W takiem usposobieniu stawał często przy otwartém oknie i tamże spotykał się z groźném obliczem dyrektora... Często nie widział nawet dyrektora, stał długo i rozmarzoném okiem patrzał wprost naprzeciwko, co poczciwego męża wprowadzało w rozpacz prawdziwą.

Szczęście Teodora nie przeszkadzało mu wrócić napowrót do swojéj pierwszéj kochanki i bieg jéj po niebie dokładnie obliczyć. Sama Laurencya zachęciła go do tego. Rozpoczął więc na nowo rachunek, pisał, rachował i mazał, a chociaż znowu zaszła jakaś pomyłka, wierzył, że do celu doprowadzi.

Nad biegiem drugiéj komety, która w willi zamiejskiéj mieszkała, także czasem się zastanawiał. Rachunek tutaj już prawie był załatwiony, brakło tylko zakończenia, a to już go omylić nie mogło!.. Kochała go, a w zwykłych warunkach życia od miłości do ołtarza nie jest daleko.

I stało się pewnego pięknego wieczora, że wyszedłszy z domu, szedł w prostym przed sobą kierunku, szedł całą godzinę i sam niewiedział, jakim sposobem zaszedł tuż pod bramę willi.

Przy bramie stała dorożka. Zapytany dorożkarz odpowiedział że od godziny czeka tu na pewnego pana, którego przywiózł.

Ogarnął go jakiś niepokój. Zadzwonił u drzwi wchodowych. Wyszła służąca i oznajmiła, że pani dzisiaj go przeprasza, gdyż jest trochę słabą.

Niepokój jego powiększył się. Obawiał się téj choroby. W wyobraźni widział już ją na łożu śmiertelném... widział ją w białéj sukni z kwiatami na głowie... widział trumnę cynkową i karawan wyzłacany...

Nogi jego nie chciały się wstecz wrócić. Przeciwnie obeszły cały ogród do koła i stanęły tam, gdzie właśnie przed tygodniem stał nieszczęśliwy Jerzy, zwyciężywszy takie przeszkody, jakiemi były: żywopłot, fosa z wodą i agrest.

Stał właśnie pod oknem, z którego wychodziło światło różowe. I byłby tam stał do rana i nicby nie był ujrzał, gdyby nie pies kudłaty, który teraz do niego się zbliżył i na wszystkie strony począł go oszczekiwać.

Szczekanie psa zaciekawiło kogoś w różowym pokoju, bo nagle podniosła się stora a znane mu dobrze loczki Angielki zarysowały się na szybie...

Po za Angielką, w głębi pokoju ujrzał misterną fryzurę Laurencyi, która siedziała na fotelu plecyma obrócona do okna. Była w toalecie bardzo starannéj, która wcale nie świadczyła o żadnéj chorobie...

Naprzeciw niéj siedział mężczyzna z czarnemi bakenbardami, które od czasu do czasu palcami rozczesywał. Oboje byli zatopieni w rozmowie...

Czy Angielka nie widziała go, czy tylko nie chciała go widzieć, tego nie mógł odgadnąć. Stora spuściła się napowrót, a on został pod oknem sam, śród ciemności, niepokojony do tego przez psa, który niczém nie dał się uspokoić.

Położenie jego zmieniło się nagle...

Jak w obliczeniu biegu pierwszéj komety, tak i teraz w jego marzeniach zaszła nagle jakaś pomyłka, któréj nie mógł rozwiązać. I bieg drugiéj komety zaczął dla niego być zagadką niemałą!... Dziwna rzecz, że sama Laurencya nazwała się niejako kometą!...

Teodor wrócił do domu, nie rozwiązawszy zagadki. Rzucił okiem na rachunek, który przed wyjściem na stole zostawił, a który tak bliski obiecywał mu już rezultat pomyślny, teraz od razu poznał pomyłkę i... cały rachunek był daremny.

Cóż się stanie z drugim jego rachunkiem? Dotąd wszystko szło dobrze—dziś zaczyna się wkradać zagadka, gorsza od najgrubszéj w liczbach pomyłka!...

Nazajutrz miała ta zagadka się rozwiązać. Przed wieczorem poszedł do willi.. został serdecznie przyjęty. Laurencya była bardzo uszczęśliwiona, rozmawiali przy świetle różowém i błękitném... a nawet zwierzyła mu się, że były pretendent do jéj serca i ręki był wczoraj u niéj z wizytą i że mu najmniejszéj nie robiła nadziei!...

Słowa te były szczere, bo towarzyszyły im niemniéj szczere i bardzo wymowne spojrzenia...

Teodor był teraz w dwójnasób szczęśliwy. Wiedział teraz, że miał rywala i że nad nim odniósł świetne zwycięstwo.

A dowody tego zwycięstwa były nie małe. Mógł słyszeć gorąco bijące serce Laurencyi, czuł drżenie ręki, którą trzymał w swojéj dłoni i słyszał słowa tak roskoszne, na jakie tylko gorąca miłość zdobyć się może.

Powrócił do domu śpiewający. Nie dość mu było czterech ścian zamkniętych—otworzył okna i śpiewał.

Dyrektor po całodziennych czarnych myślach swoich zabierał się właśnie do słodkiego odpoczynku, gdy nagle usłyszał śpiew barytonowy. Przystąpił do okna i ujrzał nieprzyjaciela, który oczywiście Elżbiecie odśpiewywał hiszpańską serenadę!

Biedny dyrektor miał noc bezsenną, a gdy nad ranem zasnął śniło mu się, że widział ogromny pożar, że z ziemi wybuchał ogień z siarką, a on żywcem piekł się na tém ogniu... Szczęściem przebudziła go filiżanka wybornéj kawy, nalanéj własną ręką Elżbiety!

Nie tak szczęśliwym był Teodor po przebudzeniu. I jemu coś śniło się niedobrego. Był niespokojny do trzeciéj godziny po południu, a gdy o téj godzinie do willi przyszedł, zastał tam atmosferę, która wcale do wczorajszéj nie była podobną!

Laurencya przyjęła go zimno. Nie siadła na ulubionéj kanapce pod oknem, gdzie dla obojga byłoby miejsce, ale zajęła fotel tuż obok Angielki, a jemu zostawiła drugi; stał na całą długość stołu od niéj oddalony. I do rozmowy wciągnęła zaraz na wstępie swoją towarzyszkę i wytrwała w tém aż do końca wizyty. Niczém były najkunsztowniejsze zwroty Teodora, aby rozmowę zmienić. Wstawał z fotelu, patrzał przez okno na Marsa i Wenerę, wchodził kilka razy do błękitnego pokoju—Laurencya nie rozumiała dzisiaj jego chęci i pozostała niewzruszona na swoim fotelu. Nie spojrzała nawet ani razu na niego—odpowiadała krótko i węzłowato, jakby najprędzéj chciała się go pozbyć...

Teodor nie mógł rozwiązać téj nowéj zagadki i nie mógł nawet w obec trzeciéj osoby zapytać się o nią.

Wizyta zakończyła się chłodno i sztywnie, jak się zaczęła. Laurencya była zamyślona, gdy mówił do niéj, a czasami nie umiała mu nawet na jego pytania odpowiedzieć, gdyż ich wcale nie słyszała!...

Z ciężkiém sercem wyszedł Teodor z bramy willi, a gościnna gospodyni zapomniała odesłać go karetą, co dotąd zawsze było w zwyczaju!...

Nazajutrz była znowu Laurencya... chorą. Czarna rozpacz pożerała biednego człowieka. Za to nagrodzono go znowu następnego dnia. Laurencya była serdeczna, była ową dawną rusałką z błękitnego pokoju, gdy do różowego uszka szeptał jéj słodkie jak miód słówka...

Takie fluktuacye pogody i słoty nastąpiły teraz w życiu młodego astronoma. Biegu niebieskiéj komety nie mógł w żaden sposób obliczyć, a teraz okazało się, że jeszcze trudniéj o zbadanie komety ziemskiéj, która w czarnym stroju bolejącéj kobiéty przebiega tajemniczą elipsę życia...

Daremnie myślał po całych nocach bezsennych nad jedną i drugą zagadką i gdy zdawało mu się, że już przy końcu, okazało się, że nawet jeszcze nie zaczął!...

Myśli te i troski trapiły go, nadzieja i obawa wyczerpywała siły jego. Wiedział, że pod nawałem tych uczuć niepewnych więdnie i zamiera, lecz krył się z tém cierpieniem przed światem, jak się kryje w niedostępne knieje ptak konający!...

Czasami tylko, gdy burza w jego duszy wrzała, gdy huragan nieokiełznany rozpierał serce jego... okazywał mu się w przezroczu okna przeciwległéj kamienicy cichy profil blondynki, która jakąś prostą piosenkę śpiewała...

Widok tego spokojnego profilu bladéj twarzy — prosta melodya piosenki bez żadnéj forsownéj brawury — i cała otaczająca ten obrazek atmosfera sprawiała na nim wrażenie jakiegoś chłodnego balsamu...

Trwało to jednak bardzo krótko. Ciemna twarz z gorejącém okiem stanęła nagle jak demon przed nim... i jednem skinieniem ręki kazała mu iść za sobą w szalejące morze płomieni...

I on szedł za nią!

XXVII.

Pewnego wieczora ubrał się pan Protazy w swój szlafrok ulubiony i zasiadł na wytartym fotelu przed biurkiem.

Były bohater miłostek wyglądał dzisiaj bardzo niefortunnie. Twarz miał żółtą jak pergamin, usta zakąszone z pewnem wewnętrznem nieukontentowaniem. Małe, ukośne oczka jego połyskiwały jak blask próchna wśród ciemnéj nocy.

Wszystko to, co go dzisiaj otaczało, postarzało się i zamierało z nim razem. Obrazy wiszące na ścianie pożółkły i poczerniały, zegar z rozbitym cyferblatem wyglądał jak okaz antykwarski, firanki u okien zadymione przypominały mgły przedzimowe, a meble starożytnych kształtów uzupełniały cechę starości, która w tém mieszkaniu powoli chyliła się do grobu!...

A przecież dawniéj wyglądało tu wszystko inaczéj. Pan Protazy był młodym, a nawet dosyć urodziwym, umiał się podobać, a to, co go dziś otacza, było wtedy także wraz z nim nowe, świeże i podobało się!... Dzisiaj to wszystko postarzało się wraz z nim, gust się zmienił, inne meble, inne materye zajęły miejsce dawnych, a tu na świadectwo starości swojéj pozostało jak dawniéj było!...

Pan Protazy na tém tle starém wyglądał jeszcze starszym. Nie widać tu żadnéj opieki młodszego pokolenia — żadnéj młodszéj ręki, któraby to otoczenie starego człowieka mogła odświeżyć, odnowić! Nie ma ani dzieci, ani wnuków, owéj szczebiotliwéj drużyny, która

dziaduniowi cień grobu zasłania — nic nie ma... on sam... sam jeden kona tutaj powoli!...

O gdzież jego wspomnienia, któremi karmi się dusza, gdy już od światu ucieka?... W tych wspomnieniach tkwi przecież rozkosz starego człowieka — stają one przed nim jak udatne kopie tego, co dawniéj żyło!... Gdzież są one, dlaczego nie napełnią téj atmosfery, w której już czuć stęchliznę grobu?...

Pan Protazy nie był bez wspomnień. Siedzi on przed biurkiem i otwiera jedną szufladkę po drugiéj. Ztąd wybiera jakieś wiotkie, wypłowiałe papiery, ztamtąd różne rysunki i miniatury. Powoli przeciera je, wykrzywia twarz zżółkłą, a ślina jadowita występuje mu na usta!...

Cóż to za wspomnienia, które taki jad w duszy wyrabiają? Czemuż wywołuje je, aby jak niedźwiadek własnem żądłem się zabijać? Czy sam taki wyrok wydał na siebie?

Obok niego — w mieszkaniu Teodora — kipi właśnie życie w całéj pełni. Przyjaciele i koledzy zeszli się do niego, i wesołą pogadanką przepędzają wieczorek. Śmiech i dowcip nie ustaje — a młode życie wylewa z brzegów czary!...

Dziwny jest kontrast tych dwóch obrazów. Być może, że właśnie ten kontrast tak źle usposobił dzisiaj człowieka, który młodość roztrwonił, a starym być nie umiał!...

Pan Protazy właśnie zabierał się do różowego pakieciku listów i bazyliszkowém okiem swojem już naprzód rozdzierał je i targał — gdy drzwi cicho się otworzyły, a na progu pojawił się zacny jego sąsiad z naprzeciwka.

Dyrektor nie lubił teraz swego sąsiada i często w skrytości duszy przeklinał go siarczyście. On podniósł przed nim zasłonę życia i odebrał mu spokój domowy. Ową rozmową swoją, na którą złożyły się doświadczenia jego, zaszczepił mu jad w duszy, z którego w żaden sposób nie mógł się uleczyć. Na każdym kroku spostrzegał teraz coś, czego dawniéj nie widział — w każdem słowie słyszał to, co dawniéj było mu zupełnie obcem!...

A wszystko to zrobił kochany sąsiad i życzliwy przyjaciel. Za tę życzliwość byłby go teraz jaknajchętniéj wysłał do stu... ale stało się, cofnąć już tego nie można było. Rzucone ziarno rosło i rosło — a przewidywany owoc tego ziarna odbierał mu sen w nocy, a we dnie zadawał mu tortury różnego rodzaju.

Dyrektor był teraz podobny do człowieka, któremu dano do przeczytania książkę lekarską. Dawniéj czuł się zdrowym, po przeczytaniu książki obawiał się téj i owéj choroby — a nawet spostrzegał już zarodki śmierci niedalekiéj!... Nierad był owéj książce le-

karskiéj, gniewał się na nią, że ją czytał, przeklinał wszystkich tych, co takie książki piszą... ale gdy obawa przed urojoną chorobą doszła do najwyższego stopnia, nic mu innego nie pozostało, jak udać się do — autora książki!...

Tak samo uczynił teraz dyrektor. Trapiony czarnemi myślami, nie mogąc sobie tego i owego w sprawach swoich domowych wytłómaczyć, postanowił pójść do człowieka, który pierwszy na takie niebezpieczeństwa życia zwrócił jego uwagę, a który teraz z bogatego swego doświadczenia może mu rady jakiéj skutecznéj udzielić.

Taki był powód dzisiejszéj wizyty.

Gdy poczciwy dyrektor wszedł do pokoju i starego emeryta nad szpargałami ujrzał, miał wielką ochotę wyrzucić go wraz z temi szpargałami za okno z drugiego piętra... Po chwili jednak uśmiechnął się jak dyplomata i podał mu rękę na znak, że mu życie dzisiaj daruje.

Stary mizantrop przeczuł jakąś awanturę małżeńską. Uśmiechnął się do téj myśli, jak pies głodny do mięsa.

— Cóż to, kochany sąsiad archiwum swoje porządkuje? — zapytał dyrektor zaraz po przywitaniu.

— Tak — odparł pan Protazy — to prawdziwe archiwum, to mądrość życia! Piszemy w książkach o systematach filozoficznych i społecznych... teorye do niczego! A tu, kochany sąsiedzie... tu esencya mądrości całéj, która na tem zależy, że wszystko jest złudzeniem!

— Jakto, podjął prędko dyrektor, czy i złe może być złudzeniem?

— Złe... nigdy! To jedno było i pozostanie prawdą pozytywną, która panuje, zacząwszy od potopu świata!...

Dyrektor westchnął nieznacznie. Wesołe głosy w sąsiednim pokoju zdawały mu się przedrwiwać...

— Tak zwane szczęście nasze jest tylko złudzeniem — mówił daléj z zieloną śliną na ustach pan Protazy — wszystko jest złudzeniem, prócz złego!

Dyrektor zaczął obracać palec wkoło palca.

— Przecież nie wszyscy są już tak nieszczęśliwi —odrzekł z widocznem wysileniem...

— O nieszczęśliwych nie mówię — ale o tych, którzy myślą, że są szczęśliwi, a tymczasem... Patrz, dyrektorze, na ten różowy zwitek papieru! Co może w nim być? Czy przeczuwa kto, że tu mieści się historya kilkuletnia pewnéj kobiety, która zupełnie inną była w pozach swoich oficyalnych.... Po latach trzydziestu możesz przeczytać..

za każdém słowem: ach i przebóg!... Niby kochała mnie, a potem. . zdradziła mnie, aby sobie wziąść innego.

— Czy to była mężatka? zapytał nieśmiało dyrektor — a w jakim wieku mógł być jéj mąż?

— Mniéj-więcéj w twoim wieku, dyrektorze — odparł ze złośliwym uśmiechem pan Protazy;—masz szczęście, dodał, że pani Elżbieta innego rodzaju kobieta...

Twarz dyrektora rozpromieniła się. Byłby uściskał i ucałował zacnego sąsiada, gdyby tenże w téj chwili nie miał tak brzydkiego wyrazu na twarzy...

— O i ta była niby innego rodzaju, — mówił dalej zły duch dyrektora — tak sądził mąż a nawet i jego przyjaciele... ale tu... w tych zwitkach papieru jest prawdziwy jéj konterfekt... i to jeszcze niezupełny, bo w innem jakiém biurku może być dopełnienie... Sprytna była, ale i mnie sprytnie zdradziła!...

— Czy nie wiedziałeś, sąsiedzie, że taka, zaprawiona już do zdrady, kobieta każdego potem zdradza?...

— Wszystkie jednakie!... A ten zwój papieru angielskiego z wybladłemi winietami... to znowu historya bardzo czułego serca, którego nikt prócz mnie zrozumieć nie mógł... a jednak po niejakim przeciągu czasu okazało się, że było dla wielu zrozumiałe!...

— Trafiałeś na same złe kobiety!

— A gdzież znajdziesz inne? Czy mało ich tu?

Dyrektor spojrzał smutno na stos papieru.

— Widzisz... wszystkie się przywiązały i wszystkie potem zdradzały haniebnie!... Aż złość bierze człowieka patrzyć dzisiaj jeszcze na dokumenta takiej podłości i nikczemności!...

— A czy ty kochany radco — zapytał nieśmiało dyrektor — czy ty nie byłeś czasem... także podłym?

— Ja podłym? —krzyknął szlachetny człowiek z oburzeniem — ja miałbym być podłym? Przecież powiadam ci na honor, że...

— Ależ bo cała ta sprawa z temi listami...

— Co chcesz! Przecież bocianem nikt nie będzie. Powiadam ci, sąsiedzie, że świat cały, świat ten głupi, to tylko jedno wielkie kłamstwo, że tu czułe kobiety, to jedna wielka blaga, nic więcéj!... Patrz na te żółte listki róży?... kochała, płakała i... poszła za innego!...

— Przyznam się, że i ja nie zrobiłbym inaczéj.

— Zaczekaj... zaczekaj tylko, dyrektorze. Poniosą i wilka kiedyś — a ja jeszcze tego doczekam!...

I wyżółkła twarz malkontenta wykrzywiła się tak brzydkim uśmiechem, aż dyrektor na sufit spojrzał!...

W téj chwili zaleciały przez drzwi sąsiedniego pokoju jakieś dziwne słowa, których dyrektor nie mógł zrozumieć!...

— Co to jest? zapytał niespokojnie.

Pan Protazy uśmiechnął się z roskoszą.

— Nie raz tu słyszę coś podobnego — odpowiedział składając papiery — ale człowiekowi i żółci-by nie stało, gdyby na wszystkich dzisiaj gniewać się musiał. Raz chciałem do rozumu ich przywołać, to powiedzieli, żem zwaryował!... Za moich czasów bywało różnie, ale... dyskrecya była, była tajemnica... człowiek się skradał jak liszka pod cudze okna... a dzisiaj -- słuchaj! Publicznie mówi się o kobiecie, objawia się fakta, chełpi się tém lub owém zwycięztwem... i to gromadnie! Gromadnie!... Słyszysz?

Zdawało się dyrektorowi, że go ktoś znarkotyzował, aby odbyć na nim bolesną operacyę... Stracił nagle czucie i wolę... stał się automatem, który tylko słuch miał zdrowy.

Pan Protazy siedział na obdartém krześle, jak sybaryta wyczekujący smacznéj biesiady!...

Tymczasem co raz głośniej było za drzwiami. Mówiono wiele, dowcipkowano, żartowano.

Zrazu panował chaos w téj rozmowie, tylko pojedyncze, nie wszystkim zrozumiałe słowa zalatywały po za drzwi. Teraz powoli zaczęły się te słowa układać w pewne zdania,

— I gdzież jest kochanka twoja, zacny Teodorze— wołał żartobliwie jeden z kolegów — wskaż nam ją, a damy jéj wszyscy winny pokłon!...

— Czemużeś tak szczelnie okno zasłonił? — pytał głos drugi — czy zazdrość zagnieździła się w sercu twojém?

— Odsłoń nam smukłą jéj postać,— wołał trzeci — niech się dusza nasza jéj wdziękami upoi!

— Mówiłeś, że o godzinie dziewiątéj zjawi się w całym majestacie urody swojéj: czemuż jéj nie ma jeszcze?

Przy tych słowach wyjrzał dyrektor trwożliwie na okna mieszkania swego — były ciemne. Elżbieta wyszła do siostry i zapowiedziała, że dopiéro późnym wieczorem wróci do domu. Dyrektorowi lżéj się zrobiło na sercu.

— Nie dotrzymuje ci terminu—mówił znowu jakiś młody głos za drzwiami — może się jéj przeniewierzyłeś?

— Coś o tém mówią, żeś się przeniewierzył... że nie możesz zrozumieć i obliczyć jéj kroków szalonych... ale wrócisz do niéj, wrócisz!

— Ależ ona sama wraca już do ciebie!... Patrz!

I dał się słyszyć brzęk otworzonego okna...

Dyrektor wydłużył szyję jak bocian, spojrzał na okna w przeciwległéj kamienicy.., a tam właśnie w oknach salonu błysnęło małe światło, jakby od stoczka woskowego... i wkrótce w przezroczu szyby okazała się... postać kobieca.

Była to — Elżbieta. Dyrektor uczuł zimno w całém ciele.

Odetchnął całą piersią i zapytał po cichu:

— O kim to oni mówią?

Pan Protazy ruszył ramionami.

— Albo ja wiem — odparł — zapewne o jakiejś kobiecie, która w taki sposób daje mówić o sobie!

I spojrzał ukośnie na dyrektora.

Dyrektor przełknął, bo coś nagle schwyciło go za gardło. Tymczasem za drzwiami żartowano daléj.

— Daj nam teraz napatrzyć się na nią... nie bądź zazdrosnym dla przyjaciół swoich!...

— Ach to istna zalotnica!... Patrzcie!... Zasłoniła przezroczystą mgłą szybę niebieską, aby tém uroczéj z poza niéj patrzyć na nas!

Dyrektor rzucił okiem na swoje okna... Elżbieta właśnie zasłaniała je firankami...

— A gdzież stary i łysy?

— Schował się!

— Martwa... wypalona bryła ustąpiła się przed najmłodszą córą nieba!

Dyrektor posunął się na krześle.

— O kim oni mówią? zapytał po cichu.

— Nie wiem — odparł pan Protazy — czasami nazywają go księżycem!... zapewnie jest łysy jak księżyc!

Dyrektor posunął ręką po swojéj głowie...

Na korytarzu dały się teraz słyszeć jakieś kroki. Ktoś szedł ostrożnie, macał po drzwiach i ścianach i potykał się. Wreszcie otworzyły się drzwi sąsiednie

W przyległym pokoju nastąpiła cisza.

— List! list! — zawołało kilku.

— Ręka kobieca! — dodał ktoś.

I znowu zapanowała cisza. Właściciel listu widocznie odczytywał go...

— Panowie — ozwał się Teodor, a głos jego brzmiał jakoś niezwykle — przepraszam was, panowie i koledzy — ale interes... nagły interes zmusza mnie do opuszczenia was... darujcie... interes wielkiéj wagi...

— Zgoda! Zgoda! —zawołano chórem—zostawiamy wolne miejsce dla elipsy twego żywota!

I śmiano się jeszcze i żartowano, szukając lasek i kapeluszy.

Dyrektor spojrzał znowu na okna swego domu: były ciemne. Światło znikło.

Porwał kapelusz, pożegnał gospodarza i wybiegł z pokoju. Przesunął się przez wychodzących gości Teodora i czemprędzéj zdążył do domu.

Przebiegł wszystkie pokoje — Elżbiety nie było.

— Gdzie pani? — zawołał cały siny i drżący.

— Była i wyszła — odpowiedziała służąca.

— Jakto — sama?

— Nie... była panna Eufemia.

— Gdzież poszły?

— Do pani Andzi!

Dyrektor się obrócił i wybiegł na ulicę.

Już uszedł kilkanaście kroków, gdy sobie przypomniał, że to na nic się nie przyda. Przyszła mu myśl do głowy, że w takim razie trzeba sobie jakoś inaczéj poradzić. Trzeba się dowiedzieć, gdzie właściwie jego nieprzyjaciel pójdzie.

Obejrzał się wkoło, jak jastrząb szukający ofiary — i zdawało mu się, że go dostrzegł. Ten wzrost wysoki... ten kołnierz podniesiony do góry... Kapelusz miękki, zgnieciony a... to on!

I puścił się za nim.

Serce biło mu głośno. Nigdy nie doznał podobnego uczucia. Była to jakaś dziwna mięszanina. Obawa i trwoga zmięszana z ciekawością, w któréj była jakaś rozkosz prawdziwie szatańska. Zaraził się od pana Protazego. Chciał się czegoś dowiedzieć, pragnął coś obaczyć, przekonać się, a potem... zemścić się, zemścić się okropnie!... Zemsta to potrawa bogów... zimna, ale smaczna, inaczéj nie jedliby jéj bogowie!...

Dyrektor szedł daléj! Zapomniał już prawie o nieszczęściu swojem... tylko pałał zemstą! To sprawiało mu roskosz, jedyną, do jakiéj był zdolny w téj chwili!...

Nie ma większego nieprzyjaciela dla człowieka, jak własna jego wyobraźnia. Taki groźny nieprzyjaciel szedł teraz razem z dyrektorem. Szeptał mu do ucha, przesuwał mu poprzed oczy obrazy, na jakie nie zdobyłby się żaden ołówek artysty!... Krew wrzała mu w żyłach, domy kręciły się wkoło, jakby je kto obracał!...

Do tego, trzeba było jeszcze iść z wszelką ostrożnością. Trzeba było wybierać chodniki ocienione, aby adwersarz pogoni nie spostrzegł. Trzeba było więcéj drogi zrobić, niźli adwersarz, a mimo to nie można było zgubić go z oczu, trzeba było być tuż za nim!

Adwersarz był właśnie na skręcie ulicy... trzeba było dobrze uważać, gdzie skręci... gdy nagle zbliżył się jakiś biedny chłopiec do dyrektora.

— Przepraszam pana — ozwał się do niego płaczącym prawie głosem — czy nie mógłbyś mi pan powiedzieć, która godzina?

Często spotykało dawniéj dyrektora takie zapytanie. Uśmiech jego dobrotliwy zachęcał biednego przechodnia do tego. Lubił nawet, że mu okazano zaufanie i z pewną przyjemnością wyciągał z kieszeni patentowany, angielski chronometr, aby skrupulatnie odpowiedzieć na zapytanie, które dla pytającego może mieć wielką wagę. Dzisiaj jednak był już jakoś innym człowiekiem. Zapytanie biednego chłopca nie tylko nie sprawiło mu żadnéj przyjemności, ale uczuł nawet jakiś wstręt do pytającego. W pierwszéj chwili chciał go nawet trzciną potraktować, ale wstrzymał się i krzyknął tylko:

— Idź precz! Nie stawaj mi w drodze!

Biedny chłopczyna ustąpił się, a dyrektor wysilił wzrok swój, aby adwersarza nie zgubić, pobiegł daléj.

Uszedłszy dziesięć kroków, zatrzymał się. Poczciwe jego serce zaczęło mu wyrzucać, że popełnił uczynek nieludzki. Kto wie, na co biednemu chłopcu potrzeba godziny, kto wie, czy mu się co złego nie stanie z powodu niewiadomości? myślał sobie dyrektor i... wrócił się.

— Mój Boże!—rzekł do siebie—biegnąc za chłopcem — jak to człowiek zmienia się w nieszczęściu! Staje się złym, nieludzkim, nieuczynnym, egoistą!...

Dopędził chłopca, zatrzymał i powiedział mu dokładnie, która godzina.

Obrócił się... adwersarza już nie było!

— Otóż masz!—mruknął do siebie niezadowolony—na co to się zda być dobrym człowiekiem! Uciekł i śmiać się będzie z głupca, którego biedny chłopiec zatrzymał.... A może on naumyślnie sam tego chłopca namówił, aby mię zatrzymał?... Może tym sposobem chciał ujść pogoni?... Tak niezawodnie... to on sam namówił go... O ludzie są źli i podstępni! Pan Protazy ma słuszność! Wszystko, co dobre, to złudzenie, a złe jest pozytywném!...

Adwersarz umknął!... Dyrektor przyspieszył kroku, przerznął na chybił trafił jedną poprzecznicę... i dobry uczynek jego został nagrodzony! Obaczył adwersarza!... Pobiegł za nim.

Przechodził właśnie na chodnik zaciemniony, gdy jakaś biedna kobieta, z dzieckiem na ręku, zastąpiła mu drogę. A była to właśnie najkrytyczniejsza chwila dla dyrektora. Adwersarz wszedł między

kolumny narożnego domu i tam mógł się łatwo zgubić. Ofuknął więc kobiétę a nawet ręką trącił...

I znowu powtórzyło się to, co było z chłopcem. Dyrektor wyrzucał sobie, że nie tylko kobiecie nic nie dał, ale nawet nielitościwie ręką ją odepchnął. Może ona dzisiaj nic nie jadła? Może dziecko głodne?... myślał sobie i wszystko zwalił znowu na swoje nieszczęście, które tak człowieka z gruntu zmienia! Wstydził się swego postępowania, wstydził się sam siebie i... wrócił się.

Kobiéta biegła, trzeba było także za nią biegnąć... wreszcie dopędził, dał jałmużnę, dał więcéj niżeli chciał, bo nie było czasu szukać drobniejszéj monety... a tymczasem znowu znikł mu z przed oczu adwersarz!

Był bliski rozpaczy. Na szczęście nadjeżdża dorożka. Siada do dorożki i każe jechać w kierunku domu z kolumnami, kontent, że znowu wynagrodził go pan Bóg dorożką.

Przyjemniéj jakoś zrobiło się dyrektorowi w dorożce—już był bliski domu z kolumnami, gdy nagle z kamienicy wyszła jakaś niska, dosyć otyła figura w cylindrze na głowie.

Nieznajomy zajrzał do dorożki i zawołał.

— Stój!... a!... kochany pan dyrektor! A gdzież to tak spiesznie?...

— Dobry wieczór księdzu kanonikowi... ja... tak... — jąkał dyrektor.

— A ja wracam z trzech roberków... wyobraź sobie dyrektorze... miałem dwa asy, trzy króle i dwie damy dobrze obsadzone. Odzywam się: bez atout! Cóżbyś ty, dyrektorze, w takim razie powiedział?

— Ja... ja... bardzo przepraszam...

— Ależ to bez żadnego przeproszenia można powiedzieć... a radca Jacenty z góry na mnie za to... że potém nie można było tyle zrobić, ile potrzeba! Przecież dwa asy...

— Przepraszam, illustrissime... jadę... po doktora!

— Po doktora! A cóż tam znowu? Czy może żona...

— Tak... żona... zachorowała!

— To mnie mocno martwi... do którego lekarza?

— Do... Jakóba...

— Ależ pan Jakób nie mieszka tutaj!

— Zapewnie się wyprowadził...

— Od roku!... Zaczekaj dyrektorze... siądę do dorożki i z tobą pojadę, aby ci okazać...

— Nie... nie... dziękuję ci, księże kanoniku... wpadnę tutaj do pierwszego lepszego... Jedź, jedź mój przyjacielu!

Dorożkarz zaciął konie a kanonik został na bruku.

I teraz jeszcze sprzyjało szczęście dyrektorowi. Po małym kwadransie znalazł znowu adwersarza. Kazał stanąć, wysiadł i zapłacił. W niejakiém oddaleniu puścił się za nim.

Teraz szło mu już lepiéj. Ulice były przedmiejskie, bezludne. Można było zdaleka obserwować adwersarza i pilnie strzedz go.

Szli tak obaj dosyć długo. Wreszcie zaczął się adwersarz oglądać. Dyrektor rozśmiał się i rzekł do siebie: Już go mam. Na złodzieju czapka gore! Ogląda się—zapewne już blisko jest umówionéj schadzki!

Adwersarz coraz częściéj zaczął się oglądać. Skręcał to na prawo, to na lewo, i oglądał się. Dyrektor nie spuścił go z oka i szedł trop w trop za zwierzem.

Marsz ten z różnemi ewolucyami trwał długo. Minęła godzina jedna i druga. Adwersarz wyszedł już za miasto w czyste pole. Dyrektor za nim. Serce mu biło.... adwersarz widocznie niepokoi się, jak zwierz szczwany...

Wreszcie na skręcie drogi odwraca się nagle adwersarz i gromkim głosem krzyknie:

— Kto jesteś i czego chcesz?

Dyrektor osłupiał... był to człowiek zupełnie nieznajomy!...

— Czegoś pan przedemną tak uciekał?—zapytał z swojej strony oburzony dyrektor.

— Cierpię na wątrobę i zwykle przechadzam się do dwunastéj godziny w nocy!

— Przeklęta wątroba... ja myślałem, żeś pan... mój dobry znajomy, którego chciałem dopędzić!

I obaj wrócili do miasta, gdy właśnie na wieży biła godzina dwunasta.

Dyrektor pożegnał przymusowego towarzysza—wszedł zmęczony do domu—a w domu spali już wszyscy!

Nic się nawet nie mógł dowiedzieć.

XXVIII.

Podczas, gdy dyrektor za nieznajomym człowiekiem taki kurs forsowny odbywał, zbliżał się Teodor do willi, w któréj, według otrzymanego listu, miało się odbyć coś nadzwyczajnego.

List, który go tak nagle od towarzyszów oderwał, a który teraz jako nierozwiązaną zagadkę trzymał w zanadrzu, przy sercu gwałtownie bijącém—był otwarty i dosyć zrozumiały.

„Mój panie — pisała Laurencya — nie umiem być nieszczerą. Zawsze czytałeś pan w duszy mojéj i widziałeś, co się tam dzieje. To, co tam widziałeś, dało ci prawo do pewnych marzeń i nadziei, które razem z panem podzielałam. I dzisiaj, gdybyś przyszedł, mógłbyś otwarcie w tem samém sercu czytać — ale to cobyś tam wyczytał, sprzeciwiałoby się właśnie powyższym marzeniom naszym i nadziejom!... Tak jest—mój panie—dzisiaj inny wiatr wieje w duszy mojéj! Nie umiem się z tego nawet wytłómaczyć. Nie przeczę, że byłam szczęśliwą, bardzo szczęśliwą z marzeniami naszemi wspólnemi—zdawało mi się, że innego szczęścia nie znajdę i że go nigdy szukać nie będę. Tymczasem inaczéj się stało. Czuję, że coś mnie rwie w inną stronę, że mnie coś pcha w odmiennym od pana kierunku!... Niedawno chciałeś pan obliczyć bieg komety i poświęciłeś wiele pracy napróżno! Zjawiła się przed panem kobiéta, którą z powodu nieregularnego jéj biegu można także zaliczyć do komet. Jak pan nie mogłeś obliczyć biegu pierwszéj komety, nie wiedząc, co ją tam w przestworach niebieskich odpycha i przyciąga, tak samo nie obliczysz drogi kobiéty-komety, jaką przebywać musi. Ja sama nie wiem, co i gdzie mnie przyciąga, czuję tylko potrzebę iść taką drogą, która na pozór nie ma żadnego przyciągającego ogniska. Dla tego, niech to pana nie zadziwia, jeśli dzisiaj się oddalam—to może moje przeznaczenie, tak samo jak przeznaczeniem komety jest nie mieć dla siebie pewnego widzialnego punktu, który ją przyciąga i trzyma... Być może, że wyjadę, być może, że co innego ze mną się stanie, w każdym razie jednak bądź pan przygotowany na to, że mogę dla pana zupełnie zagasnąć i zniknąć z horyzontu! To los każdéj komety—smutny i opłakany—ale konieczny. Najlepszym wstępem do téj nieuniknionéj konieczności będzie, jeżeli przez jakiś czas wcale się widywać nie będziemy. Ułatwi to nam zupełny rozbrat, jeżeli to będzie konieczném. Nie potrzebuję panu mówić, że piszę te słowa z wielką boleścią. Spodziewam się, że znajdę u pana na tyle litości, iż obecnością swoją nie zechcesz téj boleści zwiększać.“

Kobiéta, która ten list przed godziną pisała, nie kłamała wcale. Po wysłaniu listu siedziała długo przy biurku z twarzą zakrytą rękami. Cała jéj postać zgięła się w kabłąk, pierś zapadła a ramiona podnosiły się z pewném wytężeniem do góry, jak to bywa przy ciężkim oddechu.

Minęło dosyć czasu. Wreszcie podniosła się. Miała oczy szkliste, jakby od łez. Usiłowała uśmiechnąć się, ale uśmiech ten przybrał wyraz goryczy i ironii.

Zbliżyła się do Angielki.

— Co pani sądzisz o samobójstwie — zagadnęła znienacka spokojną kobiétę, która jakąś koronkę robiła.

— Samobójstwo—odparła Angielka, zbierając spadłe oczka — jest zawsze brzydką zbrodnią! Dlaczego pani pytasz!

— Bo właśnie przed chwilą popełniłem je!

Angielka odłożyła robótkę.

— A!... tak!...—rzekła po chwili—takie samobójstwa są nie szkodliwe! Przyzwyczajamy się do życia... pośmiertnego!

Zapadła pierś Angielki westchnęła nieznacznie.

— Czy sądzisz pani—pytała Laurencya—że każda kobiéta ma mniéj więcéj te zbrodnie samobójstwa na swojem sumieniu?

— Nie powiem, że każda... ale wydarza się to często!

— Czy konieczność ta jest wytłómaczoną, która ją zmusza do takiego samobójstwa?

— Dla niéj zawsze jest wytłómaczoną, inni nie widzą jéj!... Zresztą cała natura nie jest niczem inném, jak dobrze obmyślaném systemem... samobójstwa!

— Nie mogę tego pojąć, nie mogę sobie wytłómaczyć, a jednak...

— Jednak tak się dzieje i dziać będzie!

— Sądzisz więc pani...

— Ja nic o innych nie sądzę. Każdy człowiek sam siebie osądzić powinien!

— Są pewne zachcenia, uczucia i marzenia, które przemijają!

— Wszystko przemija!

— Niektóre przecież trwają dłużéj i nie opuszczają nas aż do śmierci.

— To prawda... naprzykład... potrzeby życia i staranie się o nie!

— Te potrzeby życia można sobie uprzyjemnić...

— Jeżeli mamy dostatki.

— I możność przyjemnego użycia tych dostatków...

— Niezawodnie.

Nastąpiło milczenie. Laurencya patrzała przed siebie, jakby coś w powietrzu widziała. Oczy jéj rozjaśniały się coraz więcéj, twarz przybierała wyraz weselszy.

— Narzekamy nieraz na stosunki światowe — ozwała się po chwili, jakby mówiła do swoich myśli — twierdzimy, że szczęście w ciasnéj tylko zamyka się przestrzeni... ale bodaj czy owe stosunki, owe drobne akcesorya naszego życia nie są jeszcze najlepsze ze wszystkiego?... Przynajmniéj można niemi życie zapełnić i z nudów nie trzeba umierać!... Wszystko inne znudzi! Czyż nie prawda?

— Nie wiem, co pani tém „wszystkiem“ nazywa!

— Wszystkie uczucia i marzenia nasze!... Mężczyzna naprzykład szaleje za kobiétą .. kobiéta ta ma inne obowiązki... ale niczem nie ugaszona miłość łączy ich serca razem... ona poświęca wszystko i siebie... uciekają oboje i wobec gwiazd i księżyca przysięgają żyć razem do śmierci!... Czyż nie wiadomy jest koniec takiego dramatu?... On zazwyczaj porzuca ją—a ona, złamana i upokorzona wraca do obowiązków!... I takiemu uczuciu zaufać?

— Tak... takie uczucia przemijają?

— Cóż więc zostaje?

— Zostaje to, co się stało naszém—obowiązkiem!

— Obowiązek!... Jakie to brzydkie słowo w sferze uczucia?

— Może jeszcze najlepsze z tego wszystkiego, co ludzie dla swego szczęścia wymyślili!

Nastąpiła pauza. Angielka robiła daléj koronkę. Palce jéj biegały szybko, tylko głowa była nieruchoma jak u posągu z kamienia. Laurencya westchnęła.

— Prawda -- ozwała się po chwili — może jeszcze najlepszy z wszystkiego jest ten obowiązek!... Ale w takim razie trzeba go sobie uprzyjemnić. Trzeba ozłacać te kajdany, które wkładamy na ręce! Nie napróżno lubią kobiéty nosić złote bransolety! To wyborna oznaka niewoli!

— Czasami kobiéty lubią... niewolę!

— Nie... nie... nie! Nigdybym nie zniosła żadnéj niewoli! Czy wiesz pani, że mogłabym pogardzać mężczyzną, którego-bym... bardzo kochała!... Takie uczucie jest także niewolą. Oddaje ono nas pod bezwzględne panowanie mężczyzny, co bynajmniéj nie byłoby mojém szczęściem!

— Mówią, że kobiéty, które mocno kochają, nie są szczęśliwe!

— I prawdę mówią!... Nie chcę mocno kochać... i nigdy tak kochać nie będę. Czuję, że taka miłość nie byłaby mojem szczęściem... Chciałabym tylko być—kochaną!

Angielka poruszyła głową.

— Być kochaną—odrzekła—a nie kochać, to rzecz trudna!

— Właśnie dlatego ciekawa i zajmująca, a przedewszystkiém bardzo wygodna! Można żyć lat sto i zawsze dobrze wyglądać!

— Jeżeli kto to potrafi!... Nic nikomu nie dać, a wziąć mu wszystko!...

— To sztuka wprawdzie—ale bywa to czasem!

Laurencya zamyśliła się. Oczy jéj rozpromieniały się coraz więcéj, na usta wracał uśmiech zalotny.

— Nic nie dać—powtarzała do swoich myśli—a wziąć wszystko! Ale czyż ten będzie miał co do wzięcia?...

Po twarzy przemknął smutny wyraz.

— Jakto nie?—rzekła z wypogodzoném czołem—są rzeczy realne, rzeczywiste, a te bierze się! Naprzykład, gdy mąż jest senatorem, to bierze się jego pensyą, jego zaszczyty, jego stosunki towarzyskie... a czyż to mało?

— Czasami to wystarcza!

— Ręczę, że na dłużéj wystarcza, niżeli te wszystkie urojenia nasze, te oscylacye serca, które nam sen spokojny odbierają, te wzruszenia duszy, które nam w szale, jakby dzieciom szopkę, jakieś tam niebo obiecują!... Nie, nie, nie!... To tylko jest trwałem, co przetrwało wieki i trwać będzie do końca świata, choćby na to krzyczano, jako na złe społeczne!...

Wstała szybko z fotelu i zadzwoniła.

Weszła służąca.

— Gdyby pan Jerzy chciał wejść — rzekła do niéj — to dzisiaj przyjmuję go!

Angielka nic na to nie odpowiedziała. Twarz jéj miała jak zawsze wyraz posągowy.

Po odejściu służącéj lekkim krokiem zbliżyła się Laurencya do zwierciadła i z uśmiechem zalotności zaczęła poprawiać sobie fryzurę. Marzyła o czemś przyjemném w téj chwili, bo twarz jéj rozpromieniała się coraz więcéj. Zaczęła nawet nucić sobie jakąś wesołą aryjkę.

— Czy sądzisz pani — ozwała się po chwili do Angielki — że w ładnej, wieczornéj tualecie mogłabym się wyróżnić od innych? Czy nie byłabym tam przynajmniéj ostatnią?

— O to się nie trzeba obawiać!

— Ale tak.... w większym salonie...

— Choćby nawet u księżnéj!

Laurencya zaczęła głośniéj nucić. Oglądała się w zwierciedle na wszystkie strony.

Nagle—na drodze prowadzącéj do willi dał się słyszeć turkot. Laurencya zamilkła i zaczęła nadsłuchiwać.

Szczególny wyraz miała w téj chwili jéj twarz. Przebiegały po niéj jakieś światła i cienie — radość i obawa. Wstrzymała oddech i słuchała daléj...

Wreszcie błysnęła jéj twarz jakby od łuny pożaru, usta zadrżały a oczy zapaliły się jak dwie pochodnie... Wyprostowała się, jakby głową do sufitu chciała dostać...

Roześmiała się czystym, dźwięcznym śmiechem.

— To zabawne!—ozwała się do Angielki—lada powiew wiatru, lada turkot powozu... zwali całą filozofię kobiecą!... Czy słyszysz

pani? Wobec tego, co ten turkot budzi w sercu mojém, jaką roskosz tam zapala... czemże są wszystkie przedchwilowe postanowienia moje?... Obawiałam się, że gdy list mój odbierze... zechce tu przyjechać!... Obawa moja spełnia się, ale oraz budzi w mem sercu taką roskosz... nie, téj roskoszy nie zrzeknę się za nic w świecie... wolę kochać i być niewolnicą człowieka, który tak mnie kocha!... *C'est ridicule*... Ale ja sama nie wiem, co się ze mną dzieje... wiem tylko, że jestem — szczęśliwą!... Trzeba dany rozkaz odwołać... niech żaden cień złowrogi nie staje między mną a nim!

I jakby na skrzydłach szybko pobiegła ku drzwiom...

Drzwi właśnie otwierały się w téj chwili...

Laurencya przycisnęła ręką serce, aby z piersi nie wyskoczyło... odetchnęła głęboko, aby na przywitanie nie zabrakło jéj tchu...

We drzwiach ukazał się — Jerzy.

Laurencya stanęła jak wryta. Ręka z piersi opadła, przez otworzone usta żadne nie wyszło słowo — a cała jéj postać była w téj chwili podobną do kamiennego posągu.

XXIX.

Szczególne było to spotkanie dwojga ludzi, którzy przecież tak blisko siebie byli. On zatrzymał się przy progu, jakby daléj iść nie miał, a ona stała w miejscu nieporuszona, jakby mu bronić chciała przystępu.

Wreszcie wyraz złowrogi błysnął w jéj oczach.

— Nie spodziewałam się — rzekła z blademi ustami — ujrzéć pana u siebie tak rychło!

— Czy przyszedłem zawcześnie? zapytał z ironicznym uśmiechem Jerzy.

— Może... zapóźno!

— W takim razie nie moja w tém wina. Codziennie kazałem się anonsować i codziennie doznawałem zawodu. Nie wierzę nawet dzisiaj szczęściu memu...

— I słusznie pan robisz — stało się to tylko przypadkiem!

— Czyż wolno mi z tego przypadku korzystać?

— Spodziewam się, że dla pana nie ma w tém żadnéj korzyści!...

— Bądź-co-bądź możemy o tém pomówić... nie weźmiesz mi pani za złe, że po dawnemu rozgoszczę się.

Laurencya cofnęła się do stołu.

— *Bon jour madame* — ozwał się do Angielki z przyjemnym uśmiechem.

— *Bon jour monsieur* — odpowiedział nieruchomy posąg.

Nastała krótka rozmowa o deszczu i pogodzie. Laurencya zaczęła się powoli uspokajać. Wzięła jakąś fotografię i usiłowała pilnie się jéj przypatrywać.

Angielka zrozumiała swój obowiązek. Przerwała rozmowę i odeszła w sam róg pokoju, gdzie na małym stoliczku stała świéca nakryta umbrelką. Przy téj świecy zaczęła szukać pogubionych oczek w swojéj robocie.

Jerzy miał teraz wolne pole do rozmowy z Laurencyą. Laurencya była prawie spokojną. Dawne jéj wzruszenie przeminęło—został tylko jakiś spokój niedobry.

Jerzy podsunał do niéj swój fotel.

— Spodziewam się,— ozwał się — że rozmowa dzisiejsza w takich warunkach między nami będzie ostatnią!

— Zaręczam panu, że tak będzie! — spokojnie odpowiedziała Laurencya.

Jerzy uśmiechnął się z lekką ironią. Podrażniło to Laurencyę. Przelotny rumieniec przemknął po jéj twarzy.

— Jeśli pan nie wierzy—rzekła z niezwykłem drżeniem głosu— to możemy natychmiast przerwać naszą rozmowę i zrobić, żeby ona była ostatnią!

Powstała z fotelu.

— Wszystko wolno pani zrobić—odparł z powagą Jerzy — ale wprzódy musisz pani kilka słów odemnie wysłuchać, aby cała sprawa miała jakieś zakończenie!

— Słucham pana.

Jerzy spojrzał na Laurencyę. Była w téj chwili bardzo piękną, piękniejszą niż kiedykolwiek. Było coś posągowego w tych regularnych rysach, chociaż czuć było, że w tym posągu gore w téj chwili, jak w piekle...

— Chciej pani tylko wstecz rzucić okiem — zaczął...

— Idę zawsze naprzód przerwała Laurencya — i w tył się nigdy nie oglądam!

— A właśnie za nami w tyle zostaje nieraz najlepsze nasze wspomnienie...

— Do których prawdopodobnie nie masz pan prawa należéć!

— Właśnie w obronie tego zakwestyonowanego prawa przychodzę.

— Naprzód ubolewam nad panem.

— Zawsze miałem dobre wyobrażenie o sercu pani!

— Serce moje do mnie należy...

— Dziękuję pani za te pierwsze słowa pociechy, która się słusznie należy przebytym cierpieniom!

Wierzchnia warga Laurencyi podniosła się wesołym uśmiechem, jakim odpowiedź swoją zaprawić miała, gdy zmrużone oczy zwróciły się nagle na twarz Jerzego.

Na twarzy Jerzego były rzeczywiście ślady umartwień. Uśmiech Laurencyi zatrzymał się.

— Pan potrafiłbyś... cierpieć?—ozwała się z pewną ciekawością— pan, który tak na chłodno rozmawiałeś ze mną niedawno? To byłoby rzeczywiście... bardzo zabawnem!

Jerzy patrzał czas niejaki w milczeniu na Laurencyę.

— I dzisiaj nie chcę inaczéj z panią rozmawiać. Chcę być zimnym, jak lód... chcę tam, gdzie nie wystarcza uczucie, przemawiać do rozumu i rozsądku!

— Na téj drodze nie zajdziesz pan daleko!

— Niech mi wolno będzie spróbować.

— Słucham pana.

Laurencya założyła ręce. Na jéj twarzy zapanował spokój.

— Przypomnisz sobie pani — zaczął Jerzy — że niedawno temu marzenia splatały się razem w jedno pasmo...

— Po cóż pan przeszłość budzisz?... Czyż ja temu winna, że ta chwila należy dziś do przeszłości?

— Przyznam się chętnie do winy. Byłem może zbyt pewnym swego szczęścia...

— Albo raczéj namyślałeś się, czy iść daléj, czy cofnąć się..

— Być może, że i to myślałem!...

— Cóż za bezprzykładna szczerość!

— Dalszy bieg rzeczy przekonał mnie, że cofnąć się nie mogę, że panią... kocham!

Laurencya chciała się rozśmiać, ale uśmiech zatrzymał się w połowie drogi.

— Pan mnie kochasz?—rzekła bez uśmiechu — pan powiadasz, że dopiero teraz przekonałeś się...

— Mówię szczerze i otwarcie. Taka natura ludzkiego serca. Pani znałaś dobrze tę naturę i użyłaś téj znajomości...

— Zwracając się w inną stronę... nieprawdaż? Zazdrość dopiero stała się probierzem uczuć pana...

— Przyznaję się, że tak było w istocie!

Laurencya patrzała na Jerzego.

— Szczerość za szczerość — odrzekła — i ja przyznaję się, że w takim celu zwróciłam się w inną stronę...

— A osiągnąwszy cel?

— Przegrałam z sobą sprawę!

Jerzy rzucił się na krześle.

— Co pani mówisz? — zapytał.

— Szczérą prawdę. Możesz pan czuć na moich pulsach, co się w téj chwili w mém sercu dzieje!

I podała mu obie drobne rączki. Jerzy wziął te rączki i trzymał je czas niejaki w swoich dłoniach. Czuł, że wszystkie pulsa biły z podwojoną siłą.

— Więc pani go kochasz? — zapytał po chwili.

— Kocham całą duszą!

— Nie mając z razu zamiaru?

— Nie mając z razu żadnego zamiaru! Kto jaką bronią wojuje, od takiéj broni ginie!

Słowa te wymawiała Laurencya z uśmiechem smutnym, który jéj twarzy dodawał niewysłowionego wdzięku. Jerzy patrzał również ze smutkiem w tę twarz, i trudno było poznać, czy w téj chwili myślał o sobie, czy o mniemaném nieszczęściu młodéj kobiety!...

Po chwili odetchnął i mówił spokojnie:

— Wierzę temu, co pani powiadasz. Serca, które wiele cierpiały, a więcéj jeszcze prawa miały do szczęścia... serca takie nie mogą zostać bez wzajemności tam, gdzie dla nich zapłonie jakieś uczucie szlachetniejsze!... Całem mojem nieszczęściem jest, że — spóźniłem się! *Trop tard* — to najstraszniejsze słowo w dziejach serca!

Zamilkł i spuścił oczy w ziemię. Laurencya bawiła się koronką.

— Pozwolisz jednak, pani, na to zwrócić uwagę — mówił po chwili daléj — że ten, o którym się pani zdaje, że go kochasz...

— Ależ ja go kocham na prawdę — przerwała żywo Laurencya — a w téj chwili może więcéj, niż kiedykolwiek! Gdybyś pan go widział, jak on mówi ze mną!... Gdybyś pan patrzał w jego twarz, jak na niéj grają te uczucia, które tylko szczery zapał wzbudzić może... bez żadnéj przymieszki owych pokostów światowych, które za każdym swobodniejszym ruchem twarz nam ściągają i nie pozwolą być tém, czém jest serce w téj chwili!... Gdybyś pan raz tylko przy mnie go widział... nie!... on jest wtedy więcéj, aniżeli człowiekiem!... I ja nie mam go kochać? Ja nie mam być szczęściem jego sama szczęśliwą?...

Laurencya patrzała w téj chwili z taką szczerością w twarz Jerzego, jakby to nie był rywal, ale najlepszy przyjaciel!...

Jerzy przyjął rolę przyjaciela, choć mu to widocznie przychodziło z niejaką trudnością. Milczał spokojnie czas niejaki, podczas

gdy Laurencya rozognionêm okiem zdawała się ścigać jakieś roskoszne obrazy.

— Pani kochasz — mówił po chwili Jerzy — a chociaż tutaj stroną jestem, nie widzę jednak w têm nic dziwnego. Serce nie lubi korzystać z cudzych doświadczeń, ale chce zawsze samo doświadczać. Pomyśl jednak pani, że ta miłość dzisiejsza jest miłością... bez przyszłości?

— Bez przyszłości?

— Jest to woń cudnego kwiatu, która ulatuje — jest to różowy obłok mgły, który znika przed słońcem — jest to niewyraźny dźwięk harfy eolskiéj, który zdaje się zapowiadać melodyę, a nigdy jéj nie zagra!...

— A jakąż miłość chcesz mi pan dać?—z zadziwieniem zapytała Laurencya.

— Ja chcę najrzód dać pani moje nazwisko, które jest kluczem do wszystkich rzeczywistych pozycyj życia. Wchodzisz pani od razu jako kobieta pewnéj pozycyi i nie potrzebujesz dopiero zdobywać jéj, albo w odosobnieniu tułać się po ziemi, jak się tuła kometa po niebie...

— Czemu użyłeś pan tutaj słowo „kometa?"—przerwała z pewną namiętnością Laurencya.

— Użyłem go przypadkiem — mówił daléj spokojnie Jerzy — zdawało mi się, że owa błędna, z powszechnych praw wyłamująca się gwiazda, najlepiéj odpowiada dzisiejszemu położeniu pani!.. Nie mówię tego od siebie, ale idę za opinią powszechną.

Laurencya zamyśliła się.

— Więc powiadasz pan, że opinia powszechna...—ozwała się z pewnem zamyśleniem.

— Opinia powszechna lubi brać rzeczy z najgorszéj strony, i wcale nie pyta o to, że komuś wielką krzywdę wyrządzi!...

— Sądzisz pan, że i mnie wyrządzono krzywdę?...

— Inaczéj nie byłbym się tak długo ociągał z moją ostateczną decyzyą... Musiałem walczyć, musiałem wiele zniszczyć a wiele naprawiać... Musiałem iść krok za krokiem i to z wielką uwagą, aby nie zaszkodzić téj, którą miałem postawić na piedestale...

Laurencya patrzała zamyślona przed siebie. Po jéj twarzy przebiegały jakieś cienie i światła — w oczach grały kolory ognia.

— Więc miałam wiele nieprzyjaciół?—wyszeptały jéj drżące usta.

— Są to zwykłe dzieje. Każda wypukłość, która w jakikolwiek sposób po nad zwykły poziom wystaje, zatrzymuje na sobie to wszystko, co niesie wiatr lub fala wody. Będzie tam czasem kilka ziarnek

złotego piasku, kilka kwiatków zerwanych burzą; ale będą i nieużyteczne zużle i zwitki śmieci, które woda niesie!

Laurencya westchnęła.

— Trzeba było długiéj pracy — mówił daléj Jerzy — aby te wszystkie przypadkowe naleciałości usunąć i bronić, aby nowych śmieci fala nie przyniosła... trzeba było ludzi powoli przekonywać, że te naleciałości nic nie mają wspólnego z przedmiotem, na którym się oparły... a w końcu trzeba było dzieło to uwieńczyć pewnym tryumfem...

— Nie spodziewałam się, że otoczenie pana jest tak trudne...

— W takiém położeniu bardzo trudne i wybredne! Wszystko inne daruje i wybaczy, tylko...

— Tylko niezwykłéj pozycyi kobiety...

— Niezwykła pozycya kobiety jest wielkiem dla niéj nieszczęściem. Wszystko się jéj czepia — jedno jest tylko dla niéj lekarstwo!

— Jakie?

— Wejść w taki związek małżeński, w którymby nie było nic niezwykłego!

— Więc taki ofiarujesz mi pan związek małżeński...

— Nie inaczéj!

— Nie mogę pojąć, kiedy byłby podobny związek niezwykłym?

— Wtedy, gdybyś pani naprzykład chciała poślubić owego młodego człowieka, którego masz blisko siebie. Byłoby to bardzo romantycznie — młody ubogi młodzieniec miałby piękną, bogatą żonę... ale pani nie miałabyś razem z nim owéj rzeczywistej, towarzyskiej pozycyi, która każdéj kobiecie, a przedewszystkiem pani, koniecznie jest potrzebną! Oboje moglibyście jako kochankowie latać po niebie, podróżować po cudzych krajach, mieszkać w hotelach i do teatru chodzić — ale nie bylibyście członkami pewnego społecznego kółka, które koniec końców najwięcéj jeszcze daje ludziom szansy do życia przyjemnego.... To zostaje — tamto przemija!

Laurencya patrzała w ziemię zamyślona. Piersi jéj podnosiły się i opadały jak fale wezbranéj wody. Odetchnęła głęboko.

— Dziwna rzecz — ozwała się — właśnie przed przyjęciem pana mówiłam o czemś podobnem z mis Rozą!...

— Byłaś pani zapewne w trzeźwém usposobieniu — podczas gdy moje zjawienie się rozdrażniło trochę to piękne, szlachetne serce...

— Nie mów pan w téj chwili o sercu —przerwała cierpko Laurencya... wszak pan wiesz, że w domu *d'un pendu on ne parle jamais*

de corde!—dodała z uśmiechem. — Całe moje nieszczęście, że zbyt wiele mam serca...

— Jest-to naszem nieszczęściem — ale najlepszém na to lekarstwem jest bardzo zwykły i prozaiczny może związek małżeński z różnémi jego obowiązkami i licznemi drobnemi serwitutami, które niespokojne serce trzymają w należytéj subordynacyi!...

— A któż owemu, jak pan mówisz, zwykłemu i prozaicznemu małżonkowi zapewni, że niezwykłe żony jego serce przyjmie tę subordynacyę i chętnie jéj się podda?

Jerzy posunął się na krześle.

— Ów zwyczajny śmiertelnik jest pewnym siebie—rzekł ze spokojnym uśmiechem.

Nastąpiło długie milczenie. Różowe światło lampy oświecało z pewną roskoszą kunsztowną tkaninę dywanu, po którym teraz błądziły oczy młodéj kobiety. Przypatrywały się one zawiłym arabeskom, które w gruncie nic nie przedstawiały, a jednak miłe dla oka sprawiały złudzenie pewnych kształtów, które tylko w wyobraźni istnieć mogą!...

— Czyżby nie można takiemi arabeskami bezmyślnemi uprzyjemnić sobie życia?—pytało serce młodéj kobiety—czyżby nie można samą obfitością barw tak napoić oko, aby niczego innego nie pragnęło?

Laurencya podniosła nagle głowę.

— Cóż familia pana na to wszystko? — zapytała.

— Właśnie chciałem o niéj mówić. Pan Alfons, pochwaliwszy zupełnie wybór mego serca...

— To jest... wybór pana —

— Tak — wybór mój pochwaliwszy, wziął na siebie utorować nam drogę nie tylko do estymy familii, ale nawet do całego naszego kółka towarzyskiego...

— Czyż to być może?

Oczy młodéj kobiety błysnęły ogniem.

— Tak jest pani... i to właśnie stało się na owym wieczorze w niedzielę, kiedyś mnie pani, jako posła dobréj nowiny... przyjąć nie chciała!

— Tego wieczora... a cóż pan Alfons mówił?

— Pan Alfons uroczyście zapowiedział gościom swoim dostojnym moje prawdopodobne małżeństwo...

— A gdy przeszła mowa na mnie —

— Gdy na panią przeszła mowa, pan Alfons nie miał dosyć słów, aby przyszłą kuzynkę swoją w świetle jak najlepszém okazać! Żałuję, żeś pani tego nie słyszała.

— A towarzystwo cóż na to? — zapytała.

— Zdaje się, że sprawa, którą pan Alfons w swoim domu bierze w opiekę, nie może przegrać. Wszyscy przyjęli słowa pana Alfonsa z wielką radością — nasza przyszła pozycya jest już zapewnioną!

Laurencya przesuwała złotą bransoletkę po białéj ręce.

— A jakże księżna to przyjęła?—zapytała.

— Księżna powiedziała do mnie: Spiesz się pan prędko... — bo jestem już dzisiaj zniecierpliwioną, że was jutro u siebie mieć nie mogę. Mówią, że bardzo ładna i niemniéj utalentowana... właśnie potrzeba nam takiéj, aby ożywić nasze ospałe towarzystwo!...

Młoda kobieta wyprostowała się; na twarzy okazał się uśmiech roskoszny.

— Do tych słów — mówił daléj Jerzy z pewnym smutkiem — dodała jeszcze księżna inne, które mnie trochę zaniepokoiły i bardzo poważne myśli zbudziły w mojéj głowie!

— Jakie słowa?—zapytała Laurencya i zalotnie pochyliła się ku mówiącemu.

— Księżna dodała — powoli ciągnął Jerzy — że z tego, co wie i słyszała, naprzód może mojéj przyszłéj przepowiedzieć nadzwyczajne na salonach powodzenie!

Laurencya uderzyła z lekka Jerzego po ramieniu.

— Nieprawdę pan mówisz! — zawołała dźwięcznym głosem — zasłużyłeś pan na to, aby pana jeszcze raz uderzyć!

I drobna, biała rączka zalotnie podniosła się do góry, aby całym słodkim ciężarem swoim opaść na ramię szczęśliwego człowieka — gdy tenże w locie ją pochwycił i do ust swoich przycisnął!...

Laurencya nie broniła ręki. Siedziała zupełnie bezbronna, bez woli, bez oporu. Roskoszne marzenie paliło się w téj chwili w jéj oczach, twarz pałała gorącym rumieńcem. Pierś falowała roskosznie, jak faluje woda, gdy ją ciepły, wonny wietrzyk po wierzchu muska...

— Rozmowa nasza kończy się — ozwał się po chwili Jerzy, trzymając drobną rączkę w swojéj dłoni i wpatrując się w piękne, rozmarzone oczy młodéj kobiety.

Odpowiedzi nie było — ale był uścisk drobnéj rączki. Twarz Jerzego pokraśniała.

W téj chwili ozwał się głuchy, nierówny turkot za oknami...

Laurencya szybko zwróciła głowę ku oknom.

Na chwilę nastąpiło milczenie.

Chwila ta była zapewnie bardzo ważną, bo na wszystkich twarzach odbiła się pewnem zaniepokojeniem.

Najprzód zmnieniły się nagle rysy Laurencyi. Ożywienie zniknęło, marzenie ulotniło się, a natomiast całą twarz oblokła chmura jakiejś obawy, jakiejś trwogi... Zapanował potem niepokój, nad-

ciągnęła szybka walka wewnętrzna... chwilę wahało się zwycięstwo... niepewność z całym orszakiem mar złowrogich przeciągnęła widocznie przed oczyma młodéj kobiety...

Taka sama zmiana, tylko nie tak widoczna, nastąpiła także na twarzy Jerzego. Uśmiech jego, przed chwilą tak swobodny i roskoszny, zatrzymał się nagle i podobny był teraz do zasypanego nagle śniegiem kwiatka!... Jeszcze czuć woń, jeszcze barwa się trzyma... ale już marznie, już ginie w zimnych objęciach!...

Nawet posągowa twarz Angielki ożywiła się na chwilę. Turkot za oknami coś jéj zwiastował niedobrego — a przynajmniéj zaciekawił ją, jak teraz rzecz się rozwiąże?...

Laurencya posunęła ręką po czole, które teraz było gorące, i wyglądało jak bronz rozpalony.

— Więc... skończona rozmowa! Nieprawdaż?—zawołał Jerzy w obawie, aby mu czasu nie zabrakło.

Gorące i zimne prądy zaczęły bić do twarzy Laurencyi. Skupiona cała na wewnątrz siedziała nieruchoma.

— Rozmowa skończona!—powtórzył Jerzy ściskając ją za rękę— nieprawdaż... że skończona!

W téj chwili zaleciał z przedpokoju głos mężczyzny.

— Skoń....czo....na! wykrztusiła Laurencya, jakby się dławiła.

Upadła bezwładnie na fotel. Twarz jéj cała była w ogniach, oczy paliły się jak dwie pochodnie...

Głos mężczyzny w przedpokoju ozwał się znowu...

Laurencya podniosła się gwałtownie. Usta jéj paliły się gorączką.

— *Madame* — rzekła do Angielki — ...jestem dziś chorą!

Angielka zrozumiała i wyszła do przedpokoju z odpowiedzią...

Laurencya zacisnęła pięści i przyłożyła do czoła.

— *Monsieur* — zawołała spazmatycznie do Jerzego — weź pan tego człowieka ode mnie!... Ja nie mam władzy... ja nie mogę!...

I jak sarna z śmiertelnym postrzałem w piersiach, powlokła się powoli do drugiego pokoju.

Jerzy patrzał za nią... twarz jego miała wyraz bardzo poważny.

Wziął kapelusz i wszedł do drugiego pokoju.

Laurencya klęczała przy sofie, a twarz ukryła w poduszki. Z ruchu całego biustu widać było, że płakała, spazmatycznie płakała...

— Rozmowa nasza skończona — ozwał się z progu — idę, aby ostatnie słowa pani...

— Słowa moje?...—szlochając zapytała Laurencya — jakie słowa? Ja nic nie powiedziałam!...

— Więc mam zostać?...

— Idź pan... idź pan!... ach, w głowie mi się mięsza!... Cóż ja powiedziałam?... Nic nie powiedziałam!... Idź pan... *au revoir!*

Jerzy ukłonił się w milczeniu. Niktby w téj chwili nie wyczytał z jego twarzy, że odchodzi — narzeczonym! Jakaś głęboka troska zarysowała się na jego czole.

XXX.

Pani Iza, osoba już niemłoda i żyjąca, jak się zwykła wyrażać „po kawalersku“, miała zwyczaj w pewne dni dawać u siebie tak zwane „*avant-soirée*“. Były to zgromadzenia przed wielkim wieczorem, który przepędzić miano w innym domu, były niejako awangardą tegoż wieczora.

Zgromadzenia takie złożyły się same z siebie. Na wielkie wieczory wychodzono dopiero koło jedénastéj godziny. Od zmroku do jedénastéj była pewna luka, którą trzeba było czemś wypełnić. Sama tualeta nie wypełniała jéj, a oczekiwanie kanonicznej godziny sprawiało nudę, rozstrajało rysy i usypiało wszystkie władze umysłowe. Trzeba było czas ten jakoś inaczéj przepędzić, jakoś ożywić się i rozruszać.

Potrzebie téj zaradziła pani Iza. Miała mieszkanie skromne, zasoby także nie wielkie. Salonu urządzić nie mogła u siebie, a przecież żyjąc z ludźmi, trzeba ich było także od czasu do czasu u siebie przyjąć.

I ztąd powstały tak zwane „*avant-soirée*“ pani Izy.

Takie podwieczorki były dla wszystkich bardzo wygodne. Tualety były gotowe na wielki wieczór, żadnego nowego nie robiły zachodu, wydatków nowych nie było, a gościnność gospodyni mogła się ograniczyć na szklance czystéj herbaty. Było więc dobrze dla gości i dla domu.

Prócz téj wzajemnéj dogodności były jeszcze inne powody, które takim zgromadzeniom sprzyjały. Jak przed każdą wielką bitwą musi wojsko pierwéj wysłać rekonensans i o sile nieprzyjaciela się przekonać, tak téż przed każdym większym wieczorem taka poufna schadzka przyszłych gości tegoż wieczora miała tę korzyść, że na niéj rozmawiano wiele o tém co będzie, dopytywano się o uczestników, o tualety i o inne różne rzeczy.

Takie podwieczorki wyrokowały nieraz nawet o powodzeniu samego wieczoru. Na nich bowiem układano plany, które późniéj rozwinąć się miały—tworzono, korygowano lub zbijano zupełnie pewne nowiny, które na wieczorze miały odegrać ważną rolę...

Były jeszcze inne przyczyny, dla których takie podwieczorki były pilnie odwiedzane. Nie wszyscy mogli lub chcieli iść na wielki wieczór, połączony z pewnym trudem i wydatkami. Wszyscy jednak byli ciekawi zgromadzenia, które się na ten wieczór wybierało i tualet, które tam błyszczéć miały. Oprócz tego byli i tacy, którzy u pani Izy być mogli, a wieczory większe zaliczali do „zielonych winogron.“ Dla tych więc było to jedyne miejsce otrzeć się o szczęśliwych i potém w kółkach swoich szeroko o tém rozpowiadać.

Otóż właśnie taki podwieczorek—*avant soirée*—zebrał się u pani Izy na drugi dzień po owéj ostatniéj scenie w willi zamiejskiéj.

Zebranie było liczne. Nazbierało się wiele nowin, a oprócz tego tualeta pani Sabiny, sprowadzona wprost z Paryża, a mająca się dzisiaj na wieczorze okazać, była niemałą atrakcyą dla gości nader licznych.

Skromne dwa pokoje szanownéj gospodyni zamieniono w okamgnieniu w salon okazały. Napełniły je aż po brzegi wykwintne tualety kobiét i symetrycznie na połowę poprzedzielane głowy mężczyzn w uniformowych frakach.

Przybyli w takiéj liczbie goście składali niejako pewien rodzaj hołdu i poważania zacnéj gospodyni, którą powszechnie nazywano „generałową.“

Rozmowa była nadzwyczaj ożywiona. Podzielono się na grupy. Najwięcéj jednak ożywienia było między kobiétami. Opowiadano i komentowano różne rzeczy.

Najprzód możliwe mianowanie pani Ludgardy towarzyszką jednéj wysokiéj damy, bliskiéj krewnéj dworu panującego, wywołało długą dyskusyę, która trwała przeszło godzinę. Mówiono o zwyczajach dworu, o tualetach pełnych i połowicznych, o ukłonach dla pary panującéj albo dla krewnych tejże pary...

Po tym ważnym temacie nastąpiły inne mniejszéj wagi.

— Czy pani wie—pyta zielona suknia swojéj sąsiadki szafirowéj—czy wie pani, że „Dzianio“ stara się o „Dzinię?“

— Wyborna para! Dzianio i Dzinia! Jakby się w korcu maku szukali!...

Dla niewtajemniczonych „Dzianio“ był Edwardem, a „Dzinia“ Jadwigą.

— Ależ Dzinia miała ochotę iść za hrabiego hiszpańskiego, którego w podróży poznała!

— Kochała się na zabój—pisywali do siebie!

— Nic nie brakło do maryażu z hiszpanem tylko, jego hrabstwa! Mówią, że był kamerdynerem!

— *Fi donc!* Jak można z kamerdynerem...

— Kamerdyner zagraniczny lepszy nieraz od niejednego naszego sąsiada!...

— Czy państwo mówicie o moim sąsiedzie panu Piotrze?—wtrąciła zapytanie otyła jejmość z piórami na głowie—smutna to historya!

— Co za historya? — zapytała chuda postać w przezroczystym tiulu, przepasanym niebieską szarfą.

— Separuje się z żoną dla tego, że żona chciała jeździć na mszę do kościoła parafialnego a on do miasta!

— Czy mieli oboje jaki ważny powód tych odrębnych skłonności?

— Zdaje się... że były dwa powody — jeden dla żony, a drugi dla męża!

— Głupi ludzie! Toż w takim razie powinna najlepsza zgoda panować między nimi!

— Czy koronkowa gipiura uchodzi przy jasnéj sukni.

— Parafiańszczyzna! Tylko znam jednę osobę, u któréj taka gipiura wybornie odbijała od blado-zielonéj sukni... ale na to trzeba być—księżniczką!

Nastąpiło milczenie pełne uszanowania.

— Czy widziałaś pani wczoraj w teatrze pannę Agrypinę? Pięciu konkurentów wchodziło koleją do jéj loży!

— Zaprawdę, to skandal ciągnąć za sobą taki ogon!

— Czy zatrzyma ten zwyczaj, gdy zostanie mężatką?...

Z pięknym lecz nazbyt odkrytym biustem młoda kobiéta rozłożyła z wdziękiem wachlarz z kości słoniowéj, a wpatrując się w niego z minką naiwnéj dziewczynki, ozwała się:

— A cóż ona temu winną, że się podoba?

Sąsiadki młodéj kobiéty, która także ma to nieszczęście, że się innym bardzo często podoba, spojrzały na siebie i uśmiechały się jakimś uśmiechem zagadkowym...

— A cóż pani mówisz o dzisiejszéj nowinie?—zapytała już niemłoda dama swojéj najmłodszéj sąsiadki.

— Jaka nowina?—zapytała najmłodsza.

— O panu Jerzym!

— A!... Żeni się!

— Ale przed ślubem ma się odbyć pojedynek!

— A!... I o tem słyszałam!

Właśnie zbliżyła się teraz znana już nam pani Aurora. Kobiéty zamilkły, bo pani Aurora była chodzącą opozycyą i wywoływała rozmowy, które niepotrzebnie drażniły.

— O czem-że tu mowa?—zapytała podnosząc ruchome nozdrza swoje, jak wyżeł chwytając wiatr od strony zwierza.

— Ot tak... rozmawiamy o tém i o owém! Nic ważnego!—odpowiedziała starsza dama.

— Mówiłyśmy o panu Jerzym — wtrąciła szczerzéj najmłodsza.

— Cóż o panu Jerzym?

— Że się... żeni!

— A! pięknie się żeni! Pojedynkować się będzie!

— A! Prawda! Słyszałam i o tém!

Pani Aurora spojrzała z ukosa na najmłodszą.

— To u pani pojedynek niczem? — zapytała — ślub tylko został na pierwszym planie! Widać, że pani niedawno po téj ceremonii, która podobna jest do bańki mydlanéj!... Bańka się pani podoba a życie ludzkie niczem?...

Najmłodsza zarumieniła się.

— Tyle o pojedynkach słyszałam—odparła—a wszystkie kończyły się nieźle...

— Ale kończyły się także nieboszczykiem! A tu będzie zapewnie taki rezultat!...

— Ciekawa rzecz—zapytała otyła—co w takim razie zrobi pan Jerzy.

— Gdy będzie... nieboszczykiem?

— *Fi donc!*... Gdy tamtego zabije!

— A czyż on sam nie może być zabitym?

— Tak... ależ o tém znowu nikt nie myśli!

— Dlaczego?

— Rywal jego ma być młodym, nieznanym zupełnie człowiekiem...

— Ale ten nieznany zupełnie człowiek trzyma taki sam pistolet w ręku, a w pistolecie taka sama kula jest jak w drugim!

— To prawda... ale jakoś trudno pomyśléć, aby pan Jerzy...

Nastąpiło milczenie—pani Aurora uśmiechała się z jakąś ironią niedobrą.

— Masz pani słuszność—ozwała się do otyłéj—że nie przypuszczasz nawet, aby pan Jerzy mógł zginąć. Jest w tém wiele prawdy. Przeciwnik jego jest-to młody, pełen zapału człowiek. On się strzela, bo serce każe się strzelać—strzela, bo kocha i jest tego przekonania, że bez téj kobiéty, którą kocha, żyć nie może! Zresztą myśli, że tym sposobem da téj kobiecie dowód swojéj wielkiéj miłości!... U takie-

go młodego człowieka serce bije gwałtownie... ręka drży... cel nie pewny!... stawka wielka... może chybić! U jego przeciwnika inaczéj. On gra w karty z zimną krwią... a tacy ludzie zazwyczaj wygrywają i swoich przeciwników w pojedynku zabijają!

— To téż słusznie pytała pani Innocenta, co po pojedynku zrobi pan Jerzy, gdy tamten padnie.

— Bardzo słusznie. Był instynkt, było przeczucie i... mała życzliwość dla znajomego człowieka! Nieznajomy niczém!

— Prawda... ale zawsze biedny człowiek! Cóż on temu winien, że także kochał?

— Poczciwa i zacna kobiéta nie może nigdy mieć dwóch w sobie zakochanych!

— Co téż pani mówisz! Pani Undecemilia miała ich...

— Stosownie do swego imienia!

Śmiech powszechny rozległ się pokoju.

— Cóż to tak zabawnego?—zapytała czarna, blada dama.

— Mówimy o pojedynku!

— Cóż, kończy się szampanem?

— Nie... nieboszczykiem!

— Przecież nie panem Jerzym?

— Naturalnie, że nie. Nieznajomy płaci koszta!... Ale pytanie, co zrobi pan Jerzy i co zrobi pani Laurencya!

— Pan Jerzy... ożeni się z nią!

— *Fi donc!* Z taką kobiétą, która prowadzi za sobą rywala i potém zabijać go każe... żaden mężczyzna szanujący swoją godność nie powinien się żenić!

— A kobiéta?...

— Kobiéta po takim wypadku powinna zrzec się na zawsze rozkoszy himenu... wstąpić do szpitala lub zakonu! Ona nie powinna mieć już męża—bo między nią a tym mężem jest... blady, siny, skrwawiony trup!...

Okrzyk odrazy i oburzenia dał się słyszéć.

— I zkądże przyszło do tego pojedynku?

— Ona położyła to panu Jerzemu za warunek...

— To być nie może! To oszczerstwo! Gdzieżby kobiéta mogła czegoś podobnego żądać!... Zresztą na dwoje babka wróżyła! Nie, to być nie może!

— To nieprawda. Ów młody człowiek jest po prostu szalonym. Zakochał się z całą namiętnością... a gdy widział, że ona więcéj skłania się do pana Jerzego... póty go prześladował, póty mu dokuczał, że wreszcie nie można mu było odmówić. Pan Jerzy wcale nie

jest winny! Robi to, co może, co mu honor każe!... Tamten zaś sam idzie na zgubę!...

— Jakiż może być rezultat tego wszystkiego?

— W najlepszym razie małżeństwo miejsca mieć nie może! Ani myśléć o tem!

— Któżby chciał ich przyjmować?

— Naturalnie! Taką kobiétę!

Wyświeżony i pachnący pan Juliusz wypadł teraz jak bomba z drugiego pokoju. Miał twarz zarumienioną jak bohater przed bojem. Pan Juliusz zwykł prowadzić tańce.

— Nowinę paniom zwiastuję — zawołał z postawą herolda — wielką nowinę. Sezon tegoroczny zakończy się tańcującym wieczorkiem u państwa Salezych!

— Wieczorkiem tańcującym!

— U państwa Salezych!

— Wybornie.

— Wyśmienicie!

I całe zgromadzenie od niewesołego trupa przeszło ochoczo do weselszéj rozmowy o „wieczorku tańcującym.“

(D. c. n.). *Jan Zacharyasiewicz.*

DYPLOMACYA SOBIESKIEGO.

Archiwum spraw zagranicznych francuskie do dziejów Jana Trzeciego. Opracował Dr. Kazimierz Waliszewski, członek kom. hist. akad. umiej. w Krakowie; tom I obejmujący lata od 1674—1677. (W Krakowie 1879, in 4-to, str. 546).

I.

Archiwum francuskiego ministeryum spraw zagranicznych, dzięki przeważnéj roli, jaką od trzech przeszło wieków odgrywa polityka Francyi, jedno z najbogatszych na kuli ziemskiéj, zawiera do dziejów polskich niepospolite, a dotąd nieznane skarby. Do samego wieku XVII, w którym się poczęły żywsze między Polską a Francyą stosunki dyplomatyczne, zawiera to archiwum blisko sto sporych foliantów, po większéj części gęsto cyframi zapisanych; korespondencya Dumouriez'a, wysłanego do Polski dla prowadzenia spraw konfederacyi barskiéj, korespondencya, którą przypadkiem udało mi się przejrzeć, mieści się w tomie 297m. Całych 200 przeto tomów odnosi się do czasu między śmiercią Sobieskiego (1696) a konfederacyą barską (1770). Co za żniwo dla nauki dziejów polskich, gdy kiedyś będą znane te dokumenta! Do niedawna leżały one w zupełném ukryciu; przynajmniéj niewiadomo mi, żeby którykolwiek z dziejopisów polskich był z nich korzystał. Z polskich, mówię, gdyż z francuskich niejeden miał w ręku korespondencyą polską. Tak przedewszystkiem Mignet, który pracując w drugiéj ćwierci tego stulecia nad wielkiém swém dziełem: Négociations relatives á la succession d'Espagne (Paryż 1835 i nast.) przejrzał téż podobno, zapewnie bardzo przelotnie, i korespondencyą polską, z któréj jednak żadnego ani wydrukował, ani nawet nie przytoczył dokumentu. Po Mignecie pan Marius Topin korzystał z niektórych tomów korespondencyi polsko-

francuskiéj XVII wieku, aby na jéj podstawie skreślić dość ogólnikowy, ale prawdziwy (a jak dotąd najlepszy) obraz działalności poselskiéj późniejszego kardynała, a podówczas opata, słynnego Polignaca, który był ambasadorem w Polsce od roku 1694 aż do swego odwołania przez Ludwika XIV wskutek chybionéj elekcyi księcia Conti (1). Podobnież korzystali z tych zbiorów, o ile one polskich dotyczą dziejów, i inni badacze, że tu wymienię jeszcze tylko de St.-Priest'a, który na dyplomatycznym, a z tego zbioru zaczerpniętym, innym historykom niedostępnym materyale osnuł szkic swój o pierwszym rozbiorze Polski—i Feliksa Colson'a, który wydrukował nawet z rzeczonego archiwum ważny i obszerny dokument, pamiętnik agenta Kondeuszowego Caillet'a o stanie spraw polskich (w październiku 1662), zużytkowany już przez naszych historyków (2). Z polskich badaczy natomiast jedyny Antoni Walewski miał korzystać z zawartéj w rzeczonéin archiwum korespondencyi; atoli osobliwszy sposób, w jaki Walewski w swych dziełach (Historya wyzwolonéj Polski pod jarzmo domowe wpadającéj za Jana Kazimierza itd.) wydrukował wyciągi z téj korespondencyi, nie dozwala stanowczo sprawdzić, czy istotnie z archiwum paryskiego korzystał.

Z bogactwem materyału dyplomatycznego w prostym stosunku stała tedy zupełna prawie jego dla historyografii polskiéj nieużyteczność. Inaczéj być nie mogło. Podobnie, jak innych archiwów, tak i francuskiego zbioru przy ministeryum spraw zagranicznych, strzeżono do niedawna z zazdrosną troskliwością. Korespondencyą dyplomatyczną, choćby całym szeregiem wieków oddzieloną od pytań żywotnych chwili, uważano zawsze, nie jak należało, za rzecz jedynie i wyłącznie należącą do dziedziny dziejów, ale przeciwnie jako arsenał argumentów politycznych, mających służyć do wywalczania bojów chwili, a może téż jako rodzaj *chronique scandaleuse*, któréj odsłonięcia, choćby w samym interesie przyzwoitości dyplomatycznéj, za żadną nie należało dopuścić cenę. Zarządy francuskich archiwów pod tym względem nie ustępowały w niczém zwierzchnościom archiwalnym w Berlinie, Wiedniu, Simancas, Turynie i in. Jeżeli komu po ciężkich przeprawach i bieganiach bez miary udało się wreszcie

---

(1) Zob. dzieło p. t. L'Europe et les Bourbons au XVIII siècle, par. M. Topin, Paris, Didier, 8-o. Dzieło to jest u nas zgoła nieznane, czemu niewątpliwie winien tytuł, nie pozwalający domyślać się właściwéj jego treści.

(2) De la Pologne et des cabinets du nord, par Felix Colson 1841, t. I, str. 309—332. Colson powiada: Archives du royaume, więc mogłoby to być dzisiejsze archiwum narodowe (arch. nationales). — Studyum St.-Priest'a zobacz w jego Etudes diplomatiques et littéraires 1850, tom 1-szy.

zasiąść do zapylonych foliałów, to zarząd, dzięki kontroli, jaką miał prawo wykonywać nad tymi wybrańcami, postarał się o to, ażeby mu szukający prawdy badacz nie zabrał jéj za wiele a przedewszystkiem, żeby nie wyniósł z archiwum niczego, coby mogło niemile dotknąć wrażliwość narodową albo w niepochlebném świetle wystawić postępowanie ojców. O przepisywaniu tedy dosłowném dokumentów w celu późniejszego ogłoszenia ich drukiem nie mogło być mowy, wyciągi zaś, które dozwalano robić, trzeba było przedkładać dyrekcyi archiwalnéj, a ta po ich zbadaniu, wymazywała wszystko, co się jéj nie podobało, a wymazywała w sposób, który nie dozwalał już więcéj odczytania zakwestyonowanych miejsc. Jeżeli na tém postępowaniu dobrze wychodziły skrupuły polityczne, choćby najbardziéj błahe, jeżeli oszczędzoną była w ten sposób próżność narodowa, to wręcz przeciwnie miało się z prawdą dziejową. Łatwo téż pojąć, z jaką niedogodnością połączone było dla badaczów robienie wyciągów i streszczeń w języku innym od ojczystego, w jedynym celu, ażeby władze archiwalne wiedziały co z nich wykreślić a czemu dać aprobatę. Ale w francuskiém archiwum minist. spraw zagranicznych działo się jeszcze lepiéj, a następująca prawdziwa historya jest tego najlepszą ilustracyą. Prof. Simson otrzymał w r. 1861 od niemieckiego komitetu wydawniczego, który zamierzał to samo zrobić dla dziejów tak zw. wielkiego elektora (brandeburskiego), co dziś robi akademia krakowska dla pamięci Jana III-go, polecenie przeszukania francuskiego archiwum dla celów owego wydawnictwa. Za wdaniem się ambasady pruskiéj w Paryżu i przez wzgląd, że wydawnictwo stało pod protekcyą następcy tronu pruskiego, uczony niemiecki otrzymał wstęp do archiwum i pracował w niem przez czas jakiś dla dziejów lat 1640—1670, nie bez tego zresztą, żeby mu tego i owego nie wymazano w jego wyciągach; ale jakież było jego zdziwienie, gdy mu przekładając korespondencyą z lat 1670—1687 (w którym to czasie po raz pierwszy naprężyły się stosunki między Francyą a elektorem) oświadczono, że jest wprawdzie upoważniony do *czytania* téj korespondencyi, że jednak względy, których wymienić nie uznano za stosowne, nie dozwalają, ażeby jakiekolwiek choćby najogólniejsze przy tém czytaniu robił notatki. Simsonowi nie pozostało nic innego, jak wybiegać co godzina z archiwum i w bliskiéj restauracyi czy kawiarni spisywać co prędzéj z pamięci treść odczytanych dokumentów. Wypadło zaś to zrobić dla ni mniéj ni więcéj jak dwudziestu kilku tomów in folio korespondencyi francusko-brandeburskiéj. Sprawozdania te, oczywiście, jako nieautentyczne nie mogły być drukowane i do dziś dnia zalegają półki komisyi wydawniczéj, pełne cennych informacyi, ale téż pełne

trudnych do ominięcia przy spisywaniu z pamięci niedokładności i omyłek (1).

Niedorzeczności podobnego sposobu postępowania położono kres wreszcie i oddając badaniu i nauce, co im się należy, otwarto w większéj części stolic europejskich, trzymane dotąd pod kluczem zbiory. We Francyi zniesienie téj na nauce ciężącéj cenzury archiwalnéj datuje się dopiero od lat kilku, bo od ministeryum księcia Decazes. Atoli postęp, jak we wszystkiém, tak i tu tylko powoli się objawił. Ustanowiona przez ks. Decazes komisya archiwalna, która miała badać podania zgłaszających się do archiwum uczonych, była wprawdzie złożoną z ludzi bardzo poważnych i liberalnych, cóż jednak, gdy przez dyrektora archiwum, pana Faugère, słynnego erudytę, bardzo rzadko albo raczéj nigdy nie była zwoływaną; skutkiem tego była wielka dowolność postępowania ze strony dyrekcyi, na którą niejednokrotnie przyszło się skarżyć pracownikom (2). Ustanowienie niedawne nowéj komisyi archiwalnéj i niebawem potém, po zasięgnięciu jéj zdania,.wydanie nowego, jak najliberalniejszego regulaminu przez ministra spraw zagranicznych, de Freycinet'a, położy podobno koniec tym utyskiwaniom. Podczas gdy w tajném archiwum berlińskiém jeszcze po dziś dzień dla każdéj kopii osobne potrzeba mieć upoważnienie, to nowy regulamin francuski (z 6 kwietnia 1880 r.) dozwala *bezwzględne korzystanie*, czy to w formie wyciągów czy całkowitych odpisów, ze wszystkich dokumentów od najdawniejszych czasów do 14 września z r. 1791; odtąd aż po 30 maja r. 1814 pod warunkiem poprzedniego złożenia wyciągów zarówno jak odpisów do przejrzenia dyrekcyi archiwalnéj. Tylko upoważnienie do korzystania z dokumentow późniejszych od 30 maja z r. 1814 pozostaje zachowane ministrowi i będzie udzielano tylko w poszczególnych wypadkach; dla czasów poprzednich wystarcza oznaczenie żądanych materyałów w zwyczajnym liście do ministra. Osobnego upoważnienia potrzebuje, kto zamyśla ogłosić drukiem archiwalne materyały (3).

---

(1) Mam te szczegóły od prof. Nitzscha w Berlinie, któremu je opowiadał sam Simson. Zob. zresztą: Urk. u. Aktenstücke z. Gesch d. Kurf. Friedr. Wilh. v. Brandenb. (Auswärt. Akten), II Bd. herausg. v. Dr. B. Ed. Simson, Berlin, 1865. Vorw. p. VIII.

(2) Zob. w Revue histor. t. XII zesz. z marca i kwietnia r. 1880 artykuł p. Monod: Courrier de France, p. 399—400.

(3) Zob. druk pod tytułem: Commission des archives diplomatiques. Règlements pour les communications de documents au public. Paris, 1880, art. 4, 5 i 6-ty. Od czasu ogłoszenia tego regulaminu w dwójnasób wzmogla się liczba pracujących w archiwum. Dodam, że jednym z członków nowéj komisyi archiwalnéj jest sympatyczny dyrektor pi sma „Revue historique," p. Monod.

Rozporządzenia te powita świat uczony niewątpliwie z zadowoleniem; niemieccy zwłaszcza uczeni nie omieszkają z nich korzystać. Dla nas, Polaków, którzy się nie możemy bynajmniéj skarżyć na niechęć do nas władz archiwalnych, mniejszą te nowe rozporządzenia mają wagę, bo już od czasu ministeryum ks. Decazes, *de facto* i *de jure*, po wypełnieniu pewnych formalności, był nam wstęp otwarty, i nikomu nie przyszło na myśl kontrolować naszą w archiwum pracę. Ten i ów z polskich uczonych, raczéj z zamieszkałych w Paryżu, aniżeli z krajowych, korzystał téż dla swych poszczególnych celów z téj wolności, pracy systematycznéj jednak wydania znacznéj części oddanych w ten sposób niejako do naszego użytku materyałów, podjęła się dopiéro akademia krakowska w chwalebnym zamiarze uczczenia zbliżającéj się 200-letniéj rocznicy oswobodzenia Wiednia przez polski oręż. Pan Kazimierz Waliszewski, dr. pr., członek komisyi historycznéj, podjął się jeszcze w r. 1875 z uznania godną bezinteresownością zaszczytnego a mozolnego trudu nad opracowaniem i przygotowaniem do druku francusko-polskiéj korespondencyi dyplomatycznéj z czasów panowania Jana III-go. Częściowy rezultat przeszło cztéroletniéj jego pracy ogłoszony już został nakładem akademii i z niego to obecnie chcemy zdać sprawę.

II.

Korespondencya dyplomatyczna Francyi z Polską za panowania Jana III-go, czyli w zakresie 22 lat, mieści się w 55 tomach, liczących po 300, 400 lub 500 kart *in folio*, a oznaczonych cyfrą tomów 40-go do 95-go ogólnéj korespondencyi archiwalnéj, o ile ona polskich dziejów dotyczy. Wobec takiego ogromu historycznego materyału, pierwszém, nieodzownem przystępującego do jego opracowania zadaniem winien być wybór metody, któréj mu się trzymać należy w wydawnictwie; gdy bowiem o drukowaniu wszystkiego nie może być mowy, należy koniecznie uczynić wybór pomiędzy tém, co drukować, a co pominąć wypada, do czego przychodzi jeszcze dodatkowe, niemniéj jednak ważne, pytanie, *jak* należy drukować to, co się drukuje. Rzecz, aczkolwiek już raz w naszém piśmiennictwie z kompetentnéj strony dyskutowana (1), wydaje mi się dosyć ważną, zarówno przez wzgląd na obecne wydawnictwo, jak zapowiedziane po-

(1) Zob. artykuł prof. Zakrzewskiego: „Jak należy wydawać akta i listy historyczne z wieków XVI-go i późniejszych," w tomie VII Rozpraw i Sprawoz. z posied. akad. wydz. hist.-lit.

dobne publikacye bliskiéj przyszłości, ażeby się nad nią zastanowić dokładnie, ażeby ewentualnie przyjąć albo odrzucić metodę, któréj się trzymał p. Waliszewski.

Przystępujący do wydania podobnego materyału—powiada wydawca we wstępie—wahać się może między czterema rozmaitemi metodami. Pierwsza polega na wydaniu wszystkich aktów *in extenso*; druga na wydaniu niektórych aktów, *in extenso*, z pominięciem innych; trzecia na wydaniu wszystkich aktów, wartość historyczną przedstawiających (z pominięciem zupełnie obojętnych), nie już *in extenso*, lecz w ekscerptach czyli wyciągach. Wydawca nie godzi się na żadną z tych trzech metod. Pierwszą odrzuca bez namysłu; drugą—dlatego, bo powiada, zbyt często w depeszach, mało w ogóle znaczących i rozwlekłych i z tego względu żadną miarą do wydania *in extenso* się niekwalifikujących, znaleść się daje jeden lub kilka ustępów, czasem kilka linii, które stanowią ważny dokument lub zawierają cenną wskazówkę. Trzecia wreszcie metoda w tém jest wadliwą, że gdy częstokroć wartość listu lub depeszy tkwi nie w jednym lub drugim ustępie, ale w treści saméj, zbyt rozwlekle lub niejasno wyrażonéj, depesza wymaga nie tyle przytoczenia z niéj wyciągu mniéj lub więcéj obszernego, jak raczéj „streszczenia i wyjaśnienia.“ Godzę się na pierwsze słowo, natomiast nie dopuszczam wyjaśnienia, jak chyba w uwadze albo w ogóle w takiéj formie, ażeby czytelnik mógł odrazu poznać, co jest treścią depeszy, a co dodatkiem wydawcy. Depesze tedy niejasne, zawiłe, dopuszczające (jak to się tak często zdarza) różne sposoby wykładu, podałbym raczéj w całości, jeżeli tylko treść ich jako tako na to zasługuje. Rzeczą czytelnika zrozumiéć je po swojemu; rozumienie to winien ułatwić uwagami swemi wydawca, lecz nie powinien żadną miarą narzucać czytelnikowi swojego wykładu. Ale to jest uwaga mniéj ważnéj natury, zresztą jestem dotąd w zupełnéj zgodzie z wydawcą. Gdzie się natomiast rozchodzą nasze zapatrywania, gdzie, mojém zdaniem, wydawca stanowczo uchybił swemu obowiązkowi wydawniczemu, to we wniosku, jaki wyciągnął z niemożliwości wyłącznego przyjęcia któréjkolwiek z powyższych trzech metod i jaki praktycznie zastosował, obierając, jak powiada, czwartą, od poprzednich zupełnie odmienną metodę. Czytającemu przytoczone powyżéj rozumowanie wydawcy zdawałoby się, że jedyną możliwą metodą, jaka pozostaje po odrzuceniu owych trzech pierwszych będzie metoda, która: 1) ważne dokumenta *poda w całości*; 2) z dokumentów mało znaczących a rozwlekłych, a więc (żeby użyć własnych słów wydawcy) nie kwalifikujących się żadną miarą do w dania in extenso, *poda wyciągi* t. j. „jeden lub kilka ustępów czasem kilka linii, stanowiących ważny do-

kument lub zawierających cenną wskazówkę;“ wreszcie metoda, która 3) depesze rozwlekłe i w ogóle mniéj ważne poda w mniéj lub więcéj dokładném *streszczeniu*, (co naturalnie będzie zależéć od ważności depeszy). Mojém zdaniem, jest to metoda jedyna, jaką można, jaką należało zachować; metoda, jednocząca w sobie zalety trzech poprzednich, a uchylająca ich strony ujemne, jedyna wreszcie, jaka logicznie, konsekwentnie dała się wysnuć z wyżéj przytoczonego rozumowania. Ale wydawca, który dotąd rozumował całkiem słusznie, robi nagle skok w tém rozumowaniu, i tu tkwi główny niedostatek wydania—z wydawcy stara się przedzierzgnąć w historyka. Posłuchajmyż dałéj słów jego: „Przedstawia—mówi on o owéj trzeciéj metodzie—ta metoda tę jeszcze wspólną z dwiema pierwszemi niedogodność, że oddając w ręce czytelnikom *materyał sproszkowany*, że się tak wyrazimy, zmusza każdego z nich do pracowitego ulepiania rozproszonych okruchów w jakieś *logiczne grupy*, niby cegiełki do budowy historycznéj służyć mogące. Téj to właśnie pracy, dokonawszy jéj raz osobiście, chcieliśmy oszczędzić czytelnikom, przyjmując w niniejszém wydaniu czwartą zupełnie odmienną metodę. Oto, wniknąwszy w materyał przed nami leżący, wyciągnęliśmy zeń wszystko, co nam się zdało mieć jakąkolwiek wartość dla badacza dziejów polskich, odpisując tu, streszczając owdzie, gdzieindziéj jeszcze notując tylko fakt jakiś lub datę. Następnie zebrane w ten sposób cząstki historycznéj treści usiłowaliśmy związać w jednę *organiczną całość* nie już suchą chronologią tylko, lecz także, i to przedewszystkiém tym, więcéj idealnym porządkiem, który następstwa łączy z przyczynami i zbliża tym sposobem częstokroć wypadki zaszłe w bardzo rozmaitych momentach czasu.“

Trzeba oddać p. Waliszewskiemu tę sprawiedliwość, że jeżeli niedobrze zrobił, to tylko dla tego, że chciał zrobić lepiéj, aniżeli dobrze. Poznawszy właściwość przyjętéj przezeń metody, zobaczmy, w czém ona wykracza przeciw uznanym przez sztukę wydawniczą prawidłom.

Kto choć tylko przejrzy, a tém bardziéj, kto przeczyta i przerobi sumiennie wydane przez p. W. dokumenta, ten nie będzie w kłopocie o odpowiedź. Jest ona krótka: *chaos*. Wydawca w dziwną popada iluzyą, kiedy mówi o logicznych grupach, o organicznych całościach, w jakie związał owe „rozproszone cegiełki historycznéj budowy.“ W całym, sporym przecie, tomie znaleźliśmy jedną podobną całość, podobną grupę logiczną, tam mianowicie, gdzie wydawca traktuje sprawę pana Brisacier str. 277—302; jedyne to karty, któreby zdolne były usprawiedliwić obraną przez wydawcę metodę, gdyby, niestety, nie były 20-tą częścią książki. Tam w istocie wydawca za-

chował więcéj niż porządek chronologiczny; tam zbliżył wypadki do siebie należące, choć chronologicznie odległe i powiązał idealną nicią przyczyny i skutku. Co do reszty, jeżeli się wydawca skarży na nieodzowne od zarzuconych przez siebie metod „sproszkowanie" materyału, to ja powiem, *że dopiero wydawca naprawdę i to literalnie go sproszkował*, a sproszkował wedle osobistych zapatrywań swoich, bardzo często niczém zgoła nieusprawiedliwionych. Zamiast niewystarczającéj, ale w każdym razie wygodnéj, bo niezawodnéj, nici chronologicznéj, powiązał wydawca depesze dyplomatyczne bardzo wiotką zazwyczaj nicią swoich indywidualnych sądów, które wprawdzie czerpał z samychże dokumentów, ale które, przypuściwszy nawet, że zawsze są logiczne i uzasadnione, nie dają przecie czytelnikowi żadnéj na to rękojmi i zgoła uniemożliwiają mu znalezienie się w labiryncie przeróżnych spraw, o których traktują depesze. Pan W. powiada, że szukał logicznego związku zdarzeń, a mógłby dodać w obronie swéj tezy, że porządek logiczny lepszy jest od czysto-przypadkowego, jaki przedstawia chronologiczne zszeregowanie depesz. Niewątpliwie, ale gdzież rękojmia, że się odgadło rzeczywisty związek, że porządek, jaki wprowadził wydawca i według którego ugrupował owe historyczne, jak je nazywa, cegiełki, jest w istocie logicznym. Pan W. ma swoją logikę, ktoś inny ma inną. „*A logicien logicien et demi*" mówi francuskie przysłowie. Czytając akta, o których mowa, myślałem sobie niejednokrotnie: jabym to gdzieindziéj umieścił, to znowu na inném miejscu. Wydawca sam, nie wątpię o tém, nieraz się wahał. Otóż tu wahania się być nie powinno. Wolno to pisarzowi, wolno autorowi samodzielnemu, co zrobił p. W., ten niech sobie wodzi czytelnika, czy to po ubitéj szeroko drodze swego umysłu, czy po krętych manowcach swoich widzimisię; rzecz sądu i smaku czytelnika iść za takim przewodnikiem lub rzucić w kąt jego dzieło. Inna rzecz z wydawnictwem dokumentów, do których chcąc nie chcąc przyjdzie uciekać się, którymi posługiwać się *z konieczności* będą musieli wszyscy, co się zechcą zająć dziejami Jana III-go. Otóż ci, w miejsce chronologicznego t. j. rzeczywistego następstwa wprawdzie nie samychże zdarzeń, ale pozostałych po nich i opisujących je aktów dyplomatycznych, znajdą je oprawione w ramki zapatrywań wydawcy; w miejsce materyału surowego wprawdzie, ale swobodnego, dającego się dźwignąć każdemu, kto będzie miał po temu sposobność i wolę, znajdą „cegiełki" już wprawione przez wydawcę w historyczną (jak się wyraża) budowę. Dwojaką tu widzę alternatywę: albo budowa wzniesiona przez p. W. jest ostateczną i stanowczą, albo ją wypadnie rozwalić; rozumiem, że albo po téj organicznéj całości, w jaką wydawca ubrał dzieje dyplomacyi francusko-polskiéj

za Jana III go nic już o niéj, przynajmniéj w obecnym stanie historycznego materyału, nie ma do powiedzenia, albo téż, że każdy pracownik na niwie dziejowéj, gdy go studya jego powiodą do badania dziejów Jana III-go, będzie zmuszony wyjąć wprzódy cegiełki z budowy p. W., jeżeli ich do własnéj zechce użyć konstrukcyi. Otóż nie ma wątpienia, że lepiéj jest mieć gotowy, choćby surowy a w miarę obrobiony, materyał pod ręką, aniżeli iść poń i łamać go dopiero z tego rodzaju nowego kamieniołomu, w jaki go wprawił swoją metodą organicznych całości wydawca zbioru.

Ale przypatrzmyż się bliżéj tym „*organicznym całościom.*“ Sam podział materyału wydanego w niniejszym tomie na sześć części, według poselstw sprawowanych w Polsce czy to razem, czy osobno, przez dyplomatów francuskich, biskupa marsylskiego i margrabiego de Bethune, w stanowczéj zostaje sprzeczności z metodą p. W., jest on bowiem czysto chronologiczny, a bynajmniéj nie logiczny, nie rzeczowy. Zobaczmy to na przykładzie. Czyż przybycie pana de Bethune w sierpniu r. 1674 po raz pierwszy do Polski, z powinszowaniem Janowi III-mu elekcyi, wpłynęło w jakikolwiek sposób na ówczesną konstelacyą polityczną?! Broń Boże! Przybył Maryi Kazimierze szwagier, Francuzom w Polsce nowy dyplomata, w archiwum podwoiły się depesze, innego skutku nie widzę. Podział logiczny był w zdarzeniach, w wojnie tureckiéj, w układach kazimierskich, w otwarciu lub zakończeniu sejmu i t. p. Pan W. mimo to zaczyna część trzecią swojego zbioru od przybycia do Polski p. de Bethune, który nawet nie miał urzędowego charakteru. Nie inaczéj ma się rzecz z innymi rozdziałami. Z mało co mniejszém prawem mógłby je był wydawca poczynać od przybycia kuryerów z Francyi z ważniejszemi depeszami. To jednak powiadam jedynie dla wykazania niekonsekwencyi wydawcy, gdyż zresztą podział ten według ambasadorów, nie bardzo logiczny, jest przecie bardzo naturalny, bardzo wygodny i powszechnie téż przyjęty, przynajmniéj w wydawnictwie materyałów dyplomatycznych. Tak w książkach historycznych daty wstąpienia na tron nowych monarchów zawsze nowe, chociaż niezawsze usprawiedliwione, stanowią epoki. Jakże jednak w obrębie samych-że tych podziałów postępuje wydawca? Uznaję chętnie, że robi wszystko co może, ażeby zachować, a raczéj, żeby odkryć logiczny związek zdarzeń; w tym względzie niejednokrotnie rzadkiéj daje dowody przenikliwości. Czy mu się zawsze wiedzie w téj konstrukcyi historycznéj, o tém nie chcę wyrokować, bo sąd ten byłby sądem zbyt osobistéj natury, a jak powiedziałem, każdy ma swoją własną logikę; przykładami natomiast, i to na chybił trafił wziętymi z wydanego zbioru, będę się starał wykazać, jakim kosztem wznosi wydawca swoję budowę i w jak budu-

jący sposób traktuje przytém materyał. Podawszy na str. 35 depeszę biskupa marsylskiego do Ludwika XIV z 21 maja r. 1674, wydawca przytacza już to w wyciągu, już w streszczeniu, już wreszcie w całości depesze różnych osób, wszystkie dotyczące świeżo co dokonanéj elekcyi Sobieskiego, a to w następującym porządku:

biskup marsylski do p. de Pomponne, 22-go maja, pag. 40.,

tenże do tegoż, 22 czerwca (wspomnienie) p. 40;

Caillières do p. de Pomponne 22 maja, p. 41.

Stratman do p. Verjus, 21 maja.

Marya Kazimiera do Ludwika XIV, 7 czerwca;

biskup marsylski do p. de Pomponne, 22 czerwca;

Caillières do p. de Pomponne, 22 maja (nie zaś 28-go, co jest omyłką druku) p. 46.

Lubieniecki do p. de Pomponne, 4 czerwca;

Pomponne do biskupa marsylskiego, 20 lipca;

biskup marsylski do księcia Vitry, 7 czerwca, p. 47—48;

tenże do tegoż, 22 czerwca.

Następują rachunki z sum wydanych na elekcyą i t. p.

biskup marsylski do p. de Pomponne, 2 czerwca, p. 51;

tenże do Ludwika XIV, 6 czerwca. Wydawca podaje tu tylko część téj depeszy; dalszy jéj ciąg znajdzie—powiada on—miejsce *gdzieindziéj*; zarazem dowiadujemy się, że depesza do ks. Vitry z 7 czerwca, podana wyżéj na str. 47—48, nie była podaną w całości; następuje tedy tutaj str. 52 jéj koniec. Idziemy daléj:

15-go czerwca Jan III pisze do Wersalu z doniesieniem o swéj elekcyi p. 53 (podobny list Maryi Kazimiery podał wydawca już wyżéj, p. 41).

Następują trzy listy z Wersalu z 9-go czerwca; potém dwa listy z 13-go lipca, potém jeden z 29-go czerwca (p. 58). Wydawca wraca do Polski i podaje z początku czerwca memoryał biskupa marsylskiego o stanie Polski. Teraz znowu krok wstecz, bo na str. 70 cofamy się do 25, 29 i 30-go maja, ażeby się wreszcie na str. 71 doczekać końca owéj w części na str. 52 podanéj depeszy biskupa marsylskiego do Ludwika XIV-go z 6-go czerwca. To wszystko przeplatane uwagami i komentarzami, które są cementem téj budowy.

Podobny ład w całéj panuje książce. Jeszcze kilka przykładów z dalszych kart zbioru. Str. 173 jest depesza z 11 stycznia r. 1675; str. 175 z 4-go stycznia; podobnie str. 193. Str. 186 jest początek depeszy z 28-go lutego r. 1675, koniec na str. 194. Rozdarcie dokumentu na dwoje, umieszczenie jednéj połowy tu, drugiéj tam, jest rzeczą wcale nie rzadką. Jak pogodzić wersalską

korespondencyą z warszawską zgoła nie wie wydawca; z początku przytacza odpowiedzi ministra zaraz po depeszach ambasadorów, późniéj wprowadza podział na miesiące, więc po korespondencyi z Polski np. z lipca podaje korespondencyą wersalską z tegoż miesiąca, ale i tego ładu, który przecie jest chronologicznym, a nie rzeczonym, nie umie się trzymać i niezliczone razy przeciw niemu wykracza. Na str. 193. przytoczywszy depeszę z 1 marca 1675, pociesza nas, że odtąd gabinet wersalski przez „parę miesięcy“ nie wysłał nic do Polski, coby zasługiwało na uwagę; obiecuje zająć się „wyłącznie korespondencyą z Polski“, ale już na str. 197 znajdujemy depeszę Ludwika XIV z 22 marca 1675, którą wydawca uważa za swój obowiązek przytoczyć dla jéj „filozoficznéj wartości“; a na str. 201 poczyna się z depeszą z 12 kwietnia nowy szereg korespondencyi wersalskich. Na str. 232 znajduję depeszę p. de Pomponne do biskupa marsylskiego z 13 września 1675 i bezpośrednio po niéj streszczoną depeszę tegoż do tegoż z 30 czerwca tegoż roku. Często wydawca dowolnie całkiem naznacza dokumentom miejsce; mimo to pełno w całéj książce depesz, o których trzeba chyba powiedzieć, że się zabłąkały, albo że je zagubił wydawca. Radzi on sobie wtedy w ten sposób: umieszcza je w osobnym nibyto rozdziale, oddzielonym znakiem pisarskim (—) od poprzedniego i następnego; tak np. przytoczywszy poprzednio depeszę z 13 września 1675, podaje on w takim osobnym dziale depeszę p. de Bethune z 31 lipca i odezwę Opackiego do p. de Pomponne z 2 sierpnia, jakkolwiek oba te dokumenta w żadnym zgoła ze sobą nie zostają związku (p. 230). Mimo te jednak nadzwyczajne sposoby, na str. 327 znajdziesz już nie w tekście, ale w uwadze wyciągi i to aż z dwóch wcale nieobojętnych depesz; toż samo na str. 455. Widocznie nie stało dla nich miejsca w budowie wydawcy, posłał je do oficyn! Baluze, agent francuski w Warszawie, włazi zawsze jak istny Piłat w credo wydawcy, ze swoją korespondencyą, która najczęściej nic niema wspólnego z korespondencyą ambasadorów. Zwłaszcza tam, gdzie sprawy dyplomatyczne się wikłają, gdzie je przeplatają interesa prywatne, lub téż gdy więcéj jest korespondentów, przy całéj usilności wydawcy, powstaje istny chaos, w którém, zdaje mi się, że on sam miałby niemałą trudność zoryentować się. Porządek rzeczowy udaje mu się zachować ledwie przez ciąg trzech lub czterech depesz, potém nieuniknione wikłanie się spraw zmusza go do porzucenia téj, którą szedł ścieżki, idzie w prawo, w lewo, to zmuszony sztucznie nawiązywać nici dyplomatyczne, to znowu przerywać je epizodami, które nic wcale z nimi nie mają wspólnego.

Mniemam, że to co powiedziałem dostateczne daje wyobrażenie o naturze obranéj przez p. W. metody. Zdaniem mojem, przyczyny ciężkiego błędu, w jaki popadł wydawca, szukać należy w połowiczném, niejasnem pojęciu zadania z jego strony. Odpowiednio do alternatywy, którą postawiłem wyżéj, należało wydawcy, albo raczéj wydawcy-historykowi, gdyż za takiego uważa się p. W., pojąć swoje zadanie w jeden z następujących sposobów: albo opracować samodzielnie na podstawie bogatego, jaki miał pod ręką materyału, dzieje dyplomatyczne Jana III i stworzyć w ten sposób mniej lub więcéj skończoną budowę, albo téż zamknąwszy się ściśle w roli wydawcy, nie kusić się bynajmniéj o rolę historyka, lub wreszcie, jeżeli chciał tego koniecznie, uczynić to w sposób, iżby na tém nie cierpiał materyał dyplomatyczny, a zatém albo w osobném dziele, albo w obszernym wstępie, któryby mógł poprzedzać wydanie. Wydawca sądził jednak, że zdoła pogodzić jedno z drugiém i poszedł drogą pośrednią. Powiada on sam, że dalekim był od kuszenia się „o skreślenie dokładnego i wyczerpującego obrazu dyplomacyi polsko-francuskiéj za panowania Jana III-go“. Do tego, jak słusznie twierdzi, potrzeba-by wprzód zbadać archiwa także innych państw, z któremi Polska ówczesna stała w dyplomatycznych stosunkach. Uważa on pracę swą nie za historyę dyplomacyi Jana III-go, ale za *historyę aktów dyplomatycznych* w archiwum francuskiém zachowanych (p. VI): skromność, która byłaby najwyższego uznania godną, gdyby nie ona właśnie była powodem téj dwoistości, jakiéj cechę nosi wydawnictwo.

Atoli możnaby mi uczynić zarzut, że uderzam na metodę, która już piękne wydała rezultaty. Metoda użyta przez p. W. nie jest w istocie bynajmniéj nową. Jeźli się nie mylę, to p. W., zabierając się do pracy, zapatrzył się na wzór rzeczywiście wielki i zarówno naśladowania godny, jak do naśladowania trudny. Chcę mówić o wydaném w roku 1835 i nast. dziele Migneta: Négotiations relatives à la succession d'Espagne, którém ówczesny dyrektor archiwum minist. spraw zagranicznych zainaugurował godnie ogromne, za wpływem Guizota podjęte, wydawnictwo znane światu uczonemu p. t. Collection de documents inédits sur l'histoire de France. Uczony francuski, obrawszy za przedmiot swéj publikacyi zdarzenie tak ogromnéj doniosłości, jak następstwo Burbonów po Habsburgach na półwyspie pirenejskim, zobaczył za pierwszym rzutem oka na stosy archiwalne, które jako dyrektor archiwum zupełnie miał do swéj dyspozycyi, że gdyby chciał drukować wszystko, co się odnosiło do obranego przezeń przedmiotu, setka tomów nie starczyłaby na to. Koniecznością tedy powodowany, obrał metodę, którąby można nazwać słusznie

metodą Migneta, raz dla tego, że on ją pierwszy zastosował, a powtóre, ponieważ, lubo wielu, we Francyi zwłaszcza, znalazł naśladowców, żaden z nich nie zdołał osiągnąć jego mistrzostwa; nie ambicyą choćby najszlachetniejszą powodowany, ale przyparty niemożliwością zamknięcia się w roli wydawcy, z powodu przerażającéj mnogości materyałów, Mignet został historykiem i to historykiem w najzupełniejszem tego słowa znaczeniu, a z dzieła swego zrobił nie materyały do historyi, ale historyę dyplomacyi francuskiéj, lub raczéj dyplomacyi europejskiéj w pierwszych 18 latach po śmierci kardynała Mazaryniego (1). Tu można mówić o organicznych częściach, o logicznych grupach, tu traktują się w jednym dziale układy z Hiszpanią, w innym, jakkolwiek krzyżujące się z tamtymi, rokowania z Holandyą, jeszcze w innym z dworem cesarskim; każdy dokument nie na chronologiczném, ale w istocie na swém logiczném postawion jest miejscu. Czytelnik idzie z roskoszą za takim przewodnikiem, który pojaśniając dokumenta światłym swym sądem, daje mu zarazem sposobność sprawdzenia tego sądu właśnie na podstawie dobytego z kopalni archiwalnéj, a starannie od lichéj rudy oddzielonego szlachetnego kruszcu dyplomatycznego. Metodę Migneta cechuje stanowcza przewaga żywiołu historycznego (jeźli się tak wolno wyrazić) nad wydawniczym, przewaga indywidualnego opowiadania nad materyałami, wprawdzie nie co do ilości stron, jaką jedno i drugie w dziele zajmuje, ale z uwagi, że dokumenta, wtłoczone prawie bez wyjątku w formę opowiadania, zdają mu się być podporządkowane i wyjąwszy tam, gdzie są zbyt długie, dodają owszem życia i barwy opowiadaniu, przez co całość dosyć plastyczne przybiera kształty. Jeszcze jedna wreszcie, może najważniejsza, cecha odznacza nader korzystnie pracę Migneta od wszystkich jego, mniéj lub więcéj fortunnych naśladowców. Przyjąwszy raz na się rolę historyka, Mignet umie się utrzymać na wysokim, jakiego ona wymaga, poziomie i nie schodzi nigdy do rzędu przepisywacza dokumentów, jak przeto z jednéj strony bez skrupułu poświęca wielką część niepotrzebnego balastu dyplomatycznego, tak z drugiéj przekonany, że akta w jedném zachowane archiwum, z natury rzeczy muszą być jednostronne, nie waha się ich uzupełniać materyałami skądinąd zaczerpniętymi, choćby nawet wziętymi z dzieł drukowanych. W tém właśnie upatruję historyka, który podobnie jak

---

(1) Jak wiadomo, Mignet nie dokończył dzieła, które miało sięgać aż do pokoju wiedeńskiego (r. 1738) a zostało doprowadzone tylko do układów pokojowych w Nimwedze i w St. Germain (1678—1679).

sędzia przed oczy przysięgłych, kładzie wszystek materyał dowodowy, wszystkie *pro* i *contra* zeznania (1).

Jeśli teraz od tego wielkiego wzoru zwrócimy oczy do wydawnictwa p. W., który świadomo, czy nie, ten wzór naśladuje, nie podobna nie dostrzedz ogromnéj, jaka je od siebie oddziela, różnicy. Mignet opowiada zdarzenia i dzieje, p. W. opowiada lub streszcza akta, które ich dotyczą. Mignet panuje nad materyałem, nad p. W., zdaje się, że panuje materyał; tam podporządkowany on jest opowiadaniu, które tylko stwierdza i rozprowadza, tu uwagi wydawcy są komentarzem mniéj lub więcéj zbędnym do wydanych materyałów, komentarzem, prawda, że bardzo często, jak to u człowieka zdolności p. W. inaczéj być nie mogło, wcale trafnym, ale téż nierzadko bardzo błahym i jedynie do powiązania aktów dyplomatycznych służącym, tam widzimy gruntowną znajomość dziejów powszechnych, tu wydawca, któremu zresztą bynajmniéj nie brak szerokości poglądu, nie zna prawie nic więcéj oprócz swego archiwalnego materyału, bogatego wprawdzie, ale jednostronnego; słowem, tam znać historyka, tu widać, że wydawca silił się być historykiem, a że pozostał wydawcą.

Uwagi te nie przeszkodzą mi oddać sprawiedliwości, jaka się należy sumienności wydawcy, zarówno jak, względnemu, uzdolnieniu, którego w wydaniu złożył dowód. Przy tak fałszywéj metodzie, tak wręcz mylném pojęciu zadania, uznać należy, że wydawca zrobił literalnie, co się dało, dla stworzenia owych swoich logicznych grup, że z prawdziwą sztuką umiał wydobyć z ogromnego materyału i od biedy ulokować to, co było godne uwagi, że kto inny byłby może jeszcze bardziej rozdrobił, sproszkował materyał, uczynił go jeszcze mniéj przejrzystym, a tém samém, jeszcze mniéj przydatnym do użytku historycznego. Co zaś do *sumienności* i skrupulatności, z jaką pracował p. W., to te mi się wydają wyższe po nad wszelką wątpliwość, wydawca posunął je do tego stopnia, do którego nas nawet niemieckie nie zdołały przyzwyczaić wydawnictwa. Nie ma w istocie w ca-

---

(1) Pouczającém jest, co Mignet sam w swéj przedmowie powiada w téj mierze: „Était-il nécessaire de donner les documents dans leur totalité? Fallait-il s'abstenir de les compléter en y ajoutant des pièces publiées dans d'autres temps et d'autres pays? Je ne l'ai pas pensé. Je n'ai pas cru qu'il fût indispensable de rien omettre au risque d'accabler le lecteur sous un amas d'inutilités et de ne rien ajouter au risque de le laisser dans l'ignorance. Il aurait reculé devant l'ennui ou devant l'obscurité: dans un cas, il n'aurait pas lu, dans l'autre il n'aurait pas su..." A niżéj: „J'ai distribué les pièces d'après leur objet même et je leur ai donné autant qu'il était possible la forme du récit en les plaçant dans la marche de l'action. Je me suis aidé des correspondances et des ouvrages publiées en Hollande, en Allemagne et en Angleterre sur cette importante époque etc..."

łym tomie, nie mówię żadnego aktu, ale twierdzenia opartego na osnowie aktu, przy któremby odsyłacz nie umożliwiał odniesienia się po sprawdzenie do źródła. Toż chcę powiedzieć i o doborze samychże aktów. Jeźlim ganiąc, powiedział wyżéj, że materyał panował nad wydawcą, to należy to z drugiéj strony rozumieć zarazem jako pochwałę, t. j. że wydawca miał tyle poszanowania dla materyału, że go przytoczył, choćby on nie nadawał się bynajmniéj do jego logicznych grup, lub zgoła, choćby miał zbijać jego rozumowanie, — postępowanie, które, jak wiadomo, nie zawsze uważali za stosowne zachować wydawcy polscy. W téj mierze przychodzi mi się zupełnie zgodzić na żądanie wydawcy, ażeby krytyka sądziła część źródłową jego pracy niezależnie od uwag i komentarzów, w które je przybrał.

III.

Po tych uwagach ogólnéj natury nad metodą wydania, przypatrzmy się obecnie bliżej *zasadom poszczególnym*, jakiemi w wydaniu kierował się p. W. Jak już na wybór metody, tak i na nie wpłynął głównie wzgląd oszczędności. Materyał, który p. W. wydrukował w niniejszym tomie, jest wszystek bez wyjątku ważny, dotyczy on najważniejszych zagadnień przeszłości narodu. Pozostaje domysł, czy w tém, co pominął wydawca, nie było również czegoś ważnego, z czegoby mogła korzystać nauka dziejów.

P. W. ma zupełną słuszność, jeźli powiada, że rozróżnienie w ogromnéj mieszaninie szlachetnego i podłego kruszcu, jaki zapełnia kopalnię archiwalną, szlachetnéj bryły od niepotrzebnego balastu „jest rzeczą sądu indywidualnego, który bardzo często z nader subtelném się spotyka zadaniem“. I tu niezawsze jestem w zgodzie z wydawcą, chociaż go tu lepiéj pojmuję. Uwzględnił on głównie stronę dyplomatyczną, nie pomijając przecie szczegółów obyczajowych, a główną oszczędność starał się uzyskać przez pominięcie obficie w depeszach się trafiających powtórzeń. Zauważyłem, że wydawca konsekwentnie pomijał wiadomości o działaniach wojennych, i mogę tylko przyklasnąć temu; na urywkowych, często, w miarę nadchodzących wiadomości, sprzecznych ze sobą podaniach agentów dyplomatycznych o zdarzeniach, zaszłych na dalekim zazwyczaj teatrze wojny, nikt nie zechce osnuwać historyi działań wojennych. Uczyniłbym tu przecie pewne zastrzeżenie. Wypadki zaszłe pod Żurawnem są zbyt ważne, ażeby je zbyć twierdzeniem, że są znane skądinąd (p. 309) i zrzec się dobrowolnie wszelkich informacyi, jakichby mogły dostarczyć depesze dwóch bliskich, a przez to

samo wzajemnie się kontrolujących i w tym razie niewątpliwie dobrze powiadomionych dyplomatów francuskich (biskupa marsylskiego i p. de Bethune). Podobnie nie pojmuję, jak p. W. mógł pominąć inne źródło, do tejże saméj żurawińskiéj odnoszące się sprawy, urzędowe sprawozdanie polskie, o którego istnieniu dowiaduję się z ogólnego spisu dokumentów, umieszczonego przy końcu tomu (p. 524, I, Compte rendu des événements qui se sont produits sous Żurawno du 24 Septembre au 18 Octobre 1676). Nie mogę się również zgodzić z wydawcą na ryczałtowe po większéj części zbywanie spraw sejmowych: któż mógł je znać lepiéj, jak ambasadorowie, i z wyższego na nie patrzeć stanowiska? W niedawno ogłoszonym 9-tym tomie aktów do dziejów wielkiego elektora, niemiecki wydawca, prof. Hirsch drukuje *in extenso* (z archiwum berlińskiego) dyaryusze sejmów polskich z lat 1661, 1662 itd., które przecie dla historyi pruskiéj nie tak wielkiéj są wagi. Do Francyi, ile mi wiadomo, nigdy nie posyłano dyaryuszów sejmowych; należało tedy przynajmniéj podać to, co o obradach mówią w swych depeszach ambasadorowie francuscy. Wydaje mi się w ogóle, że wydawca posuwał często zbyt daleko swą oszczędność. Tyleż się drukuje źródeł historycznych, które ani w przybliżeniu nie mogą się równać pod względem ważności z materyałem, jaki p. W. miał pod ręką. Zamiast z 4 czy 5, wydawnictwo składałoby się z 7 lub 8 tomów, nie potrzebaby liczyć na żadne pokłosie.

Do tych uwag muszę dołączyć inną o wiele dotkliwszej natury, odnośnie do *języka*, w którym ogłosił swój zbiór wydawca. Wszystkie uwagi i komentarze p. W. są pisane wyłącznie w języku polskim, co zważywszy zwłaszcza przyjętą przez wydawcę metodę grupowania dokumentów, równa się, pomimo „międzynarodowy (jak sam p. W. przyznaje, p. IX) charakter wydawnictwa", zupełnej prawie bezużyteczności zbioru dla zagranicy. Zarzut ten musi ważyć tém cięźéj, że akta wyszły nakładem i pod godłem akademii, która przecie sama po dojrzałéj, w dwóch swych komisyach historycznych (we Lwowie i w Krakowie) odbytej dyskusyi, przyjęła jako *conditio sine qua* dobrego wydania, żądanie prof. Zakrzewskiego, ażeby we wszystkich wydawnictwach, które mogą mieć wartość i ważność także dla zagranicznych uczonych, przedmowy, uwagi i w ogóle wszystko, co do zrozumienia tekstu należy, były podane czy to w języku łacińskim, czy francuskim, czy wreszcie jakimkolwiek innym, byle ten język umożliwiał obcym korzystanie z naszych wydawnictw. Ale nie o obcych tu, jeno o nasz własny interes chodzi. Odliczywszy nawet wzgląd materyalny odbytu za granicą, jakkolwiek bynajmniéj nieobojętny, (zważywszy szczupłość naszych funduszów), konieczna nam w wła-

snym naszym interesie dać się poznać światu, pokazać, że jakeśmy kiedyś mieli swoje miejsce, i to, chwała Bogu! nie ostatnie miejsce w dziejach cywilizacyi europejskiéj, tak i dziś na naukowém polu wedle sił do jej postępu się przyczyniamy. Dotąd myśmy się wprawdzie liczyli i aż nadto, może dlatego, żeśmy nie byli liczeni; pora na inną wstąpić drogę. Nie mówmy, kto nas chce poznać, niech się uczy języka naszego, bo temu wezwaniu niewielu odpowie, a jeźli na nieznajomości naszych dziejów świat niewiele zyska, to rzecz pewna, że my sami jeszcze więcéj stracimy. W Moskwie ogłaszają dokumenta moskiewskie z francuskim obok przekładem, w naszym wypadku język francuski sam się zalecał, boć dokumenta wydane są z bardzo nielicznymi wyjątkami, wszystkie w języku francuskim, a nadto wydawca, od długiego czasu zamieszkały we Francyi, który z wielkim powodzeniem bronił swéj tezy doktora praw w paryskim fakultecie, włada tym językiem, jak swoim własnym. Niedogodność tę zresztą, z użycia języka polskiego wynikającą, czuł on sam, czy akademia, bardzo dobrze; dowodem na to, że przy końcu tomu znajdujemy na całych 67 stronach in 4^{0} *ogólny spis aktów*, znajdujących się w archiwum, a spis ten wraz z notami podającemi treść dokumentów nieumieszczonych w tekście, jako téż odsyłaczami do tekstu, podany jest w języku francuskim. Spis ten niewątpliwie dla korzystających z wydania niemałém będzie ułatwieniem; wątpię jednak bardzo, czy téż i obcym korzystanie zeń umożliwi. Życzyćby należało, ażeby wydawca w następnych tomach, jeźli nie chce ich opracować w francuskim języku, zachował przynajmniej drobną formalność, ażeby przy każdej depeszy podał, naturalnie w języku francuskim, czy to na czele (w nagłówku), czy téż obok na marginesie, kto do kogo, skąd i kiedy pisze; w tomie bowiem, który mam pod ręką, bardzo często w nagłówku depeszy czytamy tylko datum i miejscowość, z któréj list był pisany, albo téż tylko do kogo depesza wystosowana, gdyż reszta wskazówek znajduje się w opowiadaniu wydawcy, które poprzedza dokument, metoda, która dla nas umniejsza przejrzystość materyału i utrudnia poszukiwania, a dla nieznających naszego języka, wręcz go robi nieużytecznym. Ów spis aktów, który zajmuje $^{1}/_{8}$-ą książki, mógłby mojém zdaniem również wypaść inaczéj. Nie widzę mianowicie najmniejszego powodu przytaczania w nim numeru po numerze wszystkich dokumentów, zapełniających folianty archiwalne, lecz tylko tych, które rzeczywistą mają wartość; owe tedy tak liczne depesze, o których spis powiada, że posiadają treść *sans importance*, mogłyby odpaść bez najmniejszéj szkody. Raz tę przyjąwszy metodę wyliczania wszystkich aktów, wypadnie ją dla saméj konsekwencyi stosować na przyszłość. Otóż, coby zrobiono np. z ta-

kim materyałem w tajném archiwum berlińskiém, gdzie ogromne pliki aktów odnoszą się do częstych, jak wiadomo, posyłek owych, 1500 ludzi liczących, oddziałów wojska, które elektorowie brandenburscy w pomoc Polsce dostawiać traktatami byli obowiązani. Wyliczać tu wszystkie akta po imieniu byłoby niedorzecznością. Ale i w samémże paryskiém archiwum znajdziesz folianty (np. korespondencyą z lat 1672 i 1673), w których ledwie 20-ta część aktów ma jaką taką wartość historyczną i zasługuje czy to na wydrukowanie, czy na wymienienie w spisie; wyliczanie całéj reszty byłoby czystą stratą. Nie widzę téż, żeby na téj skrupulatności cokolwiek miała zyskać przejrzystość materyału i przeto wolałbym zamiast tego ogólnego spisu wszystkich aktów, znajdujących się w archiwum, spis wszystkich aktów, posiadających jakąś treść historyczną, ten natomiast w *ściśle chronologicznym ułożony porządku*, niebardzo skrupulatnie zachowanym przy układaniu aktów w archiwalne folianty.

Z témi pytaniami łączy się ściśle kwestya *indeksu*, którego brak w niniejszym tomie. Mam nadto dobre wyobrażenie o sumienności, z jaką p. Waliszewski pojmuje wydawniczy swój obowiązek, ażebym mógł na chwilę powątpiewać, że indeks, rzeczywisty a dokładny indeks, osobowy, miejscowy, rzeczowy wreszcie, ukaże się co najdaléj z drugim tomem wydawnictwa, ułatwiając tym sposobem to, czego bynajmniéj, nie ułatwia wadliwa przezeń przyjęta metoda.

Z 55 tomów, z których, jakeśmy wyżéj powiedzieli, składa się korespondencya polsko-francuska za panowania Jana III, 18 pierwszych, a właściwie 15, z powodu, że trzy tomy są zapełnione kopiami, złożyło się na tom, z którego zdajemy sprawę. Dokumenta w nim podane, jeźli pochodzą z Polski, drukowane zawsze podług oryginałów, bardzo często własnoręcznych; wersalska korespondencya natomiast zachowała się przeważnie tylko w minutach i według tych została wydrukowaną. Tylko w wyjątkowych razach zwrócone przez ambasadorów do kancelaryi wersalskiéj, oryginały depesz pozwoliły wydawcy porównać je z minutami i drukować według oryginału. Zauważyłem przecie, że na str. 95 p. W. wydrukował dokument, którego oryginał znajduje się w archiwum (t. XLIII, p. 57—60) nie według tegoż oryginału, ale podług minuty (t. XL, nr. 359). Jest-to jednak rzecz prawie całkiem obojętna, gdyż jeśli się gdzie oryginały różnią od minut, to z pewnością tylko skutkiem pomyłki, albo tych, co układali w cyfry minuty ministeryalne, albo téż tych, co rozwiązywali te cyfry. W téj mierze są tedy oryginały poniekąd kopiami, a właściwymi oryginałami są minuty. Życzyłbym, ażeby wydawca był notował, czyjéj ręki są minuty depesz, wysyłanych pod imieniem Ludwika XIV-go, bo — prawdopodobny — domysł, że były pisane

ręką sekretarza stanu dla spraw zewnętrznych (pana de Pomponne) nie może zastąpić absolutnéj pewności, o którą przecie nie mogło być trudno wydawcy. P. W. zapowiada nam, że od r. 1690 kopie, aż po ten czas wyjątkowe, staną się regułą, oryginały zaś wyjątkiem, i tłómaczy to ciekawą okolicznością. Gdy około tego czasu na dworze polskim, zarówno jak berlińskim i wiedeńskim, weszło w zwyczaj przetrzymywanie poczty, musieli korespondenci wersalscy zaprzestać dotychczasowego sposobu pisania depesz (w liniach o szerokich odstępach), który umożliwiał sekretarzom wersalskim międzyliniowy wykład cyfer użytych w depeszach; przeciwnie, gdy depesze przesyłano odtąd najczęściéj prywatnémi okazyami, dla zmniejszenia objętości pakietów i łatwiejszego uchronienia ich w ten sposób przed zbyt ciekawémi oczyma, pisano je jak najściśléj, co było powodem, że dotychczasowy międzyliniowy wykład cyfer ustąpił miejsca osobnym odpisom, sporządzanym przez sekretarza dla pierwszego ministra. Te to odpisy jedynie (jeźli dobrze zrozumiemy słowa wydawcy, p. VIII) zachowały się w archiwum i one to będą w dalszych tomach stanowić podstawę wydania. Zauważyć przecie należy, że wiarogodność ich ledwie, że jest mniejszą od wiarogodności samychże oryginałów, gdyż właściwie nie są to kopie, lecz *oryginalne rozwiązania cyfer użytych w depeszach*, tak oryginalne, jak niemi tylko być mogły. Co jednak już z góry można zapowiedzieć, to, że autentyczność tych pseudo-kopii w braku oryginałów nierzadko wcale poważne będzie w stanie obudzić wątpliwości.

Modernizując dobrowolnie interpunkcyą i pisownią kopii, zachował wydawca ściśle pisownią minut i oryginałów. Mojém zdaniem jest to zbyteczna skrupulatność, która tylko niepotrzebną pociąga za sobą pstrociznę. Z wyjątkiem listów osobistości takich, jak Jan III lub Marya Kazimiera, i naturalnie wszystkich imion własnych, uważałbym za stosowniejsze modernizowanie pisowni, jak to wreszcie poleca referat przyjęty przez akademią.

IV.

Scharakteryzowałem już wyżéj *komentarz*, którym p. W. zaopatrzył wydany przez się materyał. Powiada on, że w ściśle ograniczonéj roli historyka zamknąwszy się, wychodził z niéj tylko tam, gdzie leżące przed nim źródła zdawały mu się składać na „bezwarunkowy pewnik historyczny“. Dałoby się tu, może nie bez pewnéj słuszności, zauważyć, że gdzie źródła płyną tak obficie, komentarz jest zgoła niepotrzebny, że go czytelnik każdy sam sobie dorobi. Nie mając by-

najmniéj zamiaru krytykowania wszystkich zapatrywań wydawcy, pozwolę sobie wykazać na kilku przykładach miarę, jaką należy przykładać do owych bezwarunkowych (według jego zdania) pewników historycznych.

Na czele tomu stoi *sprawa elekcyi nowego króla*. P. W. ma o niéj swoje wyrobione zdanie: według niego, Francya „zaskoczona wieścią o śmierci Michała“ (p. 1.) dziwną okazuje niepewność i chwiejność w całéj przed elekcyjnéj dyplomacyi (p. 6). Wielki marszałek działa jako wyrafinowany dyplomata, który elekcyą wraz z ambasadorem mając w swoim ręku (p. 25), tak tym ostatnim kieruje, żeby go zrobić narzędziem własnych swych widoków. „Oświadczając się głośno za kandydaturą Kondeusza“, tą „pozorną gorliwością dla interesów Francyi“, podobno tylko „pokrywa mocne postanowienie, nieprzyczynienia się do tryumfu swego kandydata, ale owszem przeszkodzenia mu“ (p. 23). Usuwa tedy Nejburczyka Kondeuszem, Kondeusza „czyni niemożliwym“, żądając od ambasadora francuskiego obietnic i gwarancyi, których ten dać nie może, a tém samém stawi ambasadora w takiém położeniu, iż musi albo dopuścić elekcyą Lotaryńczyka, albo poprzeć wybór Sobieskiego. Ambasador, któremu instrukcya zalecała przedewszystkiém starać się o wykluczenie Lotaryńczyka, ujęty przyrzeczeniem kapelusza kardynalskiego, bez trudności przykłada ręce do wyboru w. marszałka, który zyskuje koronę, jako zasłużoną nagrodę mądréj swéj i przebiegłéj polityki (p. 25). Nie dość na tém: Sobieski, który nibyto się wahał przyjąć koronę, uważa za stosowne tę „komedyę wahania“ grać jeszcze i po elekcyi (p. 51) przez całe dwa tygodnie, aż do zaprzysiężenia paktów konwentów, i oświadcza nawet po kilkakrotnie chęć złożenia korony, co wielkiego, a zgoła niepotrzebnego strachu nabawia ambasadora, zarówno jak gabinet wersalski. Tak pojmuje p. W. rolę Sobieskiego. W. marszałkowa jest dlań, jak zwykle, tylko posłuszném narzędziem swego męża, który „zakochany, ale przynajmniéj tyle zręczny, co zakochany“, używa „kobiecéj namiętności“ dla zaspokojenia swéj własnéj, prawda, że jeszcze „trochę niepewnéj ambicyi“ (p. 22); dyktuje nawet Sobieski żonie list z jakiemiś „*rzekomemi* propozycyami“ nibyto przez Turcyą jemu, w celu wyniesienia go na tron, czynionemi itd. (p. 21).

Całe to pojęcie roli Sobieskiego w bezkrólewiu r. 1674 jest, nie waham się twierdzić, najzupełniéj fałszywe. Przenikliwość wydawcy w tej sprawie robi takie wrażenie, jak postępowanie owego dyplomaty, który wierzył zawsze w rzecz wręcz przeciwną téj, którą mu podawano za prawdziwą. Nie dziś to jeszcze sądzić, czy Sobieski na wiek cały przed Talleyrandem stosował, czy nie, jego maksymy; to pewna, że w téj sprawie, gdy Sobieski mówił: tak, nie mamy naj-

mniejszego powodu twierdzić: nie. Ja przynajmniéj jestem tego zdania, że w. marszałek nie miał bynajmniéj ambicyi tronu, że działał szczérze za Kondeuszem, i że tylko z trudem dał się nakłonić do wzięcia korony, do tego stopnia, że wziąwszy ją, wobec trudności, które napotkał, myślał na seryo o jej złożeniu. Obok świadectwa faktów i kilkakrotnych wyraźnych słów ambasadora francuskiego (p. 29, 51, 67, 72, 75, por. także p. 13) przemawia za tém jeszcze cała dziesięcioletnia polityczna przeszłość Sobieskiego, przemawia przedewszystkiém rola, jaką odgrywał w bezkrólewiu 1668—1669, w któréni go dotąd nikt nie pomówił o chęć sięgnięcia po koronę, a jeszcze bardziéj rola, jaką grał w rozruchach za Michała, a którą może gdzieindziéj będzie pora rozświecić. Na uwagę, iż Sobieskiego z r. 1669 oddzielało od Sobieskiego z r. 1674, pięć lat znaczenia i wpływu, pięć lat uznanego przewodnictwa na czele partyi francuskiéj, że je oddzielały przedewszystkiém wawrzyny, zdobyte w krwawym boju pod Chocimem, możnaby odpowiedzieć, że téż naród oddzielało od Piasta niefortunne nad wszelki wyraz doświadczenie, zrobione z Michałem, a Sobieskiego od tronu oprócz téj okoliczności jeszcze i jego niezbyt wielka popularność u szlachty, która nie tak dawno temu ciskała nań gromy, stan żonaty, a wreszcie i jego charakter wysokiego dygnitarza rzpltej i członka wielkiego rodu. Michał był sobie neutralnym, na którego łatwiéj się przyszło zgodzić takiemu Pacowi lub innemu magnatowi, a Sobieski znał ich nadto dobrze, żeby mógł sądzić na chwilę, iż ich potrafi pozyskać dla swego wyboru. Jakoż mniéj niż kiedykolwiek w r. 1674 był prawdopodobnym wybór Piasta (zob. poufny list Morsztyna do p. Baluze z 27-go kwietnia 1674, pag. 21). Jeźli wobec tego taki Ranquillo (1) powiada: „Ja przekonany jestem, że Sobieski nie chce królestwa dla Kondeusza, tylko dla siebie samego, aby zaś ta zachcianka nie wydawała się tak brzydką i aby mu przeszkodą nie były jego śluby małżeńskie, wysuwa naprzód Kondeusza (p. 11), — twierdzenie, jak widzimy, p. W. — to o tém należy sądzić to samo, co o twierdzeniu tegoż Ronquilla, że Sobieska już za życia Michała myślała o koronie dla swego męża (p. 23), lub, że w. marszałek podczas bezkrólewia r. 1674 kilkakrotnie wysyłał kuryerów do Francyi z prośbą o popieranie go (p. 24). Mam wcale niedwuznaczne wskazówki, że tak nie było, że ani w. marszałek, ani nawet ambitna jego żona nie myśleli zgoła o tronie dla siebie, i że w. marszałkowa uchwyciła się téj

(1) Listy Piotra Ronquillo, posła hiszp., pisane z Polski 1674 r., z hiszp. przetłóm. i wydał X. Feliks Rożański, Kraków, 1878.

myśli dopiero, gdy poznała, że zgoda na Kondeusza, zarówno jak na Nejburczyka, wskutek oporu Litwinów wręcz jest niemożliwą.

Dziesiątego listopada 1673 umarł we Lwowie król Michał, 11-go wysyła w. marszałkowa z własnéj inicyatywy, w chwili gdy się pod Chocimem toczył bój z Turkami i Sobieski *de facto* krwawo zarabiał na koronę, wysyła, powiadam, z Jaworowa kuryera do Francyi z doniesieniem o zgonie króla i prośbą o powiadomienie jej o zamiarach gabinetu francuskiego, zaręczając, że w. marszałek „ślepo będzie posłusznym rozkazom jego król. mości“ (Ludwika XIV) (1). Ale Ludwik XIV, sparzywszy się w r. 1669, do tego zajęty wojną z połową Europy, nie myślał tym razem ponosić na niepewne nowych ofiar dla posadzenia na tronie polskim księcia z domu Burbonów. Odsyłając tedy kuryera, odpisał przezeń (15-go grudnia) z podziękowaniem, ale dodał, że rozważywszy dojrzale zaszły wypadek (śmierć króla), *nie widzi, żeby jego skutki mogły mu być milszemi, jak gdyby były korzystne dla samegoż wielkiego marszałka* (2). Czyż w języku ówczesnéj zwłaszcza dyplomacyi nie było to jasne i dobitne, czyż arcychrześciański król winien był ceremonialniéj wzywać męża swéj poddanki, żeby czynił zabiegi o zrównanie się z nim, czyż mógł wreszcie formalniéj się wyrażać, bez plątania się w sprawę, w którą mieszać się najmniejszego pierwotnie nie miał zamiaru? P. W. nie zechce Sobieskiemu zrobić krzywdy twierdzeniem, że w. hetman nie zrozumiał wyrażonego w tym liście życzenia króla arcychrześciańskiego. Atoli, możnaby powiedzieć: ofiara Sobieskiéj była z 11-go listopada, kiedy w Jaworowie jeszcze nie można było wiedzieć o zwycięstwie w. marszałka; Chocim zmienił sytuacyę, podniósł zamysły Sobieskiego. Otóż, w tymże samym liście Sobie-

---

(1) W. marszałkowa kor. Sobieska do Ludwika XIV. Jaworow, 11-go listopada, 1673. Kopia współczesna w archiwum spraw zagran. franc., t. XXXVIII, f. 293. Wiadomość o śmierci Michała nie „zaskoczyła“ tedy bynajmniéj gabinetu francuskiego.

(2) Ludwik XIV-ty do w. marszałkowéj kor. Sobieskiéj. St. Germain en Laye, 15 grudnia 1673. Minuta oryg. ręki podobno p. de Pomponne, w témże archiwum, t. XXXVIII, f. 298. „J'ai regardé cet accident (śmierć Michała) avec toute attention dont il est digne dans la conjoncture présente et souhaiterai que les suites en soient heureuses pour la Pologne. *Soyez bien persuadée qu'elles ne pourraient m'être plus agréables que lorsqu'elles seraient avantageuses à mon cousin le grand-maréchal et à vous* etc...“ Pan W. mógł był znać te dokumenta, jakkolwiek w tomie XXXVIII-ym zawarte (korespondencya wydana przez p. W. poczyna się z t. XL). Na str. 2 wydanego przezeń zbioru, w. marszałkowa w liście do p. de Pomponne powiada: „Notre *courrier est revenu ici* le 15 de Janvier...“ Wskazówka tedy była, należało tylko pójść za nią i poszukać w tomach poprzednich powodu wysyłki kuryera, a należało to tém bardziéj uczynić, że przecie bezkrólewie nie poczęło się z 1-ym stycznia 1674, ale na dwa blisko miesiące przed tą datą, bo ze śmiercią Michała, która zaszła 10-go listopada.

skiéj z 31-go stycznia 1674, o którym p. W. powiada, że był „za dyktowaniem męża pisany" (str. 21), w. marszałkowa rozwodzi na dobre żale, że kuryer, którego wysłała do Francyi, nie przyniósł za swym powrotem żadnych informacyi, co do zamiarów arcychrześcijańskiego króla i nalega, ażeby nie tracić czasu (1). W 16 dni potém pisze, tym razem jeszcze kategoryczniéj: „Pisałam kilkakrotnie obszerne listy, o ważnych sprawach, a nie dostałam odpowiedzi. Piszę dziś po raz ostatni i zaręczam, że w razie, gdyby były jakie skrupuły co do oddania nam j. książęcéj mości (Kondeusza) z powodu królowéj (Eleonory, wdowy po Michale), my przezwyciężymy wszelkie trudności itd." (2). I znowu czyż można wyraźniéj było powiedzieć, że się korony nie chce dla siebie? Teraz p. W. może nie zechce twierdzić, że Sobieski wymyślił jakieś propozycye nibyto czynione mu przez w. wezyra tureckiego, żeby się starał o koronę. Te propozycye, dla których, przyznaję, wspomniany list w. marszałkowéj z 31 stycznia jedyném jest źródłem, w moich oczach owszem stwierdzają tém bardziéj dobrą wiarę, w jakiéj działał Sobieski i zupełny brak ambicyi u niego, podczas bezkrólewia r. 1674. Wreszcie mam wielkie powody przypuszczać, że Sobieski w tym czasie, podobnie jak w r. 1669, *myślał o opuszczeniu Polski i przeniesieniu się wraz z rodziną na zawsze do Francyi*. D. 17-go listopada r. 1673 Ludwik XIV, odpowiadając na wystosowaną doń (w niewiadomym czasie) prośbę w. marszałka, donosi mu, że wydał rozkaz sporządzenia dlań listów naturalizacyjnych, na wypadek, gdyby w. marszałek chciał się przenieść do Francyi (3); a biskup marsylski ma sobie zalecono w instrukcyi poselskiéj ofiarować Sobieskiemu w nagrodę ekskluzyi Lotaryńczyka i wyboru księcia nejburskiego, godność marszałka i para Francyi, order św. Ducha, ziemię we Francyi i t. p. (4), wszystko

---

(1) Powołany wyżéj list w. marszałkowéj do p. de Pomponne z 31 stycznia 1674 (str. 2). Sobieska mówi: notre courrier; pewna przecie, że go wysłała sama, bo Sobieski 11 listopada nie mógł być w Jaworowie.

(2) W. marszałkowa do p. de Pomponne, Lwów, 16 lutego, 1674. Kopia, str. 4.

(3) Oto ten list nam dotąd zgoła nieznany, jakkolwiek drukowany od blisko 80 lat. „Mon Cousin, j'espère que le ciel ne permettra pas les funestes résolutions dont la prévoyance vous fait désirer mes lettres de naturalité pour vous et pour les vôtres; mais je n'ai pas laissé de commander qu'elles vous soient expédiées, et quand je pourrai vous donner de plus grandes marques de mon estime et de ma bienveillance, je ne m'y porterai pas avec moins de facilité". (Oeuvres de Louis XIV, t. V. Lettres particulières, pag. 518) Przypuszczam, że Ludwik XIV pisał ten list własnoręcznie, bo nie znajduję w archiwum jego minuty.

(4) Zob. Mémoire pour servir d'instruction au Sr. érêque de Marseille etc. pag. 13. (z 30 marca 1674).

rzeczy zbyteczne, gdyby Sobieski nie myślał rzeczywiście o porzuceniu Polski. Dowodów, zdaje mi się, dosyć, by wykazać nieprawdopodobieństwo przedstawienia p. Waliszewskiego. Jeźli zaś p. W., ażeby wahanie się Sobieskiego w przyjęciu elekcyi, już po dokonanym wyborze, wystawić jako komedyę, odegraną dla oszukania ambasadora francuskiego, powiada (str. 51): *„wiadomo, że Sobieskiemu w stanowczych chwilach nigdy stanowczości nie brakło“*, to ja powiem, że to wcale, mnie przynajmniéj, nie jest wiadomo, że tego wprzódy dowieść potrzeba, zanim kruche podobném twierdzeniem popierać kombinacye. Jest to sąd *a priori*, nie dobrze licujący z wymaganiami dzisiejszéj analizy historycznéj. Wyświećmy wprzódy analitycznie, jakim był Sobieski w pojedynczych chwilach swego dziejowego zawodu, a potem dopiero zbierając te poszczególne rysy, mówmy o jego charakterze, ale strzeżmy się brać za podstawę naszego dowodzenia ogólnik, który sam nie jest jeszcze stwierdzony. Mnie się owszem zdaje, że Sobieskiemu, przy wielu świetnych zaletach umysłu i serca, brakło właśnie zalety stanowczości, nad czém nie tu miejsce bliżéj się rozszerzać. Dodam przecie, że takie Sobieski i na posłach francuskich, biskupie marsylskim, zarówno jak margrabi de Bethune, zrobił wrażenie (1).

Ambicyi przeto u Sobieskiego, a tém mniéj z góry obmyślanego planu nie było, dopiero gdy już upływał termin sejmu elekcyjnego, gdy nadto wytrwały opór Litwinów robił nieprawdopodobnym wybór Nejburczyka zarówno jak Kondeusza, na parę dni przed samymże wyborem, powzięła (i to podobno nie Sobieski, ale) w. marszałkowa myśl rzucenia za przykładem r. 1669 imienia Piasta pomiędzy sejmujących. Tatarzy a zwłaszcza elektor brandenburski, który widział słabość stronnictwa nejburskiego, a obawiał się Lotaryńczyka, miał utwierdzać w téj myśli. Mam powody przypuszczać, że nie był jéj obcym, być może, że był jéj pierwszym autorem wojewoda ruski, Jabłonowski, znany stronnik w. marszałka, poufały z Sobieską, naturalny spadkobierca (mniejszéj) buławy. Długo przecie wahał się Sobieski: jeszcze w wilią wyboru działał szczérze, z zupełną lojalnością za kandydatem francuskim. To nie przeszkadzało naturalnie, ażeby powszechnie, w obozie przeciwników, zarówno jak stronników w. marszałka, nie przebąkiwano, że

---

(1) Oto co pisze 11 maja do Ludwika XIV biskup marsyl.: „D'ailleurs il (tj. w. marszałek) est extrêmement lent; il a même un peu de l'irrésolution de la nation“ (p. 28). W podobny sposób pisze margrabia de Bethune 7 lipca 1677: „(Le roi de Pologne) de lui même est assez lent a se résoudre dans les grandes et les petites choses“ (p. 406).

Sobieski będzie królem. Echem tych zapatrywań są właśnie listy Ronquilla, a korespondencya p. de Sévigné i urzędowy dziennik francuski świadczą, że i we Francyi od samego początku nikogo innego, tylko Sobieskiego uważano za przyszłego króla (1). Ale o tém wiedzieliśmy od dawna; co natomiast niedokładnie było znane, to postępowanie samego Sobieskiego. Otóż pod tym względem, materyał historyczny wydany przez p. W., jakkolwiek szczupły, wystarcza przecie, jak to powiada wydawca (str. 25), do wyświecenia prawdy, atoli mojém zdaniém wystawia ją w świetle wręcz przeciwném temu, w którém ją ujrzał wydawca.

Już zaś zgoła nie umiem sobie wytłumaczyć, na jakiéj podstawie, ba! na jakim cieniu podstawy p. W. opiera twierdzenie (str. 21), że propozycye w. wezyra czynione Sobieskiemu, o których wspomina w. marszałkowa w liście do p. de Pomponne z 31 stycznia 1674 były wymysłem w. marszałka. Co się zaś tyczy okoliczności, na którą p. W., zdaje się, kładzie przycisk (str. 22), iż Sobieski wysunąwszy żonę sam od pisania do Francyi się wstrzymywał, to nie chcę przeczyć, że to był jego zwyczajny sposób postępowania, spowodowany, co prawda, politycznymi względami, ale także kunktatorską jego naturą, która rzadko umiała dotrzymać kroku gorącym zapędom żony.

Nie ulegnę pokusie przerabiania w ten sposób wszystkich komentarzy, które wydawca dołączył do wydanych przez się aktów. Są tam uwagi, ktorych nie uznać byłoby niesprawiedliwością; przyszły historyk Jana III będzie się musiał liczyć z niemi, może sobie przywłaszczyć z nich niektóre. Wydawca ma sąd zdrowy o rzeczach i kombinuje z prawdziwém powodzeniem.

Szkoda, że ten dar kombinacyi uwodzi go często zadaleko. Widzieliśmy wyżéj „rzekome propozycye“ w. wezyra, widzieliśmy „komedyą“, odgrywaną przez Sobieskiego. Na str. 145 czytam o „*małéj politycznéj komedyi*“, którą „gwoli interesom francuskim“, wedle zdania p. W., w końcu r. 1674 miała odgrywać Sobieska. Tą komedyą była jéj choroba. Otóż stwierdzoném jest dowodnie przez materyały wydane w niniejszym zbiorze, że Sobieska była w istocie i to bardzo niebezpieczuie chorą, sam wydawca powiada zresztą (tamże, p. 145), że choroba królowéj „mogła być niekłamaną“, gdzież więc

---

(1) Pani de Sévigné pisze 22 grudnia 1673, na wieść o zwycięstwie chocimskiém: „La victoire du grand-maréchal est si grande, qu'on ne doute point qu'il ne soit élu roi, (autant plus qu'il est à la tète d'une armée et que la fortune est toujours pour les gros bataillons“, a gazeta urzędowa głosiła „que le grand-maréchal s'était rendu par là Chocim) digne du trône qu'il avait sauvé“. Zob. Salvandy'ego: Hist. de Pologne avant et sous le roi Jean Sobieski, wyd. z r. 1829, t. II, p. 165.

komedya? Ładna mi komedya, gdy czytamy, że królowa poroniła nieżywą córkę, gdy mówiono o otruciu i gdy lekarze zwątpili o zachowaniu jéj przy życiu (zob. str. 154). Czy dlatego, że choroba ta sprowadziła Sobieskiego do Kazimierza, i że wtedy udało się posłom francuskim ułożyć się z nim, co do przyszłego traktatu, koniecznie należy przypuszczać, że Sobieska udała chorobę? Wydawca zresztą niebardzo jest skłonny do przepisywania „Marysience" zbyt wielkiéj roli.

Takich dowolnych komentarzy pełno. Na str. 151 czytam o zamiarze Sobieskiego *zrobienia swego królestwa dziedzicznêm*, dosłownie: „Le roi de Pologne m'a dit de grandes choses et vous pouvez assurer le roi qu'il songe á rendre ce royaume-ci héréditaire etc..." (Bethune do p. de Pomponne, 14 paźdz. 1674, por. także p. 149). Toż samo znajduję jeszcze późniéj, znacznie dokładniéj i obszerniéj (Bethune do Ludwika XIV, 27 lutego 1677, str. 358). Kwestya ta była przedmiotem osobnéj korespondencyi między królem a ambasadorem. Otóż sprawa dotyczyła najżywotniejszego pytania przyszłości narodu, jest przeto dosyć ważną, ażeby ją traktować oględnie, a nie rozstrzygać w czambuł dwóma słowy. Wydawca nie tak sądzi, jemu ów zamiar Jana III jest „rzekomym zamiarem" (p. 151, uwaga): na tém koniec. Wydawca wprawdzie powiada w przedmowie (p. VI): „Wnioski i przypuszczenia, chociażby na jednostronnych świadectwach oparte, nie sądziliśmy, aby mogły być nam wzbronione". Otóż wobec tego ma i krytyka prawo, ma zarazem obowiązek wytknąć i zganić tak gołosłowne, tak lekkomyślne przypuszczenia, tak w ogóle zgoła nienaukowy sposób postępowania.

Przenikliwość wydawcy prowadzi go czasem do konkluzyi, które chyba dowodzą, że taż przenikliwość jest znacznie większą od jego znajomości dziejów powszechnych. Tak w głośnéj sprawie pana Brisacier, na którą wydanie niniejsze po raz pierwszy ważne rzuca światło, powiada p. W. (str. 301), odrzucając hipotezę, iż pomiędzy Sobieskim a panią Brisacier istniały kiedyś nieprawe stosunki: „jeśli Sobieski i pani Brisacier byli kiedyś młodymi, to dla Maryi Teresy i jéj sekretarza młodość ze swemi pokusami kwitła teraz jeszcze pełnym kwiatem". Coś podobnego twierdzić, znaczy nie znać charakteru królowéj francuskiéj, kobiety cnotliwéj, cichéj, całéj w modlitwie i rozpamiętywaniach żyjącéj, do miłostek tedy pokątnych z sekretarzami rodzaju p. Brisacier niezbyt sposobnéj. Wiadome są słowa, które wyrzekł Ludwik XIV z okazyi jéj zgonu (1683): Jedyna to przykrość, którą mi ta osoba sprawiła; a pojął ją przecie w r. 1661. Wydawca mógłby wprawdzie powiedzieć: to tylko hipoteza, mniéj lub więcéj prawdopodobna; ależ i hipoteza musi być na czémś opar-

tą, inaczéj traci prawo do téj naukowéj nazwy i schodzi do rzędu prostego widzimisię. Komentując tedy bardzo bystro sprawę p. Brisacier, tém przypuszczeniem, zdaje mi się wydawca sprowadzać ją na trop fałszywy. Bliższą jest, mojém zdaniem, myśl, czy-to że w istocie między Sobieskim a panią Brisacier istniały były jakieś nieprawe stosunki, czy że tylko taka była o nich opinia, dość, że Brisacier *wystawiwszy je jako rzeczywiste królowéj*, któréj był sekretarzem, z łatwością uzyskał od niéj prawdziwy, wcale tedy nie podrobiony (na co się i p. W. zgadza) list swéj monarchini, którego następnie użył dla dopięcia swych awanturniczych celów.

Podawszy na str. 212 tekst układu, zawartego 11 czerwca 1675 pomiędzy Janem III, a posłami francuskimi, dodaje doń p. W. „tytułem komentarza" drugi z kancelaryi biskupa marsylskiego, jak powiada, pochodzący dokument, p. t. Projet d'articles d'un traité á faire avec le roi de Pologne. Dokument ten, na fałszywém podany miejscu w archiwum, zmylił także i wydawcę, jakkolwiek w sposób niełatwy do usprawiedliwienia. Czytamy w nim wyraźnie o propozycyach Austryi, mających na celu „d'obliger (le roi de Pologne) de renouveller la guerre avec le grand seigneur"; o zamiarze tegoż habsburskiego domu wzbudzenia nowych wojen w cesarstwie „et y troubler la paix que Sa Mté (Ludwik XIV) y a établie". Otóż w r. 1675 z jednéj strony jeszcze trwała wojna Polski z Turcyą, z drugiéj wrzała jeszcze na dobre wojna pomiędzy Francyą a cesarzem i jego sprzymierzeńcami, wyrażenia powyższe nie miałyby tedy sensu. Ale wszelką wątpliwość znosi dalszy ustęp dokumentu, w którym wspomniane są: „les traités de Munster et de Nimègue". Zdaniem mojém projekt, o którym mowa, należy odnieść do r. 1681 lub 1682. Uwaga ta pouczy zarazem, co należy sądzić o przypisku wydawcy „z kancelaryi biskupa marsylskiego".

Dodam tu jeszcze, że, jeśli mnie pamięć nie myli, ważny instrument traktatu z 11 czerwca 1675, wydrukowany w niniejszym zbiorze podług oryginału, był już drukowany, i to również podług oryginału zachowanego w tajném archiwum berlińskiém, w dziele Moernera p. t.: Preussens Staatsverträge (Berlin, 8°, podobno 1866). Żałuję mocno, że nie mając dzieła tego pod ręką, nie byłem w stanie porównać ze sobą obu tekstów.

Na str. 407 wydrukował p. W. ważny memoryał, o którym powiada: akt ten *własnoręcznie*, jak się zdaje, przez Sobieskiego pisany i doręczony exambasadorowi itd... Czyż wydawca nie zna ręki Sobieskiego i gdzież powody téj wątpliwości? Z lektury dokumentu dochodzi się do wniosku, że w téj formie, w jakiéj jest wydrukowany,

Sobieski go nie pisał, ani nawet nie wypracował, a to z następujących powodów:

1) bo Sobieski (jak p. W. zauważył zresztą sam bardzo słusznie p. 469) tak źle nie pisał;

2) bo nie używał w pisaniu takich archaizmów, czyli, że pisał nietylko lepszą, ale i o wiele nowszą francusczyzną; a wreszcie też dlatego:

3) że Sobieski pisał wyraźnie, a w dokumencie, o którym mowa, mimo, że zajmuje tylko 1½ strony, aż dwa wydawca zanotował miejsca, których zgoła nie zdołał odczytać.

Otóż na str. 469 podaje wydawca inny, również bardzo ważny memoryał, późniejszy o jakie pół roku od pierwszego, o którym powiada „przesłany i jakoby zredagowany przez Maryą-Kazimierę“, *jakoby*, gdyż p. W. stara się dowieść, że memoryał *był wspólném* obu małżonków królewskich dziełem. Na pytanie o dowody odpowiada nam p. W.:

1) że styl i układ dokumentu różne są od stylu i układu innych znanych autografów (jabym powiedział raczéj: autogramów) Maryi-Kazimiery;

2) w dokumencie trafiają się co chwila polonizmy, które zapewne były obce Mary-iKazimierze.

3) Jan III, który oceniał należycie pisarskie uzdolnienie żony (o dyplomatyczném nie chce nic mówić p. W.), nie byłby się spuścił na nią w przedmiocie tak ważnym. „Marysieńka nawet tak pisać nie umiała“, powiada p. W., t. j. nawet tak źle, czyli pisała o wiele gorzéj.

P. W. odmawia jéj tedy „honoru przybranego autorstwa“. Właściwego autora zaś radby się dopatrzyć w autorze memoryału podanego wyżéj na str. 407. Atoli zważmy, że

1) Sobieski pisał o wiele lepiéj;

2) że niektóre zwroty memoryału wskazują przecie Maryą-Kazimierę, a nie Sobieskiego; z uwagi wreszcie

3) „na ogólny charakter pisma, wyrażający dobitnie zupełną wspólność obojga małżonków w tym akcie dyplomatycznym;“ p. W. dochodzi do wniosku, że memoryał jest wspólném obu dziełem. Pan W. koronuje dzieło następującém twierdzeniem: „Skoro z samego listu króla powołującego się na memoryał wynika, iż dokument ten *myślą* zarówno do niego jak do królowéj należał, kwestya, do kogo należał *formą*, zdaje się nam być drugorzędną.“ Czyż p. W. nie dostrzegł sprzeczności, w jaką popadł przez to twierdzenie? Pocóż więc całe to dowodzenie, gdy p. W. nie wątpi, że duchowo memoryał jest wspólnym obu małżonków utworem, a kwestya formy jest

drugorzędną. W istocie wydawca nie przekonał mnie ani o jednėm ani o drugiém. Kwestya formy nie jest bynajmniéj drugorzędną, jest jedyną, którą winien się zająć sumienny wydawca. Inne pytanie i do zakresu wydawcy wcale nienależące, ani téż przez p. W. nierozwiązane, to jest, czy dokument ten, nad który mało się znajdzie ważniejszych w dziejach Jana III-go jest wyłącznie utworem Maryi-Kazimiery, milcząco przez Sobieskiego stwierdzonym, czyli téż był za poradą, za porozumieniem się lub zgoła za natchnieniem Sobieskiego pisany, innemi słowy: czy Marya Kazimiera działała na własną rękę, przesyłając do Francyi ten memoryał, od którego p. W. datuje zwrot w polityce zewnętrznéj Jana III-go, czyli téż była narzędziem męża. To pytanie, powiadam, jest otwarte, mimo rozumowania p. W., każdy historyk inaczéj na nie odpowie, stosownie do tego, czy w Sobieskim będzie widział męża z duchem inicyatywy, czyli téż tylko ulegającego podszeptom żony, niegdyś sympatycznego kochanka, a dziś uległego małżonka. Czegobym w podobnych razach żądał od wydawcy, to ile możności jak najdokładniejszego określenia kwestyi formalnéj, bynajmniéj nie drugorzędnéj, bo mogącéj stać się ważnym czynnikiem w rozwiązaniu tamtéj, rzeczowéj, o wiele ważniejszéj. Intuicyą podobne pytania się nie rozwiązują, a nic gorszego jak mieszanie psychologicznych motywów z kryteryami czysto-zewnętrznemi, jako to charakterem pisma lub właściwościami językowemi.

Mojem osobistém zdaniem, memoryał o którym mowa, był *zredagowany* przez Maryą Kazimierę. Co do ręki, która go pisała, to mówi ona sama w liście do Ludwika XIV (str. 467 por. téż p. 476 list Sobieskiéj do biskupa marsylskiego): „un mémoire chiffré de ma min.“ Zauważę jeszcze, że słowa listu p. de Bethune (do p. de Pomponne, 31 grudnia 1677, p. 465): „la reine de Pologne a chiffré une longue lettre dont elle ne s'est fiée à personne, s'étant servie d'un de ses valets de chambre *pour lui dicter les syllabes*,“ które p. W. rozumie, jakoby dworzanin układał list w cyfry, według francuskiéj składni można téż bardzo dobrze rozumieć w sposób odwrotny t. j. że Sobieska pisała a dworzanin dyktował.

Co się wreszcie tyczy autentyczności memoryału, to się zgadzam z p. W., że najmniejszego nie ma co do niéj wątpienia.

Oto ważniejsze punkta, które uważałem za potrzebne podnieść i zaznaczyć w komentarzu wydawcy. Z żalem muszę dodać, że *objaśnienia*, w które p. W. zaopatrzył wydane przez się akta, nie stanowią bynajmniéj najlepszéj części jego pracy: nie ma w nich najmniejszego wymiaru i doprawdy nie mogłem rozpoznać, na jakiéj je wydawca podawał zasadzie. Najczęściéj są one wprost niedostateczne. Parę przykładów na chybił trafił. Na str. 86 czytam w jed-

néj i téj saméj depeszy następujące trzy nazwy: Spetz, Lublinie i Podolinie. Pan W. objaśnia z nich pierwszą, która oznacza Spiż (co każdy pozna, bo w depeszy powiedziano, że ta forteca jest dziedzictwem Lubomirskich); co oznaczają dwie inne nazwy, nie mówi wydawca. Lublinie zapewnie Lubomla, ale Podolinie? Należało poszukać i oszczędzić pracy czytelnikowi. Czasami objaśnienia są wcale ciekawe. Str. 151 stoi w dokumencie: Nicolas Serin; wydawca objaśnia to w uwadze przez Serini, co niczego nie uczy. Wydawca powienby wiedziéć, że tak Serin jak Serini to popsute przez francuskich dyplomatów nazwy i że ów Serin, to nikt inny, jak jeden z potomków pogromcy Turków, wsławionego bohaterską obroną Szigethu w r. 1564 Mikołaja Zrinyi. Z innych jeszcze objaśnień widzę, że wydawca niedostatecznie zna ważne osobistości owego czasu; tak widzę z uw. jego 4, na str. 123, że nie wie dobrze, kim był ów syn burmistrza królewieckiego, Roth nazwiskiem, z którego imieniem łączą się usiłowania odzyskania Prus książęcych za Jana Kazimierza i Michała; gdzieś indziéj (zapomniałem zanotować stronę) zdaje się nie wiedziéć, kim był Strauch, kaznodzieja gdański, bo nawet mu właściwego jego nazwiska, niedokładnie podanego w tekście (Strau) nie przywraca w objaśnieniu. Wreszcie mówić (p. 227) o „niejakim Wranglu“ znaczy chyba nie wiedziéć, kim był sławny w swoim czasie „konetabl“ szwedzki. Takich rzeczy jest wiele w wydanym przez p. W. zbiorze. Jeżeli na str. 144 czytam w depeszy p. de Bethune, że „la derniere action de M. le prince donne une secrète émulation (au roi de Pologne),“ to ścisłość naukowa wymagała, żeby wydawca objaśnił na czém polegał ten świetny czyn Kondeusza. Albo czy nie należało poszukać, jak się nazywał ów ambasador duński w Polsce, którego dwa listy przejęte przez Polaków podaje (str. 459) wydawca?

Gorszym jest *zupełny brak wiadomości biograficznych* o dyplomatach francuskich czynnych w Polsce. Nie wiemy zgoła, czy taki Forbin Janson lub nawet Bethune byli młodzi czy starzy, czy już gdzieindziéj pełnili urzędy dyplomatyczne, i jakie w ogóle były ich życia koleje; a przecie są to rzeczy nietylko ciekawe, bo osobistości te należą do naszych dziejów, ale i potrzebne, bo są niejednokrotnie ważnym czynnikiem w ocenieniu wiarogodności dyplomatycznych podań.

Nadmienię wreszcie, że listy Ludwika XIV (o których wspomina wydawca na str. 468), pisane z powodu chybionego zamiaru otrucia królewskiéj pary arszenikiem wrzuconym do kawy, znajdują się w dziełach Ludwika XIV-go (1): jakkolwiek ceremonialne, są one

(1) Oeuvres de Louis XIV, t. V. Lettr. partic. 1806, p. 569—570. Arszenik wrzucono, jak wynika z listu Ludwika do Maryi-Kazimiéry, nie do kawy, ale zmieszano z cukrem.

przecie dosyć ważne, a wspomniane dzieła u nas zbyt rzadkie, żeby je można było bez wahania się wydrukować. Także byłby wydawca znalazł jeszcze inne listy Ludwika XIV w tym czasie do królewskiéj pary pisane, tak mianowicie (p. 522) list do Sobieskiego z 31 marca r. 1674, stanowiący kredytywę dla biskupa marsylskiego; poufny list Ludwika do Jana III z 7 czerwca r. 1674 (p. 526), tejże treści, co wydrukowany w zbiorze p. W. na str. 57 list urzędowy, który jednak nosi nieco późniejszą datę (9 czerwca); wreszcie list do Maryi Kazimiery z 24 listopada r. 1676, w którym wyrażając radość z powodu szczęśliwego zawarcia pokoju z Turkami, Ludwik XIV przypomina zarazem królowéj obowiązek wykonania traktatu jaworowskiego. (Por. Wal., str. 336).

V.

Wydaną przez się korespondencyę dyplomatyczną poprzedził p. W. obszerną *przedmową*, ogólnym wstępem atoli nie dziejów dyplomatycznych Jana III go, lecz do dziejów narodu wogóle. W nim streszcza on w najogólniejszych zarysach wyniki studyum swego nad czasem Sobieskiego. Wyznaję z prawdziwém zadowoleniem, że jakkolwiek nie we wszystkiém przyszłoby mi się z nim zgodzić, jakkolwiek mianowicie zbyt wiele sądów jego nosi na sobie nadto wybitne piętno jak najindywidualniejszych, częstokroć należytego poparcia faktycznego pozbawionych zapatrywań, jakkolwiek wreszcie dla wielu z nich może jeszcze nie nadeszła pora, wyznaję, że to studyum trafnością, nierzadko głębokością zawartych w niém spostrzeżeń, napisane do tego językiem pięknym, poważnym, przezroczyście, że się tak wyrażę, myśl autora zawsze jasną i logiczną oddającym,—prawdziwą przynosi mu chlubę, a z pewnością świadczy dowodnie o niemałéj jego konstrukcyjnéj zdolności. Po tym ogólnym jednak o niém sądzie, pozwolę sobie wyjąć zeń jedno z zapatrywań p. W., które, zdaniem mojem, wydane już materyały w zupełności czynią dojrzałém do naukowéj dyskusyi.

W wieku XVII u nas przekupstwo doszło do wysokiego stopnia. Zastanowiło ono już Helcla, poprzednika p. W. na tym samym zagonie niwy dziejowéj, który starał się je złagodzić, przypisując owym pensyom i jurgieltom, pobieranym przez magnatów polskich od obcych dworów, charakter subsydów podobnych do tych, jakie mniejsze dwory pobierały od większych za popieranie ich polityki. Helcel powołał się nadto na smutny stan powszechnéj podówczas w téj mierze moralności publicznéj, a zresztą jako źródło tego postępowania

podawał jakąś „omyłkę sumienia.“ Zapatrywanie Helcla przejął inny, bardzo zresztą sumienny badacz, pan Jabłonowski (w żywocie Grzymułtowskiego, ogłoszonym w Ateneum i następnie osobno na czele „Listów i mów“ poznańskiego wojewody). Wydawcy niniejszego zbioru tłómaczenie to nie wydało się wystarczającém; szukając należytego rozwiązania tego, jak powiada, niepojętego zagadnienia, iżby Lubomirski lub Sapieha, z którego dóbr dochody roczne obliczały się na setki tysięcy lirów, miał za kilka ich tysięcy zaprzedawać narodową sprawę, dopatruje klucza téj zagadki w osobliwszém stanowisku, jakie panowie polscy zajmowali w rzeczypospolitéj, w zupełnéj ich niepodległości, która wobec tego zwłaszcza, jakie podówczas było w Polsce wyobrażenie o interesie kraju, pozwalała im bez wyrzutów sumienia grać rolę prawdziwych kondotyerów politycznych i nietylko najmniejszego do tych najemniczych stosunków nie przywiązywać sromu, ale owszem upatrywać nie mały zaszczyt w tém podniesieniu się *do stanowiska potencyi politycznéj*, które było nibyto jednoznaczne z *wejściem w systemat aliansów i koalicyi europejskich*. Konsekwentnie z tem zapatrywaniem, uważa p. W., że przykłady rzeczywistego frymarku sumieniem czyli prawdziwéj przedajności należą do rzadkich wyjątków, nietrudnych zresztą do wytłómaczenia ogólnym podówczas stanem moralności publicznéj. Na stwierdzenie p. W. przytacza przykłady z współczesnych dziejów angielskich.

Otóż mojém zdaniem, aczkolwiek boleśnie to wyznać, co p. W. nazywa wyjątkiem, to było regułą, a to co według p. W. było normą, to tylko w rzadkich wypadkach, albo raczéj zgoła nie było prawdziwém. Przedewszystkiém, wszystkie podania współczesne i to nie jednego lub dwóch ambasadorów, ale całych szeregów agentów politycznych, do różnych należących narodowości, tak dobrze jak źle dla Polski usposobionych, francuskich, brandeburskich, nejburskich, hiszpańskich (niewątpliwie i cesarskich, których nie znam wiele) dosadnemi, często prawdziwie bolesnemi słowy piętnują chciwość ludzi, z którymi mieli do czynienia. Cytaty odnośnych ich twierdzeń na bogatą a smutną złożyłyby się antologią; tom wydany przez p. W. również nie jest skąpy w téj mierze. Nadto p. W. ograniczył swój komentarz tylko do magnatów; otóż faktem jest, faktem bolesnym ale niewątpliwym, nieobcym temu, co się zajmuje dziejami epoki, że i szlachta drobna, szlachta średnia, ta, z pośród któréj rekrutowali się posłowie sejmu, nie o wiele lepszą była w tym względzie. Jeżeli stosunkowo mniéj mamy w téj mierze wyraźnych świadectw w korespondencyach dyplomatycznych, to tylko dlatego, że ambasadorowie i agenci obcych mocarstw rzadko, bo prawie nigdy ze szlachtą, natomiast wyłącznie z magnatami mieli do czynienia i że prócz tego

historya, zapisując dzieje wielkich korupcyi, które były przedmiotem korespondencyi dyplomatycznych, nie zapamiętała drobnych, jednorazowych „laf,“ (jak je nazywa p. W.), któremi kupowano szlachtę. Magnaci owszem, biorąc pieniądze od obcych dworów, zasłaniali się twierdzeniem, zresztą zupełnie prawdziwém, że im potrzeba pozyskać szlachtę dla sprawy, którą popierać się obowiązywali, ledwie że potrzebuję dodawać, w jaki to sposób pozyskiwano tę szlachtę. Znamienitszym dukaty, resztę raczono i pojono. „Czapką, papką i solą,“ dawne przecie i powszechnie znane *dictum*. Rzadkość bitego kruszcu dodawała mu jeszcze wartości. Znana jest powszechnie historya owego przeniewierczego podskarbiego za Jana Kazimierza (podobno Bogusława Leszczyńskiego), który, gdy ktoś z posłów sejmowych ozwał się z jakiemiś niemiłemi uwagami co do rachunków skarbowych, miał na głos w senacie zawołać: „A któryż to tam brat, com mu nic nie dał?“ Nie sądzę, żeby ta historya była prawdziwą, tak źle podówczas u nas jeszcze nie było. Przekupstwo praktykowało się już i to na wielką skalę, ale potajemnie, kara infamii spotkała posła, którego schwytano na gorącym uczynku, jak podczas sejmu r. 1661 brał od posła austryackiego barona Lisoli pieniądze (1).

Widzimy, tutaj teorya p. W. *o potencyi polityczném* nie da się zastosować. A cóż dopiéro powiedziéć o przedajności kobiét?!—tym bo przecież nie chodziło o wejście w *systemat aliansów i koalicyi europejskich*. Marya Ludwika, która umiała się obchodzić z ludźmi, sądząc z panowania, jakie sama miała nad mężem, zyskując mężów, nie przepominała bynajmniéj o ich małżonkach. W jakiż-że to czyniła sposób? Znowu pieniędzmi, a tylko dla odmiany zegarkami, koronkami i tego rodzaju fatałaszkami, które jéj umyślnie na ten cel przysyłano z Francyi. Przysłowie polskie, niekoniecznie pocieszające, powiada: „Za pieniądze ksiądz się modli...“ Do dawniejszych, które znałem poprzednio, w aktach wydanych przez p. W. przybywa nowe świadectwo, stwierdzające prawdziwość tego przysłowia. Poseł Ludwika XIV na sejm elekcyjny r. 1674, sam duchowny (biskup marsylski) pisze do swego pana 18-go maja: „J'ai fait distribuer 500 écus aux religieux, afin de faire prier Dieu pour une élection favorable *et les empêcher de murmurer*, car ils ont quelque crédit en ce pays ici (str. 33). Ponoś nie ich modlitwy opłacał w ten sposób poseł francuski.

Wobec faktów tedy zarówno, do których się nie da zastosować tłómaczenie p. W., jak wobec mnogich sądów współczesnych, które

---

(1) Relacya posła franc. Ant. de Lumbres, w archiwum parys. spraw zagran. (cytując z pamięci, nie umiem dokładnéj podać daty).

bez ogródki nazywają rzecz jéj właściwém imieniem, wykład p. W. a tém mniéj Heicla nie da się utrzymać. Pan W. dziwi się, jak to być mogło, żeby Sapieha lub Lubomirski za kilkanaście tysięcy lirów frymarczyli sumieniem, gdy im przecie majątki ich po kilkaset tysięcy rocznego przynosiły dochodu. Rzecz dziwna tylko na pozór. Ten sam Radziwiłł, który w kilkanaście lat późniéj przy swym wjeździe jako poseł rzeczypospolitéj do Rzymu, rozwinął był przepych jakiego przedtem nigdy nie widziano—koniom jego orszaku srebrne umyślnie z nóg odpadały podkowy—ten sam Radziwiłł z gotowością tysiąc do kieszeni wsunął talarów, wziętych od Maryi Ludwiki za przyrzeczenie popierania francuskiéj kandydatury; ktoś inny strwonił w kilku bankietach jurgielt, który od obcego pobierał dworu. Mielibyśmy prawo się dziwić, gdybyśmy nie wiedzieli, że chciwość z marnotrawstwem nierzadko idzie w parze, gdybyśmy nie znali bajki o Pyszno-Skąpskim, który jedną ręką starał się zatrzymać, co trwonił nieopatrznie drugą.

Pan W. powiada (p. XX), że najwięcéj poszukiwaną formą „subsydyów“ był stały, roczny jurgielt. Na to zgoda; okoliczność ta znajduje wytłómaczenie swe w tym przekonywającym fakcie, że lepsza stała pensya, aniżeli jednorazowy datek. Jeżeli jednak daléj p. W., z uwagi na okoliczność, którą również muszę stwierdzić, iż ten jurgielt rzadko był wypłacanym, powiada dosłownie: „*Wystarczał tedy beneficyaryuszowi tytuł królewskiego lub cesarskiego pensyonarza*, świadectwo przyjaznych związków królika polskiego z jego dobrym kuzynem Ludwikiem XIV; dowód, jakie pojęcie miał zachodni mocarz o wpływie swego pensyonarza na sprawy Rzpltéj, znamię zajmowanego w Rzpltéj miejsca!“ to mu się tu muszę stanowczo sprzeciwić. Uchodzi jeszcze samo branie pieniędzy, bo interes wiecznie będzie rozstrzygać w polityce, któréj jedyną jest sprężyną; uchodzi, powiadam, cokolwiek-by można powiedzieć przeciwko niepowołanemu identyfikowaniu interesu własnego z interesem ogółu; uchodzi z uwagi zwłaszcza na okoliczność, że targ właściwy należał do rzadkości, bo wypłata jurgieltu była tylko milczącem zastosowaniem dyplomatycznéj formuły *do ut des*, najczęściéj bez wyraźnéj, poprzedniéj umowy; nic natomiast boleśniejszego, nic bardziéj upokarzającego, jak owo dopominanie się jurgieltów i pensyi za przysługi kiedyś oddane, upominanie się uporczywe, natrętne, niejednokrotnie bezwstydne, a wyraźnie kłam zadające twierdzeniu p. W., jako-by tu tylko o *honor* królewskiego czy cesarskiego pensyonarza chodziło. Wielu przecie, Sobieska, Andrzej Morsztyn, Leszczyński Jan zwłaszcza (w. kanclerz kor.) nie zadowalniali się tym honorem, chcieli go co roku widzieć odnowionym i nie żenowali się przeto bynajmniéj w téj mie-

rze; dokumenta niniejszego zbioru na niejednéj stwierdzają to karcie; nie bez zadowolenia natomiast widzimy, że natury szlachetniejsze, do których przedewszystkiém sam należał Sobieski, nigdy do tego nie posunęły się stopnia. Dodam wreszcie, dla okazania bezpodstawności twierdzenia p. W., jakoby tu tylko o honor chodziło, że w moich oczach ten honor fatalnie przypomina owego skradzionego wołu (w bajce), który bynajmniéj nie tuczył swego właściciela; jakoż ukrywano się gorliwie z tym honorem; kwitu na odebrane pieniądze żaden z panów nie chciał wystawić, jakkolwiek elektor brandeburski np. na seryo się tego domagał, przydomek jurgieltnika obcego mocarstwa był zawsze, w tym przynajmniéj czasie, ciężką obelgą i to właśnie jest niejaką wskazówką, że rzeczy nie stały jeszcze jak najgorzéj.

Mojém zdaniem, bolesna a ważna kwestya przedajności przodków naszych w XVII i XVIII wieku będzie należycie wyświeconą dopiéro, gdy będą wyświecone w sposób lepszy, niżeli są dotąd, powody powolnego upadku naszéj moralności publicznéj w ogóle. Traktować ją oddzielnie, znaczy wyrywać ją niestosownie z właściwego jéj związku, przedajność ta bowiem *była tylko jedną, acz prawda, najbrzydszą formą egoizmu politycznego*, który miał strawić społeczeństwo nasze; zajmuje ona wraz z niecném rozdrapywaniem poborów publicznych najwyższe miejsce w smutnym panteonie owych przeróżnych interesów osobistych, obrażonych ambicyi i tych wszystkich wad narodowych, co od początkowego wyzyskiwania rzeczypospolitéj, od chwytania starostw i beneficyów doprowadziły, w interesie własnych korzyści, do otwartego opierania się zbawiennym reformom; od usuwania się od ciężarów publicznych do jawnego zaprzedawania własnéj i narodowéj godności, od obojętności wreszcie na dobro powszechne do otwartéj zdrady; co jedném słowem, po półtorawiekowéj agonii wpędziły nas do grobu. Jeżeli p. W., dla ułagodzenia grozy tego obrazu, powołuje się na ówczesny stan moralności publicznéj u innych narodów, a w pierwszém miejscu na Anglią, to stwierdza on tém ponoć tylko prawdę, któréj i ja bynajmniéj przeczyć nie myślę, że powszechnie podobna moralna panowała choroba, że jednak nigdzie do takich nie doszła rozmiarów, jak w państwach obdarzonych instytucyami swobodnemi, jakiemi była nasza rzeczpospolita i angielska monarchia konstytucyjna. Podobnie niegdyś w starożytności było z Rzymem i wolnemi państwami Hellady. Ś. p. Helcel smutną a wielką przy téj sposobności powiedział prawdę: Jednaka podówczas wszędzie panowała zgnilizna, ale niejednako ją przetrwały narody (1). Ale to nie uwalnia bynajmniéj historyka od

(1) O dwukrotném zamęźciu Ludwiki Karoliny Radziwiłłówny i t. d.. Kraków, 1858.

obowiązku nazwania rzeczy po imieniu, napiętnowania jéj tedy właściwą jéj nazwą, która jest zbyt bolesną, żebym ją tu raz jeszcze miał powtórzyć.

VI.

Pozostaje mi jeszcze tylko poczynić niektóre uzupełnienia jakotéż zanotować omyłki i niedokładności, które się wcisnęły do pracy p. W.

Str. 1. Baluze był w istocie rezydentem francuskim w Polsce, atoli już w marcu 1670 r., skompromitowany w spiskach, knutych przeciw Michałowi, opuścił albo raczéj umknął był nagle z Warszawy i przebywał odtąd w Hamburgu. Zdaje mi się, że dopiero po śmierci Michała wrócił napowrót do Warszawy.

Str. 5. Znany pod nazwą Niemirycza podkomorzy kijowski, którego Helcel pisze Niemerycz, w mnogich własnoręcznych listach zachowanych w tajném archiwum berlińskiém zawsze tak się, z ruska, podpisywał (a więc Niemerycz).

Str. 18. W. kanclerzyna lit., Pacowa, była z domu Mailly, (a nie Malgi).

Str. 19. Pana de Lubienietz, w którym się p. W. słusznie dorozumiewa znanego historyka Lubienieckiego, znajduję w Hamburgu już w końcu r. 1669. Był on w latach 1671—1673 korespondentem francuskim dla spraw polskich.

W Auverbergu (str. 28) nie łatwo się domyślić znanego posła elektorskiego, Jana Hoverbecka. Wymieniony tamże Ganise był kanclerzem nejburskim i zwał się Giese.

Odnośnie do uwagi p. W. 1) str. 151, powiem, że dla dokładnego oznaczenia datum depeszy (z 16 paźdz. 1674) potrzebaby wiedzieć, czy to datum stało na czele listu, czy téż u dołu, obok podpisu; w ostatnim razie jedyne racyonalne przypuszczenie jest, że biskup marsylski począł pisać depeszę 15-go paźdz. a nie 16-go.

Mówiąc o „nieczystéj miłości“ Jabłonowskiego do Francyi, (p. 166) nie domyśla się p. W., co było powodem jego niezadowolenia. Oto chciało mu się buławy (polnéj), z którą Jan III ze swéj strony nie miał ochoty się rozstać.

Str. 176. 4-go stycznia 1675 p. de Pomponne żadną miarą nie mógł pisać, że odebrał depeszę biskupa marsylskiego do króla z 30 du mois passé.

Na całych 5 stronach (221—225) dowodzi p. W., że *bitwę pod Lwowem* stoczono nie we wrześniu r. 1675, ale w sierpniu, i to z wielkiém prawdopodobieństwem 24-go t. m. Pomimo wszystko, co o niéj podają nowsze książki, „Gazeta francuska“ i takie źródła jak Jemiołowski, rzecz ta najmniejszéj nie ulega wątpliwości i należało ją kilku słowy rozstrzygnąć. Na str. 238 Sobieski sam, w liście (z paźdz. 1675) do kardynała Ursiniego (*tak*, nie zaś Orsiniego) tak się wyraża: Vous ferez aussi ressouvenir *de la grande action que nous fîmes le 24 d'Août etc.*, — słowa, które nie pozwalają wątpić, że król potrzebę lwowską ma na myśli. Wydawca przeoczył jednak ten dowód, który wszystkie inne robi zbędnymi.

Str. 368 nazywa wydawca wojewodę chełmińskiego, Jana Gnińskiego, jednym z najżarliwszych stronników Austryi. Otóż z tém nie zgadza się, co powiedziano na str. 66, 99 i 255, gdzie król francuski gotów jest nawet wyłożyć z własnéj kieszeni 4000 talarów, ażeby wojewodzie dopomódz do kupienia od Jana Leszczyńskiego wielkiéj pieczęci; niewiadomo mi zaś, ażeby Gniński w przeciągu tych 2 lat zmienił przekonanie i ze stronnika Francyi został jéj nieprzyjacielem. Odnośnie do uwagi wydawcy na str. 99 powiem, że nie biskup, ale wojewoda chełmiński starał się o wielką pieczęć. Wiadomo, że obie pieczęcie, wielka i mała, były piastowane *alternative* przez jednego świeckiego i jednego duchownego dygnitarza. Otóż, jeśli wielka była w ręku senatora świeckiego (Jana Leszczyńskiego), mniejszą musiał dzierżéć jakiś biskup (Wydżga), a przez to samo żaden duchowny senator (z wyjątkiem samego podkanclerzego) nie mógł się ubiegać ani o większą, ani o mniejszą pieczęć.

Wyliczając Sapiehów (str. 391), zapomniał wydawca o najtęższym z nich, podskarbim lit. Benedykcie.

Już w r. 1661 poświęcono uroczyście Belweder, zbudowany przez Krzysztofa Paca pod Warszawą (str. 511).

Słówko o języku wydawcy. P. W. włada nim z wielką pewnością, nie powie nigdy więcéj nad to, co chce powiedziéć; zawsze jest jasny i zrozumiały. W zamiłowaniu, które ma do długich okresów, widoczny jest wpływ lektury kilkudziesięciu foliantów depesz dyplomatycznych.

Niniejsze sprawozdanie przybrało i tak już zbyt obszerne rozmiary, ażebym mógł myśléć o streszczaniu dzieła p. W. Oceniwszy metodę i ważniejsze z jego zapatrywań (1) odsyłam czytelnika do

---

(1) Wymienię tu ważniejsze omyłki, czy to wydawcy, czy tłoczni.

Str. 53 wiersz 7 od dołu należy czytać Lotaryńczyka zam. Kondeusza.

Str. 142 w. 15 od góry — elektorowi bawarskiemu, a nie brandeburskiemu.

samějże książki i kończę życzeniem, ażeby mi była dana możność

Str. 150 w. 11 od g. — 200.000 écus, a nie livres; tož samo p. 443 w. 20 od d. — écus zam. francś.

Str. 157 w. 6 od g. — nostre zam. vostre; przeciwnie p. 103 w. 12 od g. czytałbym raczéj vostre, a nie nostre.

Str. 169 w. 27 nie może być v. M. lecz Sa Mté.

Str. 173. List biskupa marsylskiego z 11 stycznia 1675 pisany był nie do p. de Pomponne, lecz do Ludwika XIV.

Str. 176 3 w. od d. nie Verselini lecz Vesselenyi.

Str. 178 w. 13. od d. — aby nie ściągnąć na Turcyę podejrzenia, zam. na Francyę, (co wynika z listu Jana III do biskupa marsylskiego, p. 180).

Str. 184. List Maryi Kazimiery do Ludwika XIV nosi datę 15 lutego 1675 a nie 15 sierpnia; podobnież str. 185 Baluze pisze do p. de Pomponne 15-go lutego, a nie 15-go sierpnia.

Str. 198 w. 4 od g. zam. qui donne occasion à beaucoup à *discours*, czytałbym à *discourir*.

Str. 227 w. 21 od g. winno stać 16 sierpnia zam. 16 lipca.

Str. 229. Depesza biskupa marsylskiego do Ludwika XIV pisaną była ze Lwowa, a nie z Warszawy.

Str. 236 w. 6 od g. proponuję czytać: Le pape... par la seule cencession d'une partie des dimes d'Italie.... se contenta *de l'accorder* (a nie *de la collecte*, jak proponuje wydawca w miejscu niedającego żadnego sensu: *de la colère)*.

Str. 245. Michał Kazim. Radziwiłł był hetmanem polnym i podkanclerzym lit. (nie zaś podkomorzym, jak przez pomyłkę wydrukowano).

Str. 278 w. 15 od d. czytać należy en duché *et* pairie, a nie *en* pairie.

Str. 311 w. 11 od g. zam. j'ai manqué proponuję: j'ai *marqué*.

Str. 334 w. 10 od d. zdanie: J'ai bien compris la politique que l'on avait, de rendre mon emploi *possible* et désagréable nie daje dobrego sensu; należy czytać: *pénible* et désagréable.

Str. 338. List do Ludwika XIV pisany jest 21 grud. 1676.

Str. 352 w. 22 od d. zam. elle désira *d'engager* M. de Maligny en suite de la paix, czytałbym: *d'envoyer*...

Str. 353 w. 9 zam. J'en userai autrement qu'il *m'a* fait, należy czytać: qu'il *n'a* fait.

Str. 355. Bethune pisze 22-go lutego 1677 nie do pana de Pomponne, lecz do Ludwika XIV.

Str. 389 w. 15 od d. nie Bethune lecz p. de Pomponne pisze do biskupa marsylskiego.

Str. 421 w. 10 od d. en Lithuanie zam. de Lithuanie.

Str. 432 regens cancell*ariae* regni, a nie cancel*larii*.

Str. 439 w. 5 od d. abbatiam Tinecensem zam. Trinecensem.

Str. 441 w. 10. Depesze p. de Bethune a nie p. de Pomponne.

Str. 469 w. 6. Il a fait zam. il fait.

Str. 476. Kajeski jest w istocie osobą nieznaną, natomiast wymienia Niesiecki (Herbarz, t. V, p. 69, Lipsk, 1840) Adama na Kazgrodzie Kazewskiego, łowczego wołyń-

zdania w jak najkrótszym czasie sprawy z następnych tomów tego ważnego wydawnictwa.

Paryż, 31 maja 1880.

Stanisław Lukas.

---

skiego, pułkownika królewskiego, który podpisał elekcyę Jana Kazimierza. Czy to jednak ten sam, o którym wspomina Sobieska, wątpić można.

Str. 500 w. 24 w zdaniu anno proximo elapso 1674 exeunde, zam. 1674 czytałbym a. 1679, atoli jak pogodzić elapso i exeundae (sc. pacis), zgoła niewiem.

Str. 517. Dymitr Wiśniowiecki był w. hetmanem kor. a nie lit., jak przez pomyłkę podano w spisie dokumentów.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Ślady dyalektyczne w oznaczaniu samogłosek nosowych w kilku zabytkach języka polskiego wieku XV i XVI przez Lucyana Malinowskiego. (Rozprawy Wydz. filolog. Akad. Um. Tom VII).

Przeważną część pracy téj stanowi porównanie samogłosek nosowych w książeczce „Parvus Catechismus“, znajdującéj się w bibliotece Ordynacyi Krasińskich w Warszawie, z samogłoskami nosowymi gwary kozielskiéj na Szląsku. Prof. M. domyśla się, że katechizm ten polski, protestancki, objętości 167 stonic, drukowany był w Królewcu i to w pierwszéj połowie w. XVI. Materyał dyalektyczny, jaki w pracy téj znajdujemy, zebrał autor na Szlązku w okolicach Koźla i Pawłowiczek. Wszystkie samogłoski nosowe dzieli autor na dwie główne kategorye: pierwotne i pochodne. *Pierwotne* samogłoski nosowe podzielone są na podstawie porównania z językiem starosłowiańskim i ogólnie-polskim na 4 działy, w których rezultat porównania jest następujący: 1) Refleksy starosłowiańskiego ѧ, ogol. pols. ę z poprzedzającą zmiękczoną są w katechizmie oznaczone przez: **en, e, yn, ą, ąn, ą, á**, a w gwarze kozielskiéj odpowiadają im dźwięki: **ę, é, ęn, én, ą, ąn.** 2) Starosłow. ѫ, ogólnie-polskie ę z poprzedzającą twardą ma w katechizmie znaki: ą, ąn, à, a, am, ą; en, e; w gwarze kozielskiéj zaś są odpowiednie im dźwięki: ą, ąn, an, am, a; ę, ęn, é; e, é, em. 3) Starosłow. ѧ, ogól. polskie ǫ z poprzedzającą miękką są oddane w katechizmie przez: on, ą, ą, en, w gwarze kozielskiéj zaś brzmią: o, ǫ, ǫo, ųn. 4) Starosł. ѫ, og. pols. ǫ z poprzedzającą twardą odpowiadają w katechizmie: on, om, ą, am, a, ą, en, a w gwarze kozielskiéj: ǫ, ǫm, ǫn, ǫ, o, ó, óm, ų, ųm, ųń, u, ą. *Pochodne* samogłoski nosowe rozróżnia prof. M. dwojakie: a) takie, które powstały z czystych pod wpływem następnéj spółgłoski nosowéj np. w katechizmie: naboszyąstwo, w gw. koz. ok'ęk'ę (zamiast:

ok'enk'em); i b) takie, w których bez żadnéj zewnętrznéj przyczyny samogłoska czysta zmienia się na nosową, np. w katech. omyąszkal. Następnie rozbiera autor i układa w pewne kategorye znaki służące do oznaczenia samogłosek nosowych w katechiźmie i wykazuje, że w wypadkach przytoczonych przeze mnie pod 1) najczęściéj odpowiadają ą̀, à, ą, ąn, rzadziéj en, e, yn; pod 2) częściéj ą̀, à, a, an, am, rzadkiéj en, em, e; pod 3) najczęściéj ą, bardzo rzadko on, en; pod 4) najczęściéj ą, ą̀, rzadziéj on, om. Co do wartości fonetycznéj tych znaków, to dowodzi autor, że en wymawiano jak nasze ę, znaki, ą̀, àn, an brzmiały jak szląskie ā (a͡n), którego to dźwięku język ogólny polski nie zna, znaki zaś on, om, ą jak ǫ, oznaczane zwykle u nas w piśmie przez ą. Że znak ą brzmiał rzeczywiście jak ǫ dowodzi przedewszystkiém to, że w wieku XVI oznaczało zwykle á ścieśnione czyli skłaniające się ku brzmieniu o, i że występuje prawie wyłącznie w tych kategoryach, co znaki om, on. Ostateczny rezultat tego zestawienia jest, że gdzie dziś wymawiamy ę, język katechizmu ma ę albo ā (a͡n), gdzie zaś ǫ, i w katechizmie jest ǫ. Co do dzisiejszego ę jeszcze to wspomnieć wypada, że w pierwiastkach i tematach odpowiada mu w języku katechizmu ę lub ą (a͡n), w końcówkach zaś tylko ą (a͡n) nie licząc pojedyńczych wyjątków. Pod tym więc względem jest język katechizmu nadzwyczaj podobny do gwary kozielskiéj a po części i do opolskiéj.

W dalszéj części rozbiera prof. M. samogłoski nosowe w pieśni do N. Panny, rękopisie z w. XVI. Starosłowiańskim ѧ i ѫ a ogólnie polskiemu ę odpowiada tu zawsze *e*; starosłowiańs. ѧ i ѫ a ogól. pols. ǫ ma tu refleks u np. wsziul (wziął), wszechmoguczy, a niekiedy tylko ą, np. stobą, szą. Ponieważ pieśń tę śpiewają dotąd po kościołach dawnego województwa pomorskiego, domyśla się autor, że zabytek ten pisany był śród Kaszebów pomorskich. Przypuszczenie to popiera i tém, że w gwarze pomorskiéj samogłoski nosowe ę i ǫ odpowiadające starosłowieńskiemu ѫ bywają niekiedy wymawiane jak u, jeśli je zaś poprzedza samogłoska miękka (więc starosł. ѧ) jak e. I rzeczywiście dźwięk *u* bardzo często odpowiada ogólnie polskiemu ǫ z poprzedzającą twardą w narzeczu Słowińców pomorskich, Kabatków, Kaszebów pomorskich i pruskich, rzadziéj odpowiada on ogólnie polskiemu ę z poprzedzającą twardą, bo tylko w dwu pierwszych wymienionych narzeczach. Co więcéj, nawet formie *wsziul* (wziął, starosł. ѧ og. pols. jǫ) tego zabytku odpowiada w narzeczu Kaszebów pomorskich koło jeziora lebskiego forma *ucul*=uciął (Por. A. Hilferdyng, Ostatki Sławian na južnom bieriegu Bałtijskavo moria, str. 119). Zresztą jak w tym zabytku, tak i w narzeczach Słowińców i Kaszebów pomorskich i Kaszebów pruskich

odpowiada ogólnie polskiemu ę z poprzedzającą miękką dźwięk e; (por. moję pracę: O samogłoskach nosowych w narzeczu Słowińców pomorskich, Kabatków i Kaszebów, Kraków 1880, str. 17, 19 36, 47).

Trzecim zabytkiem, który wchodzi do pracy prof. M. jest najstarszy druk polski. Są-to modlitwy polskie znajdujące się w bibliotece Klementyńskiéj w Pradze czeskiéj, w książce z r. 1475. W zabytku tym oznaczone są: 1) starosłowiańskie ѧ ogól. pols. ę z poprzedzającą miękką przez an, en, e, ē; 2) starsł. ѫ og. pols. ę przez an, un, e; 3) strsł. ѧ, og. pols. ǫ z poprzedzającą miękką przez *u*, 4) strsł. ѫ og. pols. ǫ przez u, aun. Są tu więc ślady, że nasze ję wymawiano przeważnie jak ję lub je, nasze ę jak ą (a͡n) szląskie, a nasze ǫ brzmiało jak ų, podobnie jak w pieśni wyżéj wspomnianéj, lub téż jak oų.

Ostatnim zabytkiem, który tu prof. M. uwzględnia, są glossy polskie „Quadragesimale super epistolas" z saméj połowy wieku XV w bibliotece kapitulnéj w Pradze czeskiéj. Samogłoski nosowe oznaczone są w tym zabytku przez ą, ąn, an, ąan, ę, niekiedy jednak starosłowiańskiemu ѫ odpowiada refleks *u*, np. potupyly, svuk, karmiczku, odsudzyly, uzkoscye.

Na zakończenie pracy téj podaje autor sposób, w jaki można niekiedy odgadnąć wartość fonetyczną znaku wyrażającego samogłoskę nosową. Ułatwia to mianowicie ta okoliczność, że znak taki wyraża niekiedy i samogłoski czyste. Tak np. w zabytkach staropolskich, jak psałterzu floryańskim często ɸ oznacza *á* ścieśnione, toż samo oznacza niekiedy ą̀ i ą w katechiźmie wyż wymienionym i ą w Quadragesimale; w Kazaniach gnieźnieńskich z r. 1419 znak ɸ wyraża niekiedy dźwięk u, a w jednym zabytku z wieku XVI ą w wyrazie nąka stoi zamiast dwugłoski au (nauka). Widocznie więc w wymawianiu nie wielka była różnica między á ścieśnioném, u, au i ą.

Na tém kończy się praca, która stanowi wielkiéj doniosłości przyczynek do głosowni języka polskiego. Trudno znaleść książeczkę, któraby w tak małéj objętości zawierała tak wiele treści.

Głoski nosowe w gwarze ludowéj we wsi Kasinie oraz niektóre inne właściwości téj gwary, przez Lucyana Malinowskiego (Rozprawy Wydz. filol. Akad. Um. Tom VIII).

Gwara kasińska w Galicyi (powiat limanowski) odznacza się tém, że ma jednę tylko samogłoskę nosową ǫ, którą powszechnie pi-

szemy znakiem ą. 1) Starosłowiańskiemu Ѧ, og. pols. ę z poprzedzającą miękką odpowiada kasińskie jǫ, niekiedy jeszcze z pogłosem nosowym n, m, lub ń, — np. brząceć, dziesiąntka, jarząmbina, i **je** np. do syje, mie, cie, sie. 2). Starosł. Ѫ og. pol. ę brzmi w kas. najczęściéj ǫ, np. gąba, gąsty, niekiedy e np. bedą, bedzieś, a niekiedy u, np. zmuda. 3). Starosł. Ѧ, og. pols. ǫ z poprzedz. miękką brzmi zawsze w kasińskim jak w ogólnie polskim języku. 4). Starosł. Ѫ ma tak samo jak w og. pols. refleks ǫ, niekiedy jednak a szczególniéj w zakończeniu narzędnika l. pojed. z pogłosem nosowym *m* jak: rybąm, ze mnąm i t. p. Samogłoska nosowa pochodna jest w wyrazach: miądzy, miąndelik (medalik). Drugiém charakterystyczném znamieniem gwary kasińskiéj jest wpływ, jaki wywierają spółgłoski nosowe na poprzedzające je samogłoski, a mianowicie e zmienia się w o lub słabe ǫ, np. panionka, jesiąnny; o przed ń przechodzi w słabe ǫ np. kąj (koń); inne samogłoski przechodzą także niekiedy na nosowe np. jąntek. Dźwięk ń przechodzi na końcu zgłoski w *j*, przyczém albo nosówka ginie bez śladu, np. zwij (zwiń), albo przenosi się do poprzedzającéj samogłoski np. zwąj (dzwoń). *Z* innych właściwości gwary kasińskiéj na uwagę zasługują: 1) *e* brzmi jak u: niestuty; jak y: nadvyrązyć; *e* jest otwarte w rzeczownikach pierw. na—ije, np. ziele, hodzonie; é ścieśnione wyraźnie występuje w pierwiastkach, gdzie w starosł. Ѣ, np. biéda, niekiedy zamiast ę np. miéso. 2). a brzmi jak e: hereśt, lecz harąndárz, haron i t. d., á ścieśnione: cáwkom, bájtka (bajka), bájtcárka, ciązár, baják i bajac, beśták, gwąbiá, bestyjá, bávów, biáwy i inne. 3). ó ścieśnione przed *w* (*ł*), w wyrazach: janiów, dzięciów, japostów, stoi zamiast *e* lub *o*, w imiesłowach zaś czasu przeszłego klasy IV zamiast *i* np. wnǫciów sie, obok wnǫciiw sie. 4). Samogłosek na początku wyrazów gwara ta najczęściéj unika, więc: jadwiąnt; japetyt, hapetyt lecz i apetyt, uoko, uociec. 5). Spółgłoska *ch* wymawia się niekiedy jak *h* np. hodzonie, a niekiedy jak *k* lub *kh*, np. cebrzuk i cebrzukh; j przechodzi czasem na l, np. źmile obok źmije; 6) gwara kasińska jest mazurska; 7) spółgłoska zębowa *ł* zjawia się w wyrazach: bájtka, bájtcárka, a niekiedy brzmi jak *k* np. vakować (watować); 8) spółgłoska ł przechodzi jak w brzezińskiéj gwarze na półsamogłoskę wargową, np. pcowa; między samogłoskami brzmi bardzo słabo, a ginie w końcówce imiesłowów czasu przeszłego po spółgłoskach; 9) spółgłoska wargowa *b* znika: wyskać zamiast: bwyskać; v, f, brzmią niekiedy jak v̊ np. jadviąnt, viérzmovanie; *v* ginie na początku np. stązka, syćko.

I ta więc rozprawka, jak poprzednia, szczupła na oko, mieści w sobie bardzo wiele materyału a szczególniéj część jéj pierwsza. Każdy punkt bowiem poparty jest wielką ilością przykładów, tak że

więcéj jużby dodać nie można. Charakterystyczne właściwości gwary kasińskiéj w dziale samogłosek nosowych są nadzwyczaj ważne, to téż dobrze, że dostały się pod pióro tak znakomitego pracownika.

Jan Hanusz.

— **Wychowanie dziecka włącznie do lat 6-ciu** przez Henryka Wernica (Warszawa 1881, str. 71 i XIII). Broszurka ta wchodzi w skład wydawnictwa „pedagogiczno-szkolnego“, podjętego przed laty dziesięciu przez księgarza lubelskiego, Stanisława Arcta, a prowadzonego dawniéj przez zasłużonego pedagoga, Augusta Geskego. Znaczenie téj pracy p. Wernica jest wyłącznie popularyzatorskie; autorowi nie chodziło bynajmniéj o oryginalność ani w poglądach ani w ich uporządkowaniu, pragnął jedynie rozpowszechnić niektóre trafne spostrzeżenia pedagogiczne, dotykające najważniejszych pytań wychowania. Rozpocząwszy tedy dość zręcznym wierszykiem „do matki“ i wzmianką o dwu głównych twórcach nauki wychowania w wieku dziecięcym (Komenskim i Pestalozzim), rozpatruje autor w sposób jasny i zrozumiały dla każdego średnio - ukształconego takie kwestye wychowania jak: *Miłość i zaszczepianie jéj w sercu dziecka*, *Posłuszeństwo*, *Przyzwyczajenie*, *przykład*, *Ukształcenie rozumu*, *Zabawy*, *Nieprawdomówność i kłamstwo*, *Życzliwość i przychylność*, *Zaszczepienie uczucia religijnego*. Jak ze spisu tego widać, autor nie starał się o systematyczność, licząc zapewne na to, że każdy artykuł będzie czytany i rozważany osobno; chodziło mu więc głównie o podanie rozumnych uwag i przestróg, czy to znanych już dobrze czy mniéj znanych, przyczém starał się obudzić zajęcie, a zarazem wyjaśnić ogólne spostrzeżenia za pośrednictwem przykładów, zaczerpniętych z życia dziecinnego, a przemawiających nieraz lepiéj do wyobraźni i rozumu, aniżeli suche reguły. Nie możemy tu naturalnie streszczać wszystkich uwag autora; zaznaczymy tylko wyrazistsze, świadczące o swém doświadczalném pochodzeniu. Bardzo słusznie wytyka matkom słabym niewłaściwość odwoływania się do swéj wielkiéj względem dzieci miłości („Stasiu, nie kochasz mnie, nie mam już mego dobrego syna!“). Wielce rozsądne są uwagi, dotyczące *powolnego*, *stopniowego* wdrażania dzieci do posłuszeństwa; z początku matka winna wystrzegać się np. przywoływania do siebie dziecka w chwili jego grymasów, zniechęcenia, smutku, jedném słowem wtedy, gdy dziecię nie ma chęci być jéj posłuszném; następnie dopiero zaprawiać można dziecię do czynienia małych posług, mniéj już zważając na jego chwilowe zajęcia, od których je odrywamy; w końcu dopiero wolno kiedy-niekiedy robić próby uległości i odry-

wać dzieci choćby od najbardziéj zajmującéj zabawy, jeżeli idzie o jakąś usługę dla nas lub dla innych osób. W tych razach, w których wola dziecka pozostaje w sprzeczności z naszą wolą, unikać należy wielosłowności, niepotrzebnéj gadaniny, lecz wypada postępować *stanowczo*, tak, iżby dziecię przyzwyczaiło się do tego, iż od rozkazu naszego nie ma już żadnéj apelacyi. Ustawiczne natomiast mustrowanie dzieci, które tak jest ulubione kobietom starym albo matkom zdenerwowanym, winno być bezwarunkowo wyrzucone z zasobu środków wychowawczych. Rzecz o przyzwyczajeniach zawiera parę uwag, które może nie znajdą powszechnéj aprobaty, ale które warto starać się zastosować. Do takich należy przepis przez wszystkich niemal higienistów podawany, ażeby dziecię w oznaczonych tylko godzinach pokarm przyjmowało, i ten drugi, żeby po skończeniu lat czterech dziecię obywało się przy umywaniu bez żadnéj posługi. Artykuł o zabawach jest bardzo szczegółowy i wiele zdań trafnych zawiera; szczególny zaś przycisk położył autor na to, żeby dziecię ile możności bawiło się samo i tym sposobem przyzwyczajało się do samodzielności, do wystarczania sobie. Tam, gdzie p. W. mówi o kłamstwie, na baczną uwagę matek zasługuje przestroga, żeby nie zawodzić nigdy ufności dziatwy; niedotrzymanie bowiem uczynionéj obietnicy, zachwiewa jéj wiarę w prawdomówność rodziców i przyucza do kłamstwa. Są w dziełku tém i mniéj udatne rozdziały; rzecz np. o wykształceniu rozumu jest zanadto pobieżna i nie może służyć za dostateczną dla wychowawców wskazówkę. W każdym jednak razie nie ma tu zdań, któreby bezwarunkowo potępić i odrzucić wypadło; są tylko nieścisłe i niedokładne wyrażenia. W interesie zrozumiałości należałoby zupełnie wyrzucić wyraz *konkretny* i zbyt zwięzłe określenia psychologiczne; język téż gdzie-niegdzie potrzebowałby poprawy; mianowicie użycie biernika zamiast dopełniacza po słowach czynnych z przeczeniem razi czytelnika. W końcu dodać należy, że twierdzenie, wyrażone w przedmowie, jakoby w naszéj literaturze pedagogicznéj był „zupełny brak podręczników, traktujących o pierwotném wychowaniu dziecka“, nie może się utrzymać wobec krytyki; pomijając bowiem drobne broszury, można wymienić obszerny i szczegółowy traktat o téj właśnie dobie wychowania, którą p. Wernic za przedmiot pracy swéj obrał; jest-to dzieło L (ucyny) M (ieroszewskiéj) p. n.: „Rady praktyczne o początkowém wychowaniu dzieci. Epoka od 1 do 5 roku. Warszawa, 1856, str. LVIII, 530.“

———————

PRZEGLĄD DRAMATYCZNY.

Umysły poetyczne, zniechęcone powierzchowną bezbarwnością czasów naszych, lubią przebywać w epokach, które się już niepowrotnie z pod bezpośredniéj obserwacyi usunęły. Mniejsza o to, czy to będą wieki średnie, czy dzieje Greków lub Rzymian, czy téż fantastyczne Wschodu podania. Tém powabniejsze dla takich umysłów są epoki, im w grubszéj mgle wieków się ukrywają, bo fantazya może wtedy swobodniéj czy dowolniéj tworzyć, co jéj jako silne, piękne lub wzniosłe się przedstawia. Nie potrzeba natenczas ani studyów historycznych lub archeologicznych, ani zbyt ścisłego przestrzegania rzeczywistości faktów dziejowych; dość pochwycić i oddać najogólniejsze tło podaniem przekazane, ażeby zadowolnić wymagania i własnego rozumu i rozumu czytelników, czy widzów.

Temata biblijne mają tę nad wielu innemi z zaznaczonéj tu sfery wyższość, że jeżeli nie z ich szczegółami, to z kolorytem ogólnym wszyscy mniéj lub więcéj są spoufaleni, tak, że przywodząc je na pamięć, wywołuje się równocześnie wspomnienia lat dziecinnych. Korzystała z téj wyższości literatura: temata biblijne stanowiły nieraz treść i misteryów średniowiecznych i tragedyi pseudo-klasycznéj i dramatu romantycznego.

Z tym ostatnim łączy się węzłem pokrewieństwa najbliższego „obraz dramatyczny w pięciu odsłonach", napisany przez p. Juliana Łętowskiego, a świeżo w Teatrze Letnim przedstawiony. Poetyczne pojęcie życia, potęga miłości zrywająca wszelkie pęta nawet uświęcone religią, przepojenie stosunków uczuciami miłosnemi, naiwność i groza, tragika i sielanka nie tylko zestawione, ale naumyślnie przeciwstawione sobie — oto pierwiastki składające się na wytworzenie charakterów i wypadków w tym obrazie dramatycznym. Pierwiastki te, z powodu, iż się je dostrzegało w niejednym niesmacznym utworze, mogłyby niezbyt przychylnie nastroić umysł realistycznie usposobiony, gdyby ich zużytkowanie było szablonowe, gdyby twórczości i oryginalności dopatrzyć się nie było można. Na szczęście, autor „Izraela na puszczy" od metody szablonowego tworzenia trzymał się zdala, słuchał własnego serca i wyobraźni własnéj, czuł głęboko i uczucia w pięknéj, a prostéj umiał wypowiedzieć formie. Tém uczuciem prawdziwém, przenikającém całość, i tą pomysłowością, w wielu przebijającą się szczegółach, okupił pan Łętowski ważne usterki kompozycyi i zjednał sobie słuchaczów i widzów.

Pierwsza odsłona składa się jakby z dwu części: w jednéj tragiczna sytuacya, w drugiéj sielanka przerwana i zakłócona jawią się przed nami. Izraelici znajdują się na puszczy; trudy już przebyte i jeszcze grożące zniechęcają, głód i zaraza dziesiątkują ludność, jednemu umiera kochanka, drugiemu syn, trzeciemu ojciec; wielu wolałoby wrócić napowrót do znienawidzondgo Egiptu, byleby nie błąkać się w pustyni, nie wiedząc, kiedy zabłyśnie dla nich słońce osiadłego życia w „ziemi obiecanéj". Na scenie widzimy jednego z umierających, który kona z przekleństwem na ustach, złorzecząc sercom swoich współbraci. Lud jest wzburzony, zaczyna wyrzekać na swego Jehowę, gotów podnieść bunt otwarty przeciwko przywódcom, przeciwko prawodawcy swemu, Mojżeszowi. Wprawdzie trwożliwsi, słysząc potężny a groźny głos Mojżesza, skłaniają się do ucieczki, ale wśród ogółu Izraelitów tyle się już nagromadziło jątrzących żywiołów, że niektórzy postanawiają wypowiedzieć wprost swoję niechęć i wstręt do dalszego pozostawania pod opieką Jehowy. Mojżesz kochający swój naród głęboko, rozrzewniający się w gronie zaufanych nad jego dolą, występuje przecież groźnie wobec szemrzących, a wystawiwszy potęgę Jehowy, karzącego okropnie za łączenie się z Moabitkami i składanie czci bogom cudzym, gromi ten lud o twardym karku, najbutniejszego jednym zamachem przygniata do ziemi i wzywa opornych do błagania Jehowy o litość. Jeszcze echa namiętnych skarg nie przebrzmiały, a już głowy skarżących się, pod wpływem słów Mojżesza, pochylają się ku ziemi w pokorze.

Nawrócenie to zbyt szybkie i psychologicznie niełatwo zrozumiałe. Lud rzeczywistemi i dotykalnemi klęskami rozjątrzony, nie mógł bez jakiéjś równie dotykalnéj pobudki do Boga swego się nawrócić, choćby chwilowo tylko. Zdaje się, że w zakresie pojęć, wśród których autor nas utrzymuje, użycie surowości bezwzględnéj, np. srogiéj kary na najoporniejszego, nie raziłoby widzów, a spokornienie buntujących się uczyniłoby prawdopodobniejszém; lud wszędzie i zawsze widomych potrzebuje rzeczy, ażeby uznać potęgę i przed nią się ugiąć; abstrakcyjne rozumowania, chociażby wymowne, nie stanowią może dostatecznéj przeciwwagi dla widomych i dotkliwych nieszczęść, które go do sarkania pobudzają.

Bądź-co-bądź Mojżesz dokonał wielkiego zadania, przywiódł napowrót lud do Jehowy, a dla umocnienia go w téj wierze, wydaje surowe, okrutne prawo, iż ten, kto obcemu bogu ofiarę złoży, kto z Moabitką czy Madyanitką żyć będzie, karze śmierci uledz winien. Dla przestrzegania tego prawa naznacza młodego Fineesa, który gotów wszystko poświęcić, ażeby prawu zadość się stało.

Gdy Mojżesz prawo to ogłaszał, znajdował się wśród zgromadzenia jeden ze znakomitych przewodników ludu, książę z pokolenia

Symeonowego, Zamry, który już wtedy uczuł, że ciężar tego prawa na niego spaść może. Niedawno jeszcze wraz z przyjacielem swoim Fineesem odbywali wśród nocy księżycowych wspólne przechadzki ze swemi kochankami, dwiema książęcemi sierotami; ale teraz właśnie, w dniu wydania nowego prawa, on stroni od swéj kochanki, nie raduje się z zaszczytu, jaki spotkał jego przyjaciela, nie dzieli się z nim myślami i uczuciem, wymyka się z pośród kochającego go grona, ażeby pójść do obozu króla Madyanitów i tam w objęciach Selli Madyanitki zapomniéć o Jehowie i o nowém prawie, a co więcéj sprowadzić potajemnie kapłanów Baal-Fegora do namiotów izraelskich. Zanim jednak tam się udał, zmuszony był rozmówić się z dawniejszą kochanką, któréj na imię Noah.

Noah jest-to dziewica dojrzała, którą sieroctwo zahartowało na nieszczęścia i cierpienia, ale w któréj obudziło potrzebę uczucia głębokiego i wyłącznego. Namiętność w niéj wre, ale zmysłową jéj nie czyni. Wié o swéj piękności i o potędze swych wdzięków, umié wybornie używać téj broni, gdy o przeprowadzenie planu jakiego chodzi, ale uczuciem swém raz tylko i jednego tylko obdarzyła i wierną mu pozostaje. Czci i szanuje młodego wodza Izraelitów Jozuego, pragnęłaby zostać dla niego siostrą, lecz serca mu swego oddać nie może, bo ono do Zamrego należy. Podstępu użyć zawsze gotowa, nawet dopuścić się zabójstwa, gdy to Zamremu ma wyjść na korzyść. Podejrzywając kochanka o niewierność, śledzi jego kroki, czuwa nad nim, rzuca mu się do kolan, błaga go, ażeby nie odchodził:

> Zostań, na wszystko cię zaklinam, zostań!
> Powiédz, że w próżnych gubię się domysłach,
> Powiédz, żem głupia, naiwna jak dziecko,
> Żem ja szalona, żem zła, powiédz, co chcesz,
> Ukarz mię zresztą — nie daj mi się widzieć
> Przez dwa, przez siedem nawet dni za karę;
> Ale mi z serca wydrzyj tę okrutną
> Podejrzeń żmiję...

Napróżno!... Zamry poszedł. Odtąd rozpoczyna Noah swoję nad nim opiekę i swoję zemstę. Przed nikim nie wyda, dokąd poszedł Zamry, ale sama osnuje spisek, który miał o śmierć przyprawić znienawidzoną rywalkę. Nadchodzi ojciec Zamrego, poszukując syna; ona go uspokaja kłamstwem, że Zamry poszedł dla niéj po różę, bez któréj ona zasnąć nie może... Następnie (w drugiéj odsłonie) przebrawszy się i wziąwszy kochającego się w niéj sługę, Namuela, ku pomocy, idzie do obozu Madyanitów i namawia króla, aby korzystał ze sposobności i téj jeszcze nocy kapłanów swoich wysłał do obozu izraelskiego, a za przewodnika daje swego sługę.

Tu spotykamy się z dość rażącém nieprawdopodobieństwem. Zamry, któremu król Madyanitów ani słowa nie powiedział o owém mniemaném poselstwie od stronników madyanickich w obozie izraelskim, daje się prowadzić nieznanemu człowiekowi i nie okazuje żadnéj nieufności. Czy on sam nie znał drogi, czyż potrzebował wskazówek? Jedno tylko mogłoby usprawiedliwić powierzenie się kierownictwu Namuela, tj. gdyby Zamremu powiedziano, iż przedsięwzięte zostały środki ostrożności ze strony Fineesa czy Jozuego. Ale w takim razie czyżby ślepo zaufał słowom, czyżby nie wybadał Namuela, czyżby nie powziął był podejrzeń? Tu, zdaniem mojém, dramat potrzebuje przeróbki, jeżeli motywowanie postępków ma być należycie przeprowadzone.

Odsłona trzecia jest słaba. Rola Jozuego, jako odrzuconego, a roztkliwionego kochanka, który błąka się szukając cienia Noahy, a potém szarpiącego i trzymającego ją, ażeby nie dopuścić przeczuwanéj sceny krwawéj w zetknięciu się z Zamrym, który prowadził Sellę i kapłanów Baal-Fegora, nie daje estetycznego zadowolnienia, a sama scena niedoszłego morderstwa Selli, potrzebna dla dalszego ciągu akcyi, mogła była krócéj i z większym efektem się odbyć.

Wynagradza braki trzeciéj odsłona czwarta. Podejrzenie o stosunkach Zamrego z Madyanitami rozszerza się wśród Izraelitów. Finees jako sędzia przedsiębierze poszukiwania, wysyła lewitów na zwiady. Noah strzeże kochanka, pragnąc odwrócić grożące mu niebezpieczeństwo. Ponieważ nie udało się jéj raz zabić Selli, porzuca ten zamiar, a natomiast pragnie ocalić Zamrego... ale ocalić dla siebie. Prześliczna jest scena, w któréj przypomnieniem dawnej miłości usiłuje w sercu Zamrego obudzić żywsze drgnienia. Najprzód maluje cudnemi barwami swoje dla niego uczucia, kiedy-to „ptaszki drobne, które z piosenkami przed namiot przychodziły, uczyła, by zawsze śpiewały tylko jedno imię: Zamry! kiedy codzień stojąc nad strumieniem dla zaczerpania wody, słyszała jak fale srebrzyste szeptały drogie imię: Zamry!“ Następnie wychwala kochanka:

Piękny jak słońce a wdzięczny jak róże,
Rosnące obok posępnych cyprysów
Lub smutnych mirtów... a słodki jak palma,
Co dźwiga krocie soczystych daktyli
Na swych gałązkach... Oczy zaś miał takie,
Że gwiazdy na nie patrzyły z zazdrością...
Ach! ale usta!... Te usta wymowne,
Co to jeśli się ozwały, to miodem,
A gdy szeptały do mojego ucha,
To niby wietrzyk łagodny, miluchny,
A gdy sięgały po me pocałunki,
Wanilowego krzewu wonność czułam.

A potém jeszcze wystawia okropny stan tego, kto zdradzony został. Zdradzonemu jakaś dziwna tęskność oplata serce swym cierniowym wiankiem; dla niego świat cały kamienieje, słońce nie świeci, kwiaty woni swéj nie dają, ptaki z piosnką milkną, a gwiazdy kryją się blade i drżące w błękicie. Dla zdradzonego woda w strumieniu jest jak łzy słona, cierpka i paląca. Dla zdradzonego nie ma na świecie nic oprócz nieszczęścia, nic tylko smutek, osty i kamienie...

W końcu przywodzi mu na pamięć starego ojca, którego kocha, dla którego śmiercią będzie wiadomość, że Zamry sprzeniewierzył się Jehowie...

I możeby czarem swéj postaci, czarem wspomnień i słów odzyskała serce Zamrego, ale wtedy właśnie, wyprowadzona przez arcykapłana Baal-Fegora pojawia się Sella—i czar pryska.

Bo Sella nie omroczoną smutkiem twarzą, nie wyrzutami, zawsze bolesnemi, nie przypomnieniem minionych zachwytów, mającém zapach zwiędłych kwiatów, ale uśmiechem wesołym, pocałunkiem ognistym, zapomnieniem o wszystkiém dla użycia chwili obecnéj pociągała do siebie Zamrego. Ona nie była groźną jak mścicielka z mieczem w ręku, nie była silną i wielką, ale jak powój lub bluszcz owijała się około ramienia Zamrego, dopóki w tém ramieniu była siła; ona z rozkoszą poiła się pocałunkami ust jego, dopóki te usta były rumiane. Nie znająca życia, nie troszcząca się o jutro, rozpływała się w uścisku rozkoszy, który wszystkiém był dla niéj. Serce ma dobre, nad niedolą się lituje, rywalki swéj nie nienawidzi, śpieszy jéj z pomocą, gdy ta omdlewa, ale hartu nie ma, drży wobec prawdziwego nieszczęścia, błaga o życie zagrożone, bo jeszcze tak młoda, lęka się trupa i gdy widzi kochanka swego skrwawionym i konającym, ucieka od niego trwożna i mimo jego błagalnych wezwań nie znajduje siły, by się do niego zbliżyć. Ona stworzona do pocałunków, ma wstręt do krwi rozlanéj; ona lubi krew tylko pulsującą w żyłach. W sielance życia rozwija się jak róża, w tragedyi jego zwija się jak mimoza.

Inaczéj Noah. Znajduje się ona w istnie tragiczném położeniu i do téj sytuacyi w zupełności dorasta. Po owéj scenie, w któréj mogła już była odzyskać serce Zamrego, następuje inna, w któréj podstęp jéj się wyjawia. Arcykapłan Baal-Fegora poznaje w niéj tego posłańca, co przybywszy do namiotu króla madyanickiego, przygotował zasadzkę na Zamrego i Sellę. Noah, zapytana przez Zamrego, nie może temu zaprzeczyć i ściąga na siebie jego wzgardę. Odtąd nie o odzyskanie kochanka jéj chodzić może, ale jedynie i wyłącznie o uchronienie go od śmierci, o przekonanie go, że jeżeli dopuściła się podstępu, to nie na to, ażeby go życia pozbawić. Wtedy staje się ta kobiéta stróżem namiotu Zamrego. Nie może wprawdzie

powstrzymać ojca jego, ażeby tam do wnętrza nie zajrzał, a zajrzawszy z rozpaczą w sercu nie odszedł i nie szukał zgonu w płomieniach, ale nie dopuszcza tam lewity szpiegującego postępki podejrzanego księcia, a używszy potęgi swych powabów dla wydostania od niego noża, zabija dyszącego żądzą rozkoszy służebnika Jehowy. A gdy i to morderstwo i pozyskanie dla swéj sprawy Jozuego nic nie pomogło i gdy przebiegłość Fineesa wyśledziła przyczynę zmiany usposobienia w Zamrym; wtedy ona robi poświęcenie straszne: wypiera się swéj dla ukochanego miłości, wyznaje swą mniemaną miłość do Jozuego, byleby podejrzenia Fineesa usunąć.

I to napróżno. Żarliwość lewitów wykryła w namiocie Zamrego Madyanitkę i kapłanów Baal-Fegora; Finees musi spełnić wyrok prawa i skazać winnych na ukamienowanie. A gdy Zamry szydzi z tego wyroku i odwołuje się do swych popleczników, otaczających namiot, w którym ich wodza na śmierć skazano, Finees sam przebija buntownika. Noah do ostatniéj chwili porusza wszystkie sprężyny celem oswobodzenia kochanka, nie zważa na to, że go kapłani potępili, staje przy nim, a po jego zgonie chwyta miecz i nie dozwala nikomu dotknąć się trupa, wyzywa Sellę, by ją zabiła, a gdy ta strwożona, lęka się nawet spojrzéć na żelazo, sama sobie śmierć zadaje.

Wtedy, po raz drugi w dramacie staje przed ludem Mojżesz, karci go za upór, ogłasza wszechpotęgę Jehowy, mającą się wznieść nad stosami trupów, i zagrzewa do walki z wrogami. Młody wódz izraelski Jozue, stłumiwszy w sercu boleść indywidualną, z okrzykiem: śmierć Madyanitom opuszcza scenę.

Taka jest treść „obrazu dramatycznego.“ Rozważany jako rzecz osnuta na tle stosunków sercowych jest on dziełem pięknem i w kilku zaledwie ustępach potrzebowałby może albo sprostowania albo dokładniejszego obrobienia. Na tę stronę kładłem też nacisk w rozbiorze obecnym. Ale obok niéj jest druga, ogólniejsza, dotycząca całego ludu izraelskiego, nakłanianego do wyznawania jednego boga Jehowy, a zostającego w stosunkach wrogich z pokrewnemi sobie plemionami, czczącemi bogów innych. Autor nigdzie nie wspomina o bliskiém powinowactwie Madyanitów i Izraelitów, o wspólnych ich tradycyach, przyzwyczajeniach i kulcie zapewne, a przedstawiając motywy odstępowania Izraela od czci Jehowy, zaznacza tylko albo znękanie klęskami albo skłonność do niewiast madyanickich. Ażeby zaś odebrać moc wszelkim poważniejszym powodom, robi arcykapłana Baal-Fegora rodzajem Kalchasa z Pięknéj Heleny, któremu idzie tylko o własne wygody i zyski. Zdaje się, że dzisiejszy dramaturg nie ma potrzeby być rzecznikiem kultu Jehowy a wrogiem kultu Baala; a choćby nawet z jakichkolwiek względów usposobienie

takie w nim istniało, to dla saméj sztuki lepszą byłoby rzeczą, gdyby kapłani przeciwnego obozu zachowali godność powołaniu swemu właściwą; pokonać równego pod względem sił nieprzyjaciela jest zaszczytniéj aniżeli zwyciężyć słabego nikczemnika. W takiém pojęciu jaśniéj téż, wyraźniej zarysowałaby się dusza Zamrego, który w obecnéj kompozycyi jest zbiorem różnorodnych uczuć, nie doprowadzonym do jedności psychicznéj. Przebija się w nim i serce dobre, kochające ojca, i dusza szlachetna, w ostatniéj jeszcze chwili myśląca o dobru ludu, a obok tego zawistna ambicya, zazdroszcząca zaszczytu przyjacielowi i niewyraźna, niezdecydowana chęć odegrania roli zbawcy narodu, i słabość charakteru zapominająca o wszystkiém dla pocałunku i jakaś demoniczna, szydercza skłonność do najgrawania się, trochę na sposób nowożytny, z religii i prawa. On sam nie dochodzi nigdy do świadomości swéj roli; król Madyanitów musi mu przypominać, że może się stać zbawcą swego ludu. Gdyby autor uczynił z niego przedstawiciela świadoméj siebie opozycyi względem Mojżesza, wówczas te niepogodzone w jego sercu uczucia zlałyby się w jedno: Zamry sam w swojém sumieniu nie potrzebowałby uważać się za zdrajcę, ale za uprawnionego rzecznika interesów narodowych, pojętych inaczéj aniżeli w kole Mojżeszowém. Tym sposobem stałby się Zamry nietylko dramatycznym w zakresie indywidualnym, ale i ogólnym.

Wystawienia na scenie nie podobna poczytywać za zupełnie zadawalniające. Pustynia wyglądała trochę jak zarośla na wzgórzach, całość gry artystów nie była harmonijna; niektóre głosy nie dostroiły się do dykcyi dramatycznéj, inne wkraczały czasami w sferę melodramatyczności. Pierwszorzędna rola Noahy pojęta była przez pannę Deryng bardzo dobrze, ale w wykonaniu, mianowicie w dykcyi zauważyliśmy często fałszywą intonacyą, przewlekanie niektórych samogłosek wcale nieestetyczne; w ruchach zanadto było linij wężykowatych. P. Leszczyński jako Zamry miał niewątpliwie rolę bardzo trudną, bo niejednolitą; tém téż chcielibyśmy sobie tłómaczyć nierówność gry jego, ale niepodobieństwem to się staje, gdy krzykliwość głosu w wielu miejscach zaznaczyć musimy i gdy kroki zbyt zamaszyste na pamięć przyjdą. Sella i Melcha najczęściéj niedostrojeniem tonu psuły efekt.

Piotr Chmielowski.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor, **Piotr Chmielowski**.